

Agatha Christie

Trzecia lokatorka

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Tytuł oryginału angielskiego: "Third Girl"

I

Herkules Poirot siedział przy śniadaniu nad parującą filiżanką czekolady. Zawsze przepadał za słodyczami. Czekoladzie towarzyszył rogalik maślany, bardzo przy tym napoju stosowny. Poirot z uznaniem kiwnął głową. Rogalik pochodził z czwartego pośród wypróbowanych źródeł — duńskiej piekarni cukierniczej, nieporównanie lepszej niż sąsiadująca z nią rzekomo francuska *patisserie*. Pospolite szachrajstwo!

Był zadowolony gastronomicznie, jeśli chodzi o podniebienie, a spokojowi jego żołądka odpowiadał spokój umysłu — może trochę zbyt niezmacony spokój. Niedawno ukończył dzieło swojego życia — *magnum opus* — analizę twórczości wielkich autorów beletrystyki sensacyjnej. Pozwolił sobie na lekceważącą ocenę Edgara Allana Poea, ubolewał nad brakiem metody i porządku w rozmaitych utworach Wilkie Collinsa, pod niebiosa wynosił dwu mało znanych amerykańskich pisarzy i na wiele sposobów dawał wyraz uznaniu tam, gdzie uważał to za słuszne, w przeciwnych zaś wypadkach chłostał nieubłaganie. Ostatnio przeprowadził korektę swego dzieła i wyniki własnej pracy uznał za dobre pod każdym względem (prócz niewiarygodnej liczby błędów zecerskich). Z przyjemnością myślał o tym osiągnięciu literackim i obszernej lekturze, którą miał za sobą. Z przyjemnością wspominał chwilę, gdy prychając z odrazą rzucał jakąś książkę na podłogę — aby wstać zaraz, podnieść ją i troskliwie umieścić w koszu na papiery — lub w nieczęstych przypadkach, gdy było to uzasadnione, skłaniał głowę z pełną szacunku aprobatą. I co dalej? Ma teraz miłą przerwę — relaks bardzo wskazany po intelektualnym wysiłku. Ale relaks nie może trwać wiecznie; należałoby wziąć się do czegoś nowego. Niestety, pan Poirot nie wyobrażał sobie, jak miałyby wyglądać to “coś nowego”. Drugie osiągnięcie literackie? Chyba nie... Jego maksyma życiowa brzmi: zrobić coś dobrze i zostawić w spokoju. Sedno sprawy w tym, że był przemęczony, znudzony. Pozwolił sobie na trochę za duży wysiłek umysłu. Zaczynał nabierać niedobrych przyzwyczajęń, zdradzać nerwową pobudliwość...

To irytujące! Słynny detektyw żałośnie pokiwał głową i znów pociągnął łyk czekolady.

Drzwi się otwały. Do pokoju wszedł jego doskonale wyszkolony służący George. Całą postawą zdawał się wyrażać szacunek i jak gdyby dyskretne usprawiedliwienie własnego istnienia. Odchrząknął cicho, nim przemówił stłumionym głosem:

— Jakaś... — zrobił pauzę — młoda pani chciałaby widzieć się z panem.

— Nie przyjmuję interesantów o tej porze — rzucił Poirot tonem przygany.

— Wiem, proszę pana.

Pan i sługa wymienili spojrzenia. Porozumienie między nimi bywało niekiedy trudne. George zaznaczał modulacją głosu, wyrazem twarzy, czasami odpowiednim szykiem zdania, że wątpliwą sprawę można by wyjaśnić, gdyby padło stosowne pytanie. Poirot zastanowił się na moment, jakie pytanie byłoby właściwe w danym przypadku.

— Ładna ta młoda pani? — podjął.

— Moim zdaniem, nie, proszę pana. Ale każdy ma swój gust.

Tym razem detektyw zastanowił się nad odpowiedzią służącego. Przypomniał sobie wahanie przed zwrotem “młoda pani”. George był szczególnie wrażliwy na subtelności hierarchii towarzyskiej. Zapewne miał kłopoty z uplasowaniem interesantki, więc sytuację wątpliwą rozstrzygnął na jej korzyść.

— Sądzisz — zaczął znowu detektyw — że to raczej młoda pani niż, powiedzmy, młoda osoba?

— Tak mi się zdaje, proszę pana — odrzekł z pewnym wahaniem George. — Chociaż w dzisiejszych czasach trudno o pewność w takim względzie.

— Powiedziała, o co jej chodzi?

— Tak, proszę pana — bąknął służący niechętnie, jak gdyby przeproszał z góry za dalszy ciąg zdania. — Powiedziała, że chciałaby się z panem widzieć, ponieważ szuka rady w sprawie morderstwa, które prawdopodobnie popełniła.

Herkules Poirot podniósł brwi, szeroko otworzył oczy.

— Prawdopodobnie? Nie wie tego?

— Tak się wyraziła, proszę pana, ta młoda pani.

— Dziwna historia, ale być może interesująca — szepnął Poirot.

— Może to, proszę pana, jakiś kawał — dodał podejrzliwie George.

— Cóż, wszystko możliwe. — Detektyw zaczynał mięknąć. Pociągnął kolejny łyk czekolady. — Poproś ją tutaj za pięć minut.

— Słucham, proszę pana — odrzekł służący i wyszedł. Poirot opróżnił filiżankę, odsunął ją energicznie i wstał z fotela. Ruszył w stronę kominka, przed lustrem wiszącym nad półką pieczołowicie poprawił wąsy i zadowolony z siebie wrócił na dawne miejsce, by oczekiwać interesantki. Ciekaw był, co go czeka...

Miał nikłą nadzieję, że zobaczy dziewczynę, która mu się spodoba. Wygrzebał nawet z pamięci banalny zwrot “piękność w rozterce”, toteż rozczerował go widok interesantki.

W duchu pokiwał żałośnie głową i westchnął ciężko. Nie miał przed sobą ani piękności, ani też widocznej rozterki. Dziewczyna była tylko jak gdyby lekko stremowana.

“Ach, te smarkate! — pomyślał z niesmakiem. — Nawet nie usiłują zaprezentować się korzystnie. Przecież uszłaby z dorzecznym makijażem, efektownie ubrana, uczesana przez dobrego fryzjera. Ale w takim stanie!”

Dziewczyna miała jakieś dwadzieścia lat. Włosy nieokreślonej barwy opadały niechlujnie na ramiona. Duże zielonawoniebieskie oczy spoglądały mętnie i niepewnie. Ubiór odpowiadał widocznie zamiłowaniom jej pokolenia, a składały się nań wysokie buty z czarnej skóry, białe — wątpliwej czystości — brzydko zrobione wełniane pończochy, kusa spódniczka i długi, workowaty sweter z bardzo grubej wełny. Ktoś w wieku Herkulesa Poirot i należący do jego szkoły mógł mieć tylko jedno pragnienie: jak najprędzej wpakować tę osóbkę do wanny! Podobnych uczuć mały Belg doznawał często na ulicach, gdzie setkami spotyka się identyczne dziewczęta. Sprawiają wrażenie brudnych! A przecież ta — chociaż jedno na pozór przeczy drugiemu — wygląda tak, jak topielica dopiero co wyłowiona z rzeki. “Ha! Może one nie są naprawdę brudne — pomyślał Poirot — tylko starają się o taki wygląd?”

Wstał z zwykłą sobie galanterią, podał interesantce rękę i wskazał krzesło.

— Życzyła sobie pani widzieć się ze mną. Proszę usiąść, *mademoiselle*.

— Aa... — bąknęła i jak gdyby z pewnym wysiłkiem odetchnęła głęboko.

— *Eh bien?* — podjął detektyw po krótkiej pauzie.

Zawahała się. Jej duże oczy nadal spoglądały mętnie i niepewnie.

— Chyba... Chyba raczej postoję.

— Jak pani sobie życzy.

Poirot wrócił na swój fotel. Czekał. Przypatrywał się dziewczynie przestępującej z nogi na nogę. Wkrótce spuściła wzrok, aby po chwili popatrzeć znowu na małego Belga.

— Pan... Pan jest Herkulesem Poirot?

— Z całą pewnością. Czym mogę służyć?

— Widzi pan... To trudna sprawa... Chodzi o... Detektyw odczuł, że interesantce przyda się pomoc.

— Wiem od służącego — zaczął znów łagodnie — że chciałaby pani zasięgnąć mojej rady w sprawie morderstwa, które prawdopodobnie pani popełniła. Czy to się zgadza?

— Tak... To się zgadza. — Żywo skinęła głową.

— W podobnej sytuacji nie może być mowy o wątpliwościach. Sądzę, że pani musi zdawać sobie sprawę, czy popełniła morderstwo, czy nie popełniła?

— Widzi pan... Nie wiem, od czego zacząć... Chodzi o...

— Proszę się nie denerwować — podjął zyczliwie Poirot. — Niech pani siądzie, uspokoi się, opowie mi wszystko.

— Nie sędzę, proszę pana... Mój Boże! Czy ja wiem...? Widzi pan, to... To bardzo trudna sprawa... Rozmyśliłam się... Nie chciałabym być nieuprzejma, ale... Lepiej już pójdę.

— Dlaczego? Proszę zdobyć się na odwagę.

— Nie mogę. Myślałam, że potrafię przyjść tak i zapytać... *Zapytać*, co powinnam robić... Ale, widzi pan... Nie mogę... Zupełnie inaczej...

— Co inaczej?

— Bardzo mi przykro... Doprawdy... Nie chciałabym być nieuprzejma, ale... — odetchnęła głęboko, spojrzała na detektywa, odwróciła wzrok i wybuchnęła raptownie: — Za stary pan! Nie wiedziałam, że pan jest taki stary. Słowo daję, nie chciałabym być nieuprzejma... Za stary pan! Bardzo przepraszam.

Odwróciła się i chwiejnie, niby ćma w blasku lampy, umknęła z pokoju.

Poirot skamieniał z szeroko otwartymi ustami. Po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwiami od ulicy i zaklął głośno:

— *Nom, d'un nom d'un nom...*

II

Telefon odezwał się i przez czas pewien dzwonił natrętnie, przeraźliwie. Herkules Poirot jak gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy.

Do pokoju wszedł George i nie bez zdziwienia spoglądając na pracodawcę ruszył w kierunku aparatu.

Detektyw zatrzymał go ruchem ręki.

— Daj spokój, George!

Służący wyszedł posłusznie, a telefon dzwonił i dzwonił, aby umilknąć nagle i po upływie paru minut zacząć znowu.

— *Sapristi!* — rzucił Poirot zirytowany napastliwym dzwonkiem. — To kobieta... Z pewnością kobieta!

Westchnął, dźwignął się z fotela i sięgnął po słuchawkę.

— Halo? — rzucił gniewnym tonem.

— Czy to...? Czy to pan Poirot?

— We własnej osobie.

— Tu Ariadna Oliver... Ma pan zmieniony głos. Nie poznałam w pierwszej chwili.

— *Bonjour, madame...* Co u pani słyhać? Spodziewam się, że wszystko dobrze?

— O, tak... Wszystko dobrze.

Głos pani Oliver — zaprzyjaźnionej z Herkulesem Poirot, bardzo znanej autorki powieści kryminalnych — brzmiał już właściwą mu pogodną nutą.

— Może to trochę za wcześnie, żeby do pana dzwonić, ale mam wielką prośbę.

— Słucham, *madame*?

— Chodzi o doroczny bankiet w naszym klubie literatury sensacyjnej. Czy w tym roku nie zechciałby pan być honorowym gościem i wygłosić jakiegoś przemówienia? Gdyby pan się zgodził, byłaby to wielka, wielka uprzejmość.

— Jaki to termin?

— Dwudziesty trzeci przyszłego miesiąca.

— Niestety! — westchnął głęboko. — Za stary jestem.

— Za stary? Pan? Zawracanie głowy! Pan wcale nie jest stary.

— Tak pani sądzi?

— Ma się rozumieć. Będzie pan wymarzonym honorowym gościem i wygłosi jakieś przemówienie. Opowie nam pan mnóstwo wspaniałych historii o prawdziwych zbrodniarzach i prawdziwych zbrodniach.

— A kto mnie zechce słuchać?

— Kto? Wszyscy! Moi koledzy to... Proszę pana, czy coś się stało? Coś panu dolega? Głos zatroskany i...

— Bo jestem przygnębiony. Moje uczucia... Mniejsza zresztą o to.

— O co? Proszę mi wszystko powiedzieć.

— Ach... Nie chciałbym niepokoić drogiej pani.

— Proszę się nie krępować, przyjdź do mnie i o wszystkim powiedz. Kiedy pan przyjdzie? Dziś po południu, dobrze? Na herbatkę?

— Nie pijam herbaty po południu.

— Może być kawa.

— Kawy też nie pijam o tej porze.

— Już wiem! Czekolada z bitą śmietanką! Dobrze? Albo ziółka? Wiem, że pan chętnie popija ziółka. Albo lemoniada, oranżada? A może uda mi się dostać kawę bez kofeiny i...

— Za nic, droga pani. To coś obrzydliwego.

— Już wiem. Sok owocowy. Pan z pewnością lubi sok owocowy. Zdaje się mam w kredensie pół butelki ribeny.

— Co to jest ribena?

— Specjalny sok z czarnych porzeczek.

— Trudno nie skapitulować wobec drogiej pani! Przegrałem. Wzruszyła mnie pani troskliwość. Chętnie wypiję dziś po południu filiżankę czekolady.

— Świetnie! A przy okazji opowie pan o swoich kłopotach — zakończyła rozmowę Ariadna

Oliver i odłożyła słuchawkę.

Poirot zamyślił się na moment. Później wykręcił numer.

— Pan Goby? — zapytał. — Tu Herkules Poirot. Bardzo pan zajęty?

— Średnio — zaszemrał w słuchawce głos pana Goby'ego. — Średnio. Powiedziałbym, w granicach rozsądku. Ale jeżeli panu pilno, jak to najczęściej bywa, moi chłopcy wezmą się za robotę. Ma się rozumieć trudno dziś o młodych ludzi na poziomie, trudniej niż dawnymi czasy. Są zbyt wygórowanego mniemania o sobie. Wydaje się im, że wszystkie rozумы pozjadali, nim nawet zaczną się uczyć. Cóż, nie spodziewajmy się starych głów na młodych karkach. W każdym razie z prawdziwą przyjemnością będę panu służyć. Puszczę w ruch paru najlepszych chłopców. Zapewne chodzi, jak zwykle, o zebranie informacji?

Pan Goby umilkł i z uwagą słuchał pana Poirot, który tłumaczył dokładnie, czego wymaga i na co liczy. Zakończywszy rozmowę słynny detektyw zatelefonował do Scotland Yardu i wnet uzyskał połączenie z jednym ze swoich przyjaciół. Ten z kolei wysłuchał go uważnie i odpowiedział:

— Niewielkie wymagania, co? Jakieś morderstwo, gdzieś tam popełnione. Nieznany czas. Nieznane miejsce. Nieznana ofiara. Na mój rozum, stary, to szukanie wiatru w polu. No i — padło tonem przygany — wygląda na to, że sam nic nie wiesz.

Tego samego dnia o czwartej piętnaście po południu Poirot zasiadł w salonie pani Oliver i z uznaniem pociągnął łyk czekolady uwieńczonej bitą śmietanką. Duża filiżanka tego nektaru wraz z talerzykiem herbatników zwanych "kocie języczki" stała na stoliku obok fotela, który zajmował słynny detektyw.

— *Chere madame*, niesłuchanie pani uprzejma — powiedział Poirot kontent z poczęstunku i nie bez zdziwienia spojrzął na fryzurę gospodyni oraz nowe tapety zdobiące jej salon.

Jedno i drugie stanowiło dlań niespodziankę. Kiedy po raz ostatni widział panią Oliver, była uczesana gładko i bardzo skromnie. Obecnie głowę jej spowijała masa fal i loków. Obfitość ta nie sprawiała wrażenia naturalnej, więc Poirot zadał sobie pytanie, ile tresek mogłoby znaleźć się na dywanie, gdyby pani Oliver poruszyła się gwałtownie, co zdarzało się nad wyraz często. A tapety...

— Te wiśnie...? — bąknął zataczając szeroki łuk łyżeczką. — Nowe, prawda?

Miał wrażenie, że jest w sadzie wiśniowym.

— Trochę ich za dużo, nie sądzi pan? — odpowiedziała gospodyni. — Z tapetami nigdy nic z góry nie wiadomo. Dawne były chyba lepsze, prawda?

Jak przez mgłę przypomniał sobie mnóstwo wielobarwnych ptaków tropikalnych wśród bujnej dżungli. Miał ochotę powiedzieć: "Im więcej zmian, tym mniej się tu zmienia", ale powstrzymał się w porę.

— A teraz słucham? — podjęła gospodyni, gdy jej gość odstawił filiżankę oraz spodek, otarł z

wąsów resztki kremu i z błogim westchnieniem rozparł się w fotelu. — Co się właściwie stało?

— To nie najprostsza sprawa. Dziś rano przyszła do mnie jakaś młoda dziewczyna. Byłem zdania, że powinna najpierw uzgodnić termin wizyty. Widzi pani, człowiek ma pewną rutynę. Ale ona oznajmiła przez mojego służącego, że chce zasięgnąć rady w kwestii morderstwa, które prawdopodobnie popełniła.

— Dziwna historia. Czyżby tego nie wiedziała?

— Właśnie! Dziwna historia. Poleciałem George'owi, by ją zaraz wprowadził. Dziewczyna weszła do pokoju i stanęła. Nie chciała usiąść. Stała i gapiła się na mnie. Odniosłem wrażenie, że jest półprzytomna, więc spróbowałem dodać jej odwagi. Wtedy wybuchnęła nagle, że się rozmyśliła. Kilka razy powtórzyła, że nie chciałaby być nieuprzejma, ale... Co pani na to...? Powiedziała, że jestem za stary!

— Hm... Dziewczęta są już takie — podchwyciła gospodyni pocieszającym tonem. — Człowiek powyżej lat trzydziestu pięciu to dla nich prawie nieboszyk. Trzeba pamiętać, drogi panie, że mają pstro w głowie.

— Dotknęło mnie to — mruknął Poirot.

— Na pańskim miejscu nie przejmowałabym się wcale...

Chociaż, to naturalnie grubiaństwo powiedzieć coś podobnego.

— Nie w tym rzecz. Nie chodzi o moją wrażliwość. Zaniepokoiłem się, droga pani. Tak. Bardzo się zaniepokoiłem.

— Jeśli chodzi o mnie, to puściłabym w niepamięć całe zajście — doradziła Ariadna Oliver pocieszająco.

— Nic pani nie zrozumiała. Jestem bardzo niespokojny o tę małą. Przyszła do mnie po radę. Później uroiła sobie, że jestem za stary. Za stary, by przydać się jej na coś. Popełniła błąd. To oczywista. Ale tak czy inaczej, uciekła, a pomoc jest jej nieodzowna. Ja to pani mówię! Herkules Poirot.

— Nie byłabym tak pewna — odparła gospodyni. — Dziewczęta często robią z igły widły.

— Nie. Myli się pani. Tej pomoc jest nieodzowna.

— Nie sądzi pan chyba, że naprawdę popełniła morderstwo?

— Dlaczego? Sama o tym mówiła.

— Zapewne, ale... — pani Oliver zrobiła pauzę. — Powiedziała, że prawdopodobnie popełniła morderstwo. Co też miała na myśli?

— Właśnie! Przecież to nonsens.

— Kogo zamordowała, czy też wydaje się jej, że zamordowała?

Poirot bezradnie rozłożył ręce.

— Dlaczego to zrobiła? Detektyw powtórzył ten sam gest.

— Oczywiście to i owo może wydawać się możliwe. — Autorka powieści kryminalnych puściła w ruch płodną zawsze wyobraźnię. — Pańska klientka mogła przejechać kogoś samochodem, dodać gazu i uciec. Albo napadł ją jakiś mężczyzna... Działo się to nad morzem, na skałach... Ona broniła się i zepchnęła go w przepaść. Przez omyłkę mogła podać komuś niewłaściwe lekarstwo. Mogła też uczestniczyć w orgii narkomanów, w czasie której wynikła bójka... Dziewczyna przyszła później do siebie i przekonała się, że przebiła kogoś nożem. Albo...

— *Assez, madame! Assez!* — przerwał Poirot, lecz pani domu była już w transie.

— Albo na przykład to instrumentariuszka w szpitalu... Podczas operacji mogła się omylić... Chociażby w dawkowaniu narkozy i... — pani Oliver urwała nagle; odczuła brak bardziej szczegółowych informacji. — Jak ta dziewczyna wygląda?

— Jak Ofelia pozbawiona urody — odparł detektyw po chwili zastanowienia.

— Aa... Prawie ją widzę, gdy pan to powiedział. Szczególna historia.

— To, droga pani, dziewczyna nieporadna. Przynajmniej mnie się tak wydaje. Nie umie stawiać czoła trudnościom. Nie dostrzega zawczasu niebezpieczeństw, które przyjść muszą. Na widok osób jej pokroju rozmaici ludzie mówią: "Potrzebna nam ofiara. Ta w sam raz się nada" — mówił Poirot.

Ale pani Oliver nie słuchała wcale. Dobrze znanym mu gestem oburącz chwyciła swoje bujne loki.

— Zaraz! Proszę zaczekać chwilę! — zawołała tonem bliskim rozpacz.

Detektyw czekał chwilę. Nie bez zdziwienia spojrział na panią domu.

— Nie wymienił pan nazwiska tej dziewczyny.

— Ona też go nie wymieniła. Wielka szkoda.

— Zaraz! Chwileczkę! — podjęła niemniej tragicznym tonem.

Opuściła ręce i w tym momencie sute sploty opadły na jej ramiona, a najbardziej pośród nich okazały odczepił się od fryzury i wylądował na podłodze. Poirot podniósł go i dyskretnie umieścił na stoliku.

— Aa... To tak... — Pani Oliver uspokoiła się nagle, poprawiła kilka szpilek we włosach i ze skupioną miną pokiwała głową.

— Kto powiedział o panu tej dziewczynie? — zapytała wreszcie.

— Nikt, o ile mi wiadomo. Musiała o mnie słyszeć. To oczywiste!

Pani Oliver pomyślała, że nie jest to aż tak oczywiste, jak się wydaje Herkulesowi Poirot, który przyjmuje za pewnik, że każdy musiał o nim słyszeć. W dzisiejszych czasach wiele osób, zwłaszcza z młodszego pokolenia, nie zareagowałoby zgoła na dźwięk jego nazwiska. To jest oczywiste — snuła swe rozważania. — Ale jak o tym napomknąć i nie urazić staruszka?

— Podejrzewam, że jest pan w błędzie — zaczęła taktownie. — Dzisiejsze dziewczęta... no i chłopcy, ma się rozumieć, niewiele wiedzą o detektywach i... Najczęściej o nich nie słyszeli.

— Każdy musiał słyszeć o Herkulesie Poirot! — zaoponował wyniośle.

Był to dlań niezachwiany artykuł wiary.

— Widzi pan, dzisiejsza młodzież ma poważne luki w edukacji — ciągnęła pani domu. — W gruncie rzeczy zna jedynie nazwiska piosenkarzy, muzyków estradowych, popularnych sportowców, ludzi takiego pokroju. Jeżeli komuś potrzebny specjalista... dajmy na to detektyw, dentysta, lekarz, taki ktoś zwraca się do kogoś innego z prośbą o wskazówki. I co powiada ten ktoś inny? Powiada: "Ach, moja droga, musisz zwrócić się do jedynej cudotwórcy, który mieszka przy Queen Anne's Street. Trzy razy owinie twoje własne nogi dookoła twojej własnej głowy i będziesz wyleczona". Albo: "Skradziono mi wszystkie brylanty, a do policji nie chciałam się zwrócić, bo Henry byłby wściekły. Ale znalazł się niezrównany detektyw, uosobienie dyskrecji. Brylanty odnalazł i Henry wcale się nie dowiedział o kradzieży". Tak załatwia się dziś podobne sprawy. Ktoś musiał skierować do pana tę małą.

— Bardzo wątpię.

— W takich przypadkach człowiek z reguły wątpi, póki nie usłyszy prawdy. Zaraz ją pan usłyszy. Dopiero co uprzytomniłam sobie sama, że to ja powiedziałam o panu tej dziewczynie.

— Pani? To czemu nie powiedziała pani tego od razu?

— Bo nie od razu prawda zaświtała mi w głowie. Wspomniął pan o Ofelii... Raczej nieładna dziewczyna i włosy długie, jak gdyby zmoczone. Odpowiada to rysopisowi osoby, którą poznałam ostatnio... bardzo niedawno. Nagle uświadomiłam sobie, kto mógł zgłosić się do pana.

— Kto?

— Prawdę mówiąc, nie znam jej nazwiska, ale dowiem się łatwo. Była mowa o prywatnych detektywach i dyskretnym załatwianiu dyskretnych spraw. Naturalnie wspomniłam o panu i pańskich zdumiewających sukcesach.

— I podała jej pani mój adres?

— Skąd znowu! Nie miałam pojęcia, że potrzeba jej prywatnego detektywa albo że ma jakieś

kłopoty. Była to zwykła rozmowa towarzyska. Ale nie raz wymieniałam pańskie nazwisko. Nic łatwiejszego niż zajrzeć potem do książki telefonicznej i pójść pod właściwy adres.

— Była mowa o jakimś morderstwie?

— Nie przypominam sobie. Nie pamiętam nawet, skąd wypłynął ten temat... Chociaż... Chociaż to chyba właśnie ona podjęła go pierwsza.

— W takim razie proszę powiedzieć mi jak najwięcej. Jeżeli nawet nie zna pani nazwiska tamtej dziewczyny, proszę powiedzieć wszystko, co pani o niej wiadomo.

— Działo się to w czasie ostatniego weekendu. Byłam u Lorrimerów. Zresztą oni mają z tym tylko tyle wspólnego, że zabrali mnie do jakichś swoich znajomych, którzy już dawniej zaprosili ich na drinka... Było tam sporo ludzi, a ja bawiłam się nie najlepiej. Jak pan wie, pić nie lubię, więc gospodarze muszą zawsze wymyślać dla mnie napoje bezalkoholowe i mają z tym zawracanie głowy. No i wszyscy mówią mi wciąż to samo. Domyśla się pan co? Że przepadają za moimi książkami i od lat marzą, by mnie poznać. Drażni mnie to, nudzi i sama sobie wydaję się okropnie śmieszna. Ale, jak wszędzie, i tam lawirowałam jakoś... Aha! Świeżo poznani ludzie powtarzają mi też zawsze, że bardzo im się podoba mój ohydny detektyw, Sven Hjerson. Żeby wiedzieli, jak ja go nie cierpię! Ale mój wydawca powiada, że nie powinnam przyznawać się do tego. Pewno na glebie takiej właśnie gadaniny zaczęto mówić o życiu codziennym detektywów. Mówiłam trochę o panu, a ta dziewczyna stała gdzieś niedaleko i słuchała. Dzisiaj, kiedy powiedział pan o nieładnej Ofelii, jedno połączyło się z drugim. Pomyślałam: “Kogo mi to przypomina? — i zaraz odpowiedziałam sobie: — Ma się rozumieć! Dziewczynę z ostatniego weekendu”. Chyba to była córka gospodarzy, jeżeli, naturalnie, nie mylę jej z kimś innym.

Poirot westchnął ciężko. Kontakty z panią Oliver wymagały nie lada cierpliwości.

— U kogo właściwie była pani na drinku?

— Nazywają się chyba Trefusis. A może Treherne. Coś w tym rodzaju. To potentat handlowy. Bogacz. Teraz robi coś w City, ale znaczną część życia spędził w Afryce Południowej.

— Ma żonę?

— Ma. Drugą. Znacznie od niego młodszą. Bardzo przystojną. Taka, wie pan, złotowłosa piękność. Córka jest z pierwszego małżeństwa. W domu mieszka też wuj, bardzo stary jegomość i mocno głuchy. To jakaś osobistość wybitnie zasłużona: admirał czy marszałek lotnictwa, w każdym razie ktoś taki. Myślę, że jest też astronomem, bo na własne oczy widziałam ogromny teleskop sterczący na dachu. Ale może to tylko hobby staruszka. Poznałam również młodą cudzoziemkę, która zajmuje się jego sprawami. Jeździ z nim do Londynu i pilnuje, żeby nie wpadł pod samochód. Ładna dziewczyna.

Poirot segregował uzyskiwane informacje i czuł się po trosze jak żywy komputer.

— A zatem w domu mieszkają państwo Trefusis...

— Nie Trefusis! Właśnie sobie przypomniałam. Restarick!

— Hm... Nie jest to nazwisko w podobnym stylu.

— Dlaczego? Też kornwalijskie.

— A zatem w domu mieszkają państwo Restarick, wybitnie zasłużony wujaszek w podeszłym wieku... Czy i on nazywa się Restarick?

— Nie. Sir Roderick i coś tam dalej.

— W porządku. Mieszka tam również młoda cudzoziemka, dama do towarzystwa, czy jak ją nazwać, a także córka... Jest więcej dzieci?

— Nie sędzę, ale na pewno nie wiem. Nawiasem mówiąc, córka tam nie mieszka. Przyjechała tylko na weekend. Myślę, że nie najlepiej zgadza się z macochą. Ma jakąś posadę w Londynie i prowadzi się z chłopcem, który nie odpowiada rodzicielskim gustom. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Wie pani bardzo dużo o całej rodzinie.

— Cóż, człowiek zbiera różne informacje. Lorrimerowie to gaduły pierwszej klasy. Wciąż muszą opowiadać o tych czy tamtych. A tak w ogóle, nieustannie wysłuchujemy mnóstwa plotek. Często mieszamy jedne z drugimi. Pewno coś podobnego przytrafiło mi się i tym razem. Czy ja wiem? Chciałabym sobie przypomnieć imię tej małej... Coś związanego ze śpiewem... Thora?... “Mów do mnie, Thoro, mów...!” Thora... Thora... A może Myra? “Myra, miłość moja jedyna...” Coś w tym rodzaju... “Śniłam, że mieszkam w pałacu z marmurów...” Norma? Albo Maritana...? Norma! Już mam! Norma Restarick — rzuciła z przekonaniem pani Oliver i dodała na pozór bez związku: — Ona jest trzecia.

— Trzecia? O ile sobie przypominam, wspomniała pani, że to jedynaczka.

— Aha... Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Więc niby dlaczego trzecia?

— Na Boga! Nie wie pan, co to znaczy trzecia lokatorka? Nie czytuje pan “Timesa”?

— Czytuję rubrykę narodzin, zgonów i ślubów i czasami jakiś interesujący mnie artykuł.

— Nie o to chodzi! O ogłoszenia z pierwszej strony. Chociaż to teraz nie pierwsza strona i mam zamiar zmienić swoją codzienną gazetę. Chwileczkę. Zaraz panu pokażę.

Pani Oliver chwyciła leżący na bocznym stoliku numer “Timesa”, rozłożyła i zademonstrowała gościowi.

— O! Proszę spojrzeć: “Poszukiwana trzecia lokatorka do komfortowego mieszkania przy Earl’s Court. Własny pokój. Centralne ogrzewanie”.

“Poszukiwana trzecia lokatorka do wygodnego apartamentu. Czynnosc pięć gwinei tygodniowo. Osobny pokój”.

“Poszukiwana czwarta lokatorka. Regent Park. Pokój do dyspozycji”. Tak urządzają się teraz dziewczęta. Bardziej im to odpowiada niż pensjonat czy pokój przy rodzinie. Młoda osoba wynajmuje umeblowany lokal i za część komornego przyjmuje drugą, zwykle przyjaciółkę. Trzecią znajdują z ogłoszenia, jeżeli nie mają odpowiedniej znajomej. No i jak pan sam widział, często udaje się wcisnąć do mieszkania czwartą. Pierwsza lokatorka zajmuje najlepszy pokój, druga płaci mniej, trzecia jeszcze mniej i naturalnie wystarcza jej jakaś klitka. Uzgadniają między sobą dni tygodnia, w którym kolejno chcą mieć lokal na wyłączny użytek, i wszystko gra.

— A gdzie mieszka w Londynie ta trzecia lokatorka, która być może ma na imię Norma?

— Mówiłam przecież, że właściwie nic o niej nie wiem.

— Ale może się pani dowiedzieć?

— Mogę. Nawet bardzo łatwo.

— Czy tamtego dnia nie było mowy... przypadkowej wzmianki o jakiejś nagłej śmierci?

— Chodzi panu o śmierć w Londynie czy też w domu Restaricków?

— Interesowałoby mnie jedno i drugie.

— Chyba nie... Nic sobie nie przypominam... Chce pan, abym sprawdziła, czy nie uda się czegoś wygrzebać?

— Byłaby to wielka uprzejmość, *madame*.

Pani Oliver czuła się w swoim żywiole. Oczy miała błyszczące. Bez wahania ruszyła w stronę aparatu telefonicznego.

— Zadzwońię do Lorrimerów. To akurat stosowna pora. Będę musiała wynaleźć jakiś pretekst, może nawet po— blagować trochę... — Niepewnym wzrokiem zmierzyła Poirota.

— To zrozumiałe i jestem przekonany, że nie napotka pani trudności — odparł. — Posiada pani przecież wyobraźnię. Ale niech ten pretekst nie będzie zbyt fantastyczny. Umiar! Zalecam drogiej pani umiar.

Autorka powieści kryminalnych rzuciła swojemu gościowi porozumiewawcze spojrzenie, wykręciła numer i odwracając głowę syknęła stłumionym głosem:

— Ma pan ołówek, papier... blok...? Trzeba będzie notować nazwiska, adresy...

Poirot miał już pod ręką notatnik, więc odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy i gdy pani domu poświęciła całą uwagę aparatowi telefonicznemu, jął pilnie słuchać rozmowy albo raczej jej

części po swojej stronie.

— Halo... Mogłabym... Aa, to ty, Naomi. Mówi Ariadna Oliver... Aha, masz rację. Było trochę hałaśliwie... Mówisz o tym staruszkę, co...? Nie... Przecież właściwie nic nie wiem... Rozumiem, prawie niewidomy. Zdawało mi się, że wyjeżdża do Londynu z tą młodą cudzoziemką... Tak, czasami muszą niepokoić się o niego, ale ona dobrze chyba radzi sobie z dziadkiem... Wiesz, telefonuję do ciebie między innymi po to, żeby zapytać o adres tej dziewczyny... Nie. Chodzi mi pannę Restarick. South Kensington? A może Knightsbridge? Widzisz, obiecałam jej jedną z moich książek i adres zapisałam, ale ma się rozumieć zgubiłam. Nie przypominam sobie nawet imienia. Thora czy Norma...? Aha. Norma. Tak mi się zdawało... Momencik. Sięgnę po ołówek... Aha. Słucham... Borodene Mansions sześćdziesiąt siedem... Wiem. To taki wielki blok, całkiem podobny do więzienia Wormwood Scrubs... Rozumiem. Mieszkanie pełnokomfortowe z centralnym ogrzewaniem i wszystkim, co trzeba... A tamte dwie dziewczyny, jej współlokatorki...? Znajome, przyjaciółki, ktoś z ogłoszenia?... Claudia Reece-Holland... Aha. Ojciec deputowany do parlamentu, prawda? A druga...? Tak. Sądziłam, że tego możesz nie wiedzieć. Myślę, że też młoda osoba na poziomie, co? Ciekawa jestem, co one wszystkie robią? De razy słyszę o jakiejś pracującej dziewczynie, dowiaduję się, że komuś sekretarzuje. Tak to najczęściej bywa, prawda...? Aha, ta mała zajmuje się dekoracją wnętrz czy też ma coś wspólnego z jakąś galerią sztuki... Ach, nie, Naomi! Oczywiście nie zależy mi na dokładniejszych informacjach. Po prostu jestem ciekawa, co właściwie robią dzisiejsze dziewczęta. Widzisz, muszę iść z biegiem czasu ze względu na moje książki. O ile dobrze pamiętam, mówiłaś coś o jakimś facygancie... Aha. W takich przypadkach człowiek jest kompletnie bezradny. Chodzi mi o to, że dzisiejsze dziewczęta robią, co się im żywnie podoba... Bardzo źle się prezentuje? Taki nie ogolony, niedomyty...? Rozumiem. Inna odmiana. Brokatowe kamizelki, długie, kasztanowate loki spływające na ramiona. Czasami trudno powiedzieć, czy to dziewczyna, czy chłopak... Tacy wyglądają czasami jak z obrazów Van Dycka, jeżeli oczywiście są przystojni... Co powiadasz? Andrew Restarick nienawidzi tego chłopca? Coś takiego nierzadko zdarza się ojcom... Mary Restarick...? Tak, prawie każda pasierbica miewa nieporozumienia z macochą. Myślę, że Mary odetchnęła z ulgą, kiedy mała przyjęła posadę w Londynie... Nic nie rozumiem. O czym ludzie plotkują...? Czemu nie dało się stwierdzić, co jej dolega...? Kto coś wypaplał...? Rozumiem. Ale co właściwie zatuszowano...? Aha... Niedyskretna pielęgniarka rozmawiała z guwernantką Jennerów... Niepodobna! Mąż, powiadasz... Aa... rozumiem. Lekarze nie mogli postawić diagnozy... Nie, nie! Ludzie są na ogół strasznie złośliwi. Masz słuszość. Takie plotki są najczęściej bezpodstawne... Zaburzenia gastryczne, co...? Nieprawdopodobna historia! Gadali, że to... jak mu na imię? Aha! Andrew... że niby teraz łatwo za pomocą środków chwastobójczych... Ale dlaczego? Nie może być mowy o towarzyszcze życia od lat znieawidzonej. Przecież to druga żona, znacznie od niego młodsza, bardzo przystojna... Cóż, to wydaje się bardziej prawdopodobne. Ale jaki cel miałyby ta młoda cudzoziemka? Aha! Mary Restarick mogła powiedzieć coś, co ją dotknęło? Niewykluczone. To bardzo ładna dziewczyna. Andrew mógł robić jej awanse, ma się rozumieć nie na serio, Mary miała mu to za złe, więc zaczęła się czepiać dziewczyny i stopniowo...

Pani Oliver spostrzegła kącikiem oka, że Poirot daje jej alarmujące znaki.

— Przepraszam, moja droga — podjęła telefoniczną rozmowę. — Piekarz czegoś chce ode mnie. — (Słynny detektyw zrobił urażoną minę.) — Musimy przerwać na chwilę.

Odłożyła słuchawkę i szybkim krokiem przemierzywszy salon, zapędziła gościa do wnęki okiennej.

— O co chodzi? — zapytała lekko zdyszana.

— Piekarz! — rzucił gniewnie Poirot. — Ja, piekarz!

— Przecież musiałam coś zaimprovizować. Co miała znaczyć pańska pantomima? Zrozumiał pan mniej więcej, co ona...

— Później to pani powie — przerwał szorstko Poirot. — I tak wiem już dosyć. Teraz niech pani wykorzysta swoje talenty improwizacyjne i wymyśli coś, abym pod jakimś pretekstem mógł odwiedzić Restaricków. Pani dawny znajomy będzie wkrótce w tamtej okolicy... Albo można by napomknąć...

— Proszę to mnie zostawić. Coś wykombinuję. Czy podać zmyślane nazwisko?

— Skąd znowu! Starajmy się o możliwie najwięcej prostoty.

Ariadna ze zrozumieniem kiwnęła głową i wróciła szybko do telefonu.

— Naomi? Nie przypominam sobie, o czym mówiłyśmy ostatnio. Mój Boże! Zawsze musi coś przeszkodzić, kiedy zaczyna się najprzyjemniejsza pogawędka. W tej chwili nie pamiętam nawet, po co właściwie zadzwoniłam do ciebie. Aha! Ta mała, Thora... Przepraszam, Norma... Pytałam o jej adres i dostałam go od ciebie. Ale jeszcze coś... Przypomniałam sobie! Chodzi o dawnego znajomego. Powiadam ci, uroczy! Mówiłam o nim nawet, kiedy byliśmy razem u Restaricków. Nazywa się Herkules Poirot. Ma spędzić kilka dni w waszym bliskim sąsiedztwie i strasznie mu zależy na spotkaniu ze starym sir Roderickiem. Wie o nim dużo i jest pełen uznania dla jakichś jego czynów wojennych czy naukowych osiągnięć... Mniejsza o to... W każdym razie pragnie “złożyć staruszkowi wizytę i swoje najgłębsze uszanowanie”. Tak się wyraził. Myślisz, że to wypada, prawda...? A czy zechciałbyś ich uprzedzić...? Tak, tak! Poirot prawdopodobnie zjawi się bez zapowiedzi. Powiedz Restarickom, aby go pociągnęli za język. Zna furę świetnych historii szpiegowskich. Był przecież... Co takiego? Aha! Przyszli ludzie do strzyżenia trawnika... Naturalnie, musisz wyjść przed dom... No to pa, Naomi!

Pani Oliver odłożyła słuchawkę i wygodnie rozsiadła się w fotelu.

— Mój Boże! Ale się spracowałam. Dobrze było?

— Nie najgorzej — przyznał z uznaniem.

— Przyszło mi na myśl, że najlepiej ucześcić się staruszka. Pójdzie pan tam i niemało zobaczy, a o to przecież chodzi.

No i jeżeli się jest kobietą, zawsze można mówić mętnie o kwestiach militarnych i naukowych. Zanim dojdzie do wizyty, pan z pewnością wykombinuje coś, co wyda się bardziej prawdopodobne. Chce pan teraz posłuchać, czego się dowiedziałam od Naomi?

— O ile zrozumiałem, krążyły jakieś plotki na temat stanu zdrowia pani Restarick?

— Właśnie! Cierpiała na dziwne zaburzenia natury gastrycznej i lekarze nie mogli postawić diagnozy. Umieścili ją w szpitalu i tam czuła się dobrze, również nie wiadomo czemu. Później wróciła do domu i wszystko zaczęło się od nowa. Lekarze byli w nie lada kłopotcie. Poszły w ruch języki. Coś wypaplała niedyskretna pielęgniarka. Dalej historia poszła normalnym torem. Ludzie zaczęli mówić, że mąż systematycznie truł Mary. Ludzie często opowiadają podobne rzeczy, ale w danym wypadku nie widać w tym sensu. Później zaczęłyśmy mówić o tej damie do towarzystwa, chociaż właściwie nie jest to dama do towarzystwa ani opiekunka w ścisłym słowa znaczeniu, lecz jak gdyby sekretarka starego ramola... Ale z jakiego powodu ona miałaby szpikować Mary środkami chwastobójczymi?

— Jeden z możliwych powodów wymieniła pani w trakcie rozmowy z przyjaciółką.

— Cóż, wszystko może się zdarzyć, ale...

— Morderstwo upragnione — mruknął do siebie Poirot — ale jeszcze nie dokonane.

III

Pani Oliver zajęła na wewnętrzny dziedziniec ogromnych nowoczesnych bloków, Borodene Mansions. Sześć samochodów zapełniało parking, ale jeden zaczął się wycofywać i odjechał, więc szybko wykorzystano zwolnione miejsce.

Wysiadła z wozu, zatrzasnęła drzwiczki i rozejrzała się dokoła. Budynek powstał stosunkowo niedawno, na miejscu ruin, jakie pozostawiła ostatnia wojna. Był bardzo amerykański, bardzo funkcjonalny i świadczył, że jego twórcy nie zdradzają zainteresowania ornamentyką.

Pod koniec dnia pracy na dziedzińcu panowało ożywienie. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały. Piesi wchodzili i wychodzili.

Pani Oliver spojrzała na zegarek. Za dziesięć siódma — czas bardzo stosowny. O tej porze pracujące dziewczęta wracają do domu, aby wyjść znów na miasto przebrawszy się w obcisłe, ekstrawaganckie spodnie lub coś innego, co odpowiada ich indywidualnym gustom. Jeżeli nie wychodzą, przystępują do drobnych porządków domowych — piorą bieliznę, pończochy. Tak czy inaczej godzina była odpowiednia na nie zapowiedzianą wizytę. Bloki po wschodniej i zachodniej stronie wyglądały dokładnie tak samo. Oba miały pośrodku wielkie drzwi wahadłowe. Ariadna Oliver ruszyła w lewo i niezwłocznie stwierdziła omyłkę, gdyż lokale ponumerowano tutaj od stu do dwustu. Powtórnie przemierzyła szeroki dziedziniec.

Numer sześćdziesiąty siódmy mieścił się na szóstym piętrze. Nacisnęła guzik windy i, kiedy drzwi otwały się niby ziewające usta, weszła szybko. Nowoczesne dźwigi zawsze ją przerażały.

Drzwi zamknęły się z łoskotem, winda ruszyła i stanęła niemal w tej samej chwili. To również było dziwne i niepokojące! Pani Oliver wyskoczyła na korytarz jak spłoszony królik.

Zerknęła na ścianę i pośpieszyła w prawo, aby niebawem zatrzymać się naprzeciw drzwi oznaczonych metalowymi cyframi sześć i siedem. W tym momencie siódemka odczepiła się i spadła na podłogę u nóg pani Oliver. Podniosła ją i zgrabnie wsunęła na miejsce.

— Nie jestem tu mile widziana — szepnęła do siebie.

Dotykając przycisku dzwonka, pomyślała, że prawdopodobnie nie zastanie nikogo. Ale drzwi otwały się zaraz i stanęła w nich wysoka, szykowna dziewczyna. Była ubrana w doskonale skrojony ciemny kostium z bardzo krótką spódniczką, koszulową bluzkę z białego jedwabiu i eleganckie pantofle. Miała dyskretny makijaż, ciemne włosy gładko zaczesane do góry i z niewiadomych przyczyn wydała się pani Oliver niepokojąca.

— Oo... Czy nie zastałam panny Restarick?

— Niestety, wyszła. Mam jej coś przekazać?

— Oo... — powtórzyła autorka powieści kryminalnych i z torebki wydobyła książkę niezbyt starannie owiniętą w papier pakowy. — Obiecałam jej — wyjaśniła — jedną z moich książek, której nie czytała. Mam nadzieję, że nic nie poplątałam i przyniosłam właściwy tytuł. Czy panna Restarick prędko wróci?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie wiem, co robi dziś wieczorem.

— Oo... Czy panna Reece–Holland?

— Tak... — szykowna dziewczyna zdziwiła się trochę.

— Znam pani ojca — podjęła starsza dama i brnęła dalej: — Nazywam się Oliver. Pisuję książki — dodała z pewnym zażenowaniem, jak zwykle, gdy musiała informować o swoim pisarstwie.

— Zechce pani wejść?

Pani Oliver przyjęła zaprosiny, więc Claudia Reece–Holland wprowadziła ją do wspólnej bawialni. W blokach wszystkie pokoje miały jednakowe tapety imitujące surowe drewno; lokatorzy mogli je dekorować nowoczesnymi malowidłami albo jakoś inaczej, zależnie od osobistych upodobań. Pokój miał wbudowaną część umeblowania: kredens, regały, szeroką kanapę i stół wysuwany ze ściany. O indywidualnym guście lokatorek świadczył kolosalny arlekin na jednej ścianie, a na drugiej grono małych zwisających z korony palmy.

— Z pewnością Norma będzie zachwycona pani książką i przejęta. Czym można służyć? Gin? Albo sherry?

Dziewczyna była energiczna, pewna siebie. Sprawiała wrażenie idealnej sekretarki.

Pani Oliver podziękowała za proponowany poczęstunek.

— Wspaniały stąd widok — powiedziała i spojrzawszy w okno prędko opuściła powieki, gdyż zachodzące słońce zaświeciło jej prosto w oczy.

— Tak. Ale mniej nam przyjemnie, kiedy zdarzy się awaria windy.

— Nie podejrzewałam, że nawet takiej windzie zdarzają się awarie. Przypomina ona... przypomina robota.

— Jest nowoczesna, ale wiele pozostawia do życzenia. Wymaga nieustannej konserwacji.

W tym momencie do pokoju wbiegła druga młoda osoba.

— Czy nie wiesz, Claudio, gdzie mogłam wetknąć... Urwała raptownie i spojrzała na starszą panią. Claudia dokonała szybkiej prezentacji.

— Frances Cary, pani Oliver. Ariadna Oliver.

— Niebawem spotkanie — powiedziała Frances.

Wysoka i smukła, miała długie czarne włosy, bardzo “zrobioną”, trupioblada twarz i zaakcentowane tuszem brwi oraz rzęsy, lekko podniesione ku górze w kącikach oczu. Była ubrana w obcisłe welwetowe spodnie i luźny gruby sweter, i stanowiła absolutny kontrast szykownej, energicznej Claudii.

— Przyniosłam książkę, którą niedawno obiecałam Normie — wyjaśniła autorka powieści kryminalnych.

— Ach! Jaka szkoda, że Norma nie wróciła jeszcze ze wsi.

— Nie wróciła dotąd? — zapytała pani Oliver i odniosła wrażenie, iż w trakcie kłopotliwej pauzy dziewczyny wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

— Sądziłam, że ma posadę w Londynie — ciągnęła pani Oliver tonem uprzejmego zdziwienia.

— Naturalnie! — podchwyciła panna Reece–Holland. — Pracuje w przedsiębiorstwie trudniącym się dekoracją wnętrz. Od czasu do czasu wyjeżdża na prowincję z jakimiś projektami. — Uśmiechnęła się niepewnie. — Prowadzimy tu życie raczej niezależne. Wychodzimy i wracamy, kiedy się nam podoba, i zazwyczaj nie informujemy współlokatorek o swoich planach. W każdym razie nie zapomnę o książce. Oddam ją Normie, jak się tylko zjawi.

Wyjaśnienie było proste i nie nasuwało najmniejszych podejrzeń.

— Bardzo będę wdzięczna. — Pani Oliver wstała z krzesła.

Claudia odprowadziła ją do przedpokoju.

— Powiem ojcu, że miałam przyjemność poznać panią. To zapalony czytelnik powieści kryminalnych.

Zamknęła drzwi i wróciła do bawialni, gdzie Frances stała wsparta o parapet okienny.

— Strzeliłam gafę. Przepraszam.

— Ja powiedziałam tylko, że Norma wyszła — rzuciła panna Reece–Holland.

— Skąd mogłam wiedzieć? — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Gdzie ona się podziewa? Dlaczego nie wróciła w poniedziałek? Co się z nią dzieje?

— Nie mam pojęcia.

— Weekend spędzała u rodziny. Może tam została.

— Nie. Telefonowałam, żeby to sprawdzić.

— Nie nasze zmartwienie, co? Tak czy inaczej Norma jest... Dziwnie się jakoś zachowuje, prawda?

— Nie bardziej dziwnie niż inni — odparła Claudia bez przekonania.

— Bardziej, znacznie bardziej — powiedziała Frances. — Czasami się jej boję. Sprawia wrażenie nienormalnej. — Roześmiała się nagle. — Ona jest nienormalna. Ma tęgiego bzika i ty wiesz o tym, Claudio, tylko nie chcesz się przyznać. Pewnie chcesz być lojalna wobec pracodawcy.

IV

Poirot szedł główną ulicą Long Basing — jeżeli można tak mówić o jedynej ulicy osady. Long Basing należy do miejscowości, które przejawiają tendencje do rozrostu wzdłuż przy systematycznym lekceważeniu szerokości. Był tam okazały kościół z wysoką dzwonnica i dostojnie sędziwym cischem na cmentarzu. Był pełny i urozmaicony asortyment typowych dla prowincji lokali handlowych: dwa magazyny starożytności — jeden posiadał na składzie prawie wyłącznie zrobione z palonej sosny gzymsy nad kominek, drugi aż pękał w szwach od odwiecznych map ułożonych w stosy, wyszczerbionej porcelany, dębowych skrzyń stoczonych przez robactwo, a także szkła na licznych półkach oraz wiktoriańskich sreber. Były tam dwie raczej odrażające jadłodajnie i uroczy warsztat koszykarski, pełen przeróżnych staroświeckich wyrobów z wikliny. Był urząd pocztowy połączony ze sklepikiem zieleniarskim i skład tekstyliów, który handlował głównie pasmanterią i dodatkami krawieckimi, a ponadto prowadził działy obuwia dziecięcego oraz konfekcji w bogatym wyborze. Był sklep papierniczy, gdzie można się było zaopatrzyć również w wyroby tytoniowe oraz gazety, czasopisma i słodycze. Miejsce arystokraty pośród lokalnych przedsiębiorstw zajmował niewątpliwie sklep z wełną i włóczką; dwie surowe, siwowłose matrony strzegły tam niezliczonych półek z wszelkiego rodzaju materiałami dziewiarskimi, dużych zapasów wykrojów krawieckich i wzorów dziewiarskich oraz lady przeznaczonej specjalnie dla artystycznych robótek niewieścich. Miejscowy sklep spożywczy i kolonialny został ostatnio przezwany “supersamem” i miał teraz stosy drucianych koszyczków oraz suty zestaw artykułów żywnościowych i mydlarsko— perfumeryjnych opakowanych w torebki z papieru w olśniewająco jaskrawych barwach. Poza tym był tam niewielki lokal o jednym małym oknie wystawowym, na którego szybie wypisano “Lillah” bardzo fantazyjnymi literami; za szybą wystawiono luźną bluzę opatrzoną napisem “ostatnia nowość” oraz granatową spódniczkę i sweterek w szkarłatne paski, a przy nich kartonik z informacją “do nabycia osobno”. Garderoba ta leżała w witrynie bez ładu, jak gdyby wyrzuciła ją z głębi sklepu czyjaś niedbała ręka.

Herkules Poirot obserwował z umiarkowanym zainteresowaniem to wszystko, a także niezbyt liczne staroświeckie domki znajdujące się również w granicach osiedla i zwrócone frontem do ulicy. Niektóre zachowały czystość georgiańskiego stylu, atoli większość zdradzała oznaki wiktoriańskich uzupełnień i poprawek takich na przykład, jak weranda, wykuszowe okno albo nawet nieduży ogród zimowy. Kilka miało zupełnie świeże tynki, można więc było sądzić, iż pyszną się podrabianą nowoczesnością. Przy głównej ulicy stało też trochę ślicznych domków w wiejskim stylu, jak gdyby przeniesionych z dawnego świata; niektóre udawały, że są o jakieś sto lat starsze niż w rzeczywistości, niektóre były naprawdę autentyczne, a urządzenia sanitarne i inne unowocześnienia ukrywały przed postronnym okiem.

Poirot wędrował bez pośpiechu, przetrawiał rzeczy widziane. Gdyby towarzyszyła mu niecierpliwa pani Oliver, zapytałaby, czemu marnotrawi czas, skoro posiadłość, do której zmierza, leży ćwierć mili za Long Basing. Odpowiedziałby, iż wchłania miejscową atmosferę, co w pewnych przypadkach ma niepoślednią wagę. Osiedle się skończyło i nastąpiła raptowna zmiana krajobrazu. Po jednej stronie szosy ciągnął się szereg nowo zbudowanych miejskich bloków komunalnych; od jezdni oddzielał je pas zieleni, a o indywidualności świadczył pogodny akcent drzwi wejściowych,

które przy każdej sieni były innego koloru. Za blokami rozciągały się szerokie pola i żywopłoty, a tu i ówdzie widać było coś, czemu pośrednicy trudniący się sprzedażą i wynajmem nieruchomości nadają nazwę “idealnej rezydencji”. Niebawem Poirot wypatrzył budowlę, na której dachu wznosiła się baniasta konstrukcja o niecodziennym wyglądzie, najwidoczniej zainstalowana przed paroma laty. Bez wątpienia była to Mekka, ku której niosły go nogi w tej pielgrzymce. Zatrzymał się przed furtką przyozdobioną metalowym szyldzikiem z nazwą Crosshedges. Oceniał wzrokiem konwencjonalny dom pochodzący z początku naszego stulecia — ani brzydki, ani ładny. Przymiotnik “tuzinkowy” określałby go chyba najtrafniej. Niewątpliwie ogród prezentował się lepiej niż dom, gdyż zdradzał ślady dawnej pieczołowitej troski, chociaż ostatnio musiał nieco podupaść. W każdym razie znajdowały się tam nadal równe, zielone trawniki, liczne rabaty kwiatowe oraz grupy ozdobnych krzewów, sadzone z myślą o efektach kolorystycznych. Jaki taki porządek świadczył, że mieszkańcy tej siedziby na pewno zatrudniają ogrodnika. No i... Poirot zastanowił się przez chwilę... Ale sami mieszkańcy też pewnie interesują się ogrodem. Dowodzi tego postać kobieca, pochylona opodal domu nad klombem i zajęta, jak osądził słynny detektyw, podwiązywaniem dali. Kobieta była smukła, lecz szeroka w ramionach, a głowę jej wieńczyły włosy koloru najszczerzego złota. Poirot odsunął rygiel, pchnął furtkę i ruszył w kierunku domu. Spojrzała na niego. Później wyprostowała się, żeby zmierzyć przybysza pytającym wzrokiem.

Stała bez ruchu, czekała, aby on odezwał się pierwszy. Z jej dłoni zwisało pasmo ogrodniczego łyka. Była — zanotował w pamięci detektyw — trochę zaniepokojona, jak gdyby zmieszana.

— Słucham? — rzuciła wreszcie.

Poirot zachował się bardzo po cudzoziemsku. Zdjął kapelusz i zataczając nim szeroki łuk, skłonił się nisko. Kobieta nie bez zdziwienia spojrzała na jego wąsy.

— Pani Restarick?

— Tak. Chciałabym...

— Mam nadzieję, *madame*, że nie zakłócam pani porządku dnia?

— Nie. Bynajmniej. — Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie. — Czy pan...

— Ośmieliłem się złożyć państwu wizytę. Moja dobra znajoma, pani Ariadna Oliver...

— Oczywiście! Już wiem, z kim mam przyjemność. Pan Poirot.

— Poirot — skorygował detektyw z mocnym akcentem na ostatniej sylabie swojego nazwiska. — Herkules Poirot, do usług łaskawej pani. Jestem przejazdem w tej okolicy i pozwoliłem sobie odwiedzić państwa w nadziei, że zechce mnie przyjąć sir Roderick Horsefield, któremu pragnąłbym złożyć uszanowanie.

— Tak, tak... Naomi Lorrimer mówiła, że odwiedzi pan nas prawdopodobnie.

— Spodziewam się, że nie przeszkadzam.

— Skąd znowu! Ariadna była tu w czasie ostatniego weekendu. Przyjechała z Lorrimerami. Fascynujące są jej książki, prawda? Chociaż pana mogą mniej interesować. Jest pan detektywem... Prawdziwym detektywem?

— Chyba najprawdziwszym spośród prawdziwych — odparł Poirot i zauważył, że Mary Restarick pohamowała uśmiech.

Zlustrował ją wzrokiem. Była ładna, ale wszystko w niej wydawało się sztuczne. Złociste włosy miała ułożone starannie, ale nienaturalnie. Przyszło mu na myśl, że w głębi serca ta kobieta może nie być zupełnie pewna siebie. Czy ukrywa jakiś niepokój? Czy starannie gra rolę angielskiej damy pochłoniętej sprawami swojego ogrodu? Dobrze byłoby wiedzieć coś niecoś o środowisku, z jakiego pochodzi.

— Mają państwo śliczny ogród — powiedział.

— Interesuje pana ogrodnictwo?

— Inaczej niż was, Anglików. Jesteście szczególnie utalentowani w tym względzie. Ogrody mają dla was zupełnie inny sens niż dla nas.

— Francuzów?

— Jestem Belgiem, nie Francuzem.

— Aa... Tak... O ile sobie przypominam, pani Oliver mówiła, że kiedyś współpracował pan z belgijską policją.

— Istotnie. Stoi przed panią belgijski pies policyjny — Poirot roześmiał się uprzejmie i wykonał nieokreślony gest rękami. — Ach, te wasze ogrody! Jestem pełen podziwu dla Anglików. Do nóg padam! Narody romańskie lubią parki formalistyczne, pałacowe. Zawsze tworzą Wersal w miniaturze. No i, ma się rozumieć, one wymyśliły *le potager*, ogród warzywny. W Anglii macie też *le potager*, ale zapożyczyliście go z Francji. No i warzywną część ogrodu cenicie znacznie niżej niż kwiatową. Czy tak? Może nie mam racji?

— Sądzę, że pan ma rację — przyznała Mary. — Proszę do domu. Przyszedł pan przecież do naszego wuja.

— Istotnie, *madame*. Przyszedłem złożyć wyrazy szacunku sir Roderickowi. Ale hołd należy się również pani, *madame*, jak każdej piękności — odparł składając znów głęboki ukłon.

Kobieta roześmiała się z pewnym przymusem.

— Ależ mi pan prawi komplementy — powiedziała i przez otwarte drzwi balkonowe wprowadziła gościa do domu.

— W czterdziestym czwartym roku łączyła mnie z pani wujem przelotna znajomość.

— Biedaczek! Strasznie się ostatnio posunął. Jest prawie całkiem głuchy.

— Dawne to czasy, bardzo dawne — ciągnął detektyw. — Obawiam się, że sir Roderick może mnie nie pamiętać. Chodziło wtedy o pewną sprawę szpiegowską i o stosowanie najnowszych osiągnięć nauki w zagadnieniach strategicznych. Wiele zawdzięczaliśmy pomysłowości i energii sir Rodericka. Mam nadzieję, że zechce mnie dzisiaj przyjąć?

— Na pewno będzie zachwycony — podchwyciła Mary. — Prowadzi teraz monotonne życie. Ja bardzo często muszę bywać w Londynie... Wie pan, szukamy tam odpowiedniego domu — westchnęła lekko. — Starsi panowie potrafią być trudni...

— Wiem. Ja też bywam niekiedy trudnym staruszkiem.

— Pan? Skąd znowu! Proszę się tak nie postarzać — roześmiała się złotowłosa piękność.

— Czasami mówią mi, że jestem za stary — westchnął mały Belg i dodał żałośnie: — Mówią mi to młode dziewczęta.

— Ale bardzo mało uprzejme dziewczęta. Coś takiego mogłaby z powodzeniem palnąć nasza córka.

— Pani ma córkę?

— Mam. Wyrażając się ściślej to moja pasierbica.

— Miło mi będzie poznać tę młodą osobę — powiedział Poirot ze zwykłą galanterią.

— Nie ma jej w domu. Jest obecnie w Londynie, gdzie pracuje.

— W dzisiejszych czasach prawie wszystkie młode dziewczęta pracują zawodowo.

— Aha... Każda chce coś robić — bąknęła bez przekonania pani Restarick. — Nawet mężatki wracają nieraz do warsztatu, biurka lub nauczania w szkole.

— A pani nie zamierza wrócić do czegoś? — zapytał mały Belg.

— Nie. Ja pochodzę z Afryki Południowej. Do Anglii przyjechałam z mężem... bardzo niedawno. Jeszcze do dziś wszystko wydaje mi się tutaj jakieś dziwne. — Rozejrzała się dokoła bez entuzjazmu, jak osądził Poirot.

Pokój był urządzone bogato, przeciętnie, pozbawiony indywidualności. Akcent osobisty stanowiły tylko dwa duże portrety. Jeden przedstawiał kobietę o zaciśniętych ustach, ubraną w wieczorową suknię z szarego aksamitu. Z przeciwległej ściany spoglądał na nią mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, którego twarz wyrażała stłumioną energię.

— Zapewne córce państwa nudno na wsi? — wznowił rozmowę mały Belg.

— Tak. Nie jest zachwycona. Znacznie lepiej czuje się w Londynie. — Pani Restarick zrobiła pauzę i podjęła stłumionym głosem, jak gdyby z wysiłkiem dobywała z siebie słowa. — Ona mnie nie znosi.

— Nie może być! — zawołał Poirot z isticie francuską uprzejmością.

— Może... Może. Coś podobnego nierzadko się zdarza. Myślę, że dorosłej dziewczynie trudno na ogół pogodzić się z istnieniem macochy.

— Czy córka państwa bardzo kochała swoją matkę?

— Myślę, że tak. To trudna dziewczyna, jak chyba większość ich obecnie.

— Rodzice mają dziś mniejszy wpływ na córki — podchwycił z westchnieniem detektyw. — Inaczej bywało w dawnych czasach.

— Zapewne ma pan słuszność.

— Może to drażliwy temat, ale moim zdaniem, *modame*, współczesne dziewczęta zbyt beztrosko wybierają... Jak to się teraz mówi...? Chłopców, z którymi chodzą.

— Właśnie pod tym względem ojciec ma moc kłopotów z Normą. Ale nad czym tu biadać? Każdy musi eksperymentować na własny rachunek... Zaprowadzę pana do wuja Roddy'ego. Na piętrze ma własne pokoje.

Ruszyła w stronę drzwi. Poirot obejrzał się przez ramię. Ponury salon, bez charakteru, z wyjątkiem może tych portretów. Kobięcy strój wskazywał, że liczą sobie sporo lat. Pierwsza pani Restarick (jeżeli to jej podobizna) wcale nie podobała się małemu Belgowi.

— Doskonałe portrety, *madame* — powiedział.

— Wcale nieźle. Malował je Landsberger.

Tak brzmiało nazwisko portrecisty, który przed dwudziestoma laty był sławny i kazał płacić sobie wyjątkowo słono. Później reprezentowany przezeń drobiazgowy naturalizm wyszedł z mody i po śmierci artysty niewiele o nim mówiono. Czasami jego modele nazywano zjadliwie manekinami krawieckimi, lecz Poirot nie sądził, by malarstwo Landsbergera miało być aż tak kiepskie. Podejrzewał, iż specyficzna drwina kryje się pod wymuskaniem, które zdawało się przychodzić temu malarzowi bez żadnego wysiłku.

— Niedawno zostały ściągnięte ze strychu — mówiła gospodyni śpiesząc przed gościem na piętro — odświeżone... — urwała nagle; znieruchomiała wsparta palcami o poręcz schodów.

Na górnym podejściu ukazała się postać zmierzająca w dół po schodach. Wydawała się tutaj dziwnie nie na miejscu: jak gdyby do mieszczkańskiego domu zawitał nagle ktoś w maskaradowym kostiumie.

Poirot znał podobne typy. Często spotykał je na ulicach Londynu — ba! Nawet podczas zebrań towarzyskich. Przedstawiciel dzisiejszej młodzieży miał na sobie czarną marynarkę, ozdobną kamizelkę z aksamitu, bardzo obcisłe spodnie, a gęste kasztanowate loki opadały mu na kark i ramiona. Wyglądał anachronicznie i, szczerze mówiąc, ładnie, a ustalenie płci, do jakiej należał, wymagało kilku sekund obserwacji.

— Dawid! — rzuciła szorstko pani domu. — Skąd się tu wziąłeś, u licha?

Młodzieniec nie stropił się wcale.

— Spłoszyłem cię, co? — zapytał. — Przepraszam, Mary.

— Co robisz... w naszym domu? Przyjechałeś z Normą?

— Z Normą? Nie. Myślałem, że zastanę ją u was.

— U nas? Co ty pleciesz? Norma jest w Londynie.

— Nic podobnego, kochanie. W każdym razie nie ma jej pod sześćdziesiątym siódmym w Borodene Mansions.

— Nie ma jej tam? Jak to?

— Nie wróciła z weekendu. Kapujesz? Wobec tego postanowiłem skoczyć tutaj, zobaczyć, co się z nią dzieje.

— Norma wyjechała w niedzielę wieczorem, jak zawsze — powiedziała jej macocha i dorzuciła z rozdrażnieniem: — Nie wiesz, gdzie dzwonek? Nie mogłeś uprzedzić nas o swojej wizycie? Czemu myskujesz po domu?

— Po co ta mowa, kochanie? Myślisz może, że szukam srebrnych łyżek albo czegoś innego z tej branży? Chyba to nic złego wejść w biały dzień do znajomego domu, no nie?

— Widzisz, my hołdujemy staroświeckim obyczajom i takich wizyt nie lubimy.

— Jak pragnę zdrowia — obruszył się młodzieniec — lubicie robić dużo szumu dokoła z byle czego. Spływam, kochanie, bo powitałaś mnie niezbyt czule. No i wygląda na to, że nie masz pojęcia, gdzie się podziała Norma. Życzysz sobie, żebym wywrócił kieszenie?

— Nie wygłupiaj się, Dawidzie.

— No, to *ciao!*

Młodzieniec minął panią domu i Herkulesa Poirot, pożegnał ich swobodnym gestem ręki i zniknął za otwartymi drzwiami frontowymi.

— Obrzydliwy facet! — rzuciła gospodyni z zawziętością, która zdziwiła nieco małego Belga. —

Nie znoszę go. Słabo mi się robi na jego widok. Czemu dzisiejsza Anglia jest pełna takich cudaków?

— To nic groźnego, *madame*, nic groźnego. Kwestia mody. Zawsze panowała taka czy inna moda. Na wsi mniej to widać, ale w Londynie spotyka się podobnie ubraną młodzież na każdym kroku.

— Coś okropnego! Patrzę na nich ze wstrętem. Mężczyźni zniewieściali, anachroniczni...

— Ale podobni trochę do portretów van Dycka. Prawda, *madame*? O mężczyźnie w koronkowym kołnierzu, oprawionym w autentyczne, stare ramy nie powiedziałyby pani, że jest zniewieściały lub anachroniczny.

— Przyjeżdża tutaj, jak gdyby nigdy nic! Andrew byłby wściekły. Strasznie się martwi tą historią... Cóż, dzisiejsze córki potrafią stwarzać kłopotliwe sytuacje. Właściwie mój mąż prawie nie zna Normy. Wyjechał z kraju, kiedy była małym dzieckiem. Opiekę nad nią powierzył bez zastrzeżeń matce, a teraz nie wie, co z tym fantem robić. Dziewczyna jest zagadką dla niego... I, ma się rozumieć, dla mnie. Odnoszę wrażenie, że ma lekkiego bzika. Chociaż w obecnych czasach trudno o jakiś wpływ na nie wszystkie. Odpowiadają im młodzi mężczyźni najgorszego pokroju. Na przykład Norma szaleje za tym Dawidem Bakerem, no i jesteśmy bezradni. Andrew wymówił mu dom i co z tego? Sam pan widział. Facet zjawia się tutaj i wcale nie jest speszony... Zastanawiam się... Tak, prawie już postanowiłam, że o ostatniej historii nie powiem mężowi. Nie chcę go denerwować bez potrzeby. O ile mi wiadomo, nasza córka włóczy się po Londynie z tym Dawidem. I nie tylko z nim! Trafiają się jeszcze gorsi. Nie myją się nigdy, nie golą. Z długimi brodami, chodzą w ociekających brudem łachach.

— Nie warto się tym przejmować, *madame* — podchwycił Poirot z dobrotliwym uśmiechem. — Właściwe młodości wybryki przemijają.

— Tak. Liczę na to. Ale Norma jest wyjątkowo trudna. Czasami podejrzewam, że brak jej piątej klepki. Zachowuje się dziwnie. Chwilami wygląda tak, jak gdyby była nieobecna. A jej dziwaczne uprzedzenia...

— Uprzedzenia?

— Tak. Nienawidzi mnie, chociaż wcale na to nie zasłużyłam. Może była bardzo przywiązana do matki, ale... To chyba rzecz naturalna, że jej ojciec ożenił się powtórnie?

— Naprawdę nienawidzi pani?

— Z całą pewnością. Mam na to liczne dowody. Z niewysłowioną ulgą przyjąłem jej wyprawę do Londynu. Wolałam nie stwarzać trudności... — urwała raptownie, jak gdyby dopiero teraz uświadomiła sobie, że rozmawia z człowiekiem zupełnie obcym.

Herkules Poirot potrafił budzić zaufanie. Czasami można było podejrzewać, że ludzie rozmawiający z nim nie bardzo zdają sobie sprawę z jego obecności.

Mary parsknęła śmiechem.

— Mój Boże! Nie wiem, doprawdy, dlaczego opowiadam panu to wszystko. Chyba wiele rodzin boryka się z podobnymi problemami. My, biedne macochy, najczęściej dostajemy cięgi. Jesteśmy na miejscu.

Zastukała do drzwi.

— Wejść! Proszę! — ryknął stentorowy głos.

— Gość do wujaszka — oznajmiła pani domu, która poprzedzała małego Belga.

Impetyczny, barczysty staruszek o szerokiej, czerstwej twarzy spacerował po pokoju, a gdy drzwi się otwarły, ruszył żwawo w ich stronę. Za nim młoda dziewczyna siedząca przy stole porządkowała listy i papiery; nisko pochylała nad nimi głowę, ciemnowłosą i gładko uczesaną.

— Pan Herkules Poirot, wujaszku — powiedziała Mary Restarick.

Mały Belg z właściwą sobie swadą przystąpił do akcji.

— Tyle lat, sir Rodericku, tyle lat minęło, od czasu kiedy miałem przyjemność spotkać się z panem. Należy cofnąć się myślą aż do dni wojny. Ostatni raz widzieliśmy się chyba w Normandii. Tak! Przypominam sobie dokładnie. Byli tam również pułkownik Race i generał Abercromby, i marszałek lotnictwa, sir Edmund Collingsby. Jakie prowadziliśmy rozmowy! Jakie decyzje musieliśmy powziąć. Ile trudności nastęrczała ochrona tajemnicy! Dziś nie są to już sprawy tajne. Pamięta pan, sir Rodericku, zdemaskowanie agenta, któremu gra udawała się tak długo? Nazywał się kapitan Henderson.

— Tak, tak... Henderson. To świnia! Zdemaskowany, hę?

— Pan mnie być może nie pamięta. Herkules Poirot.

— Ależ pamiętam, pamiętam. Koronkowa była robota, hę? Koronkowa. Pan reprezentował Francję. Był z panem ktoś drugi, może i trzeci... Do diabła! Zapomniałem nazwiska. Proszę siadać. Tak, proszę siadać. Nie ma nic miłszego nad pogawędkę o dawnych dobrych czasach.

— Obawiałem się, sir Rodericku, że nie zdoła pan przypomnieć sobie mnie ani mojego ówczesnego kolegi, pana Giraud.

— Skąd znowu! Wybornie pamiętam was obydwu. To były czasy, hę? To były czasy!

Ciemnowłosa dziewczyna wstała od stołu i uprzejmie przysunęła gościowi krzesło.

— Dziękuję, Soniu, stokrotnie dziękuję — ożywił się staruszek. — Niechaj mi wolno będzie przedstawić pana mojej uroczej młodej sekretarce. To skarb bezcenny. Rozumie pan, hę? Pomaga mi, prowadzi całe moje archiwum. Nie mam pojęcia, jak radziłbym sobie bez niej.

— *Enchante, mademoiselle* — powiedział Poirot z pełnym gracji ukłonem.

W odpowiedzi dziewczyna bąknęła coś niedosłyszalnie. Była drobna i miała ciemne włosy obcięte na pazia. Sprawiała wrażenie lękliwej. Nie podniosła spuszczonej skromnie ciemnoniebieskich oczu, ale do pracodawcy uśmiechnęła się życzliwie i nieśmiało. Staruszek pogłaskał ją po ramieniu.

— Nie mam pojęcia, jak radziłbym sobie bez niej — powtórzył. — Słowo honoru, nie mam pojęcia.

— Nic podobnego, sir Rodericku — zaprotestowała. — Jaka tam ze mnie sekretarka? Nie umiem nawet pisać prędko na maszynie.

— Na moje potrzeby, Soniu, twoja szybkość starczy. No i jesteś moją pamięcią. Zastępujesz mi słuch, wzrok, diabli wiedzą, co. Hę?

Dziewczyna uśmiechnęła się powtórnie.

— Przypominam sobie — podjął Poirot — przeróżne sensacyjne anegdoty, które wtedy kursowały. Nie wiem, ma się rozumieć, czy i w jakim stopniu były przesadzone. Oczywiście mam na myśli między innymi przygodę ze skradzionym panu samochodem — i począł rozwijać przydługą opowieść. Staruszek był wniebowzięty.

— Cha! Cha! Cha! Tak. Rzecz oczywista, jest w tym coś niecoś blagi. Z czymś takim należało się liczyć. Ale, ogólnie biorąc, awantura wyglądała podobnie. Że też pan pamięta podobne drobnostki po tylu latach! Ja mógłbym opowiedzieć panu coś grubo lepszego — oznajmił sir Roderick Horsefield i zaczął opowiadać kolejną anegdotę.

Poirot wysłuchał jej uprzejmie, dał wyraz uznaniu i ostatecznie wstał spojrzawszy na zegarek.

— Nie śmiałbym absorbować pana dłużej, szanowny panie — powiedział. — Widzę, że jest pan zajęty pracą niewątpliwie doniosłej wagi. Po prostu znalazłem się przypadkowo w tej okolicy i nie mogłem odmówić sobie przyjemności złożenia panu wyrazów szacunku. Lata mijają, ale pan nie traci nic z dawnej energii i radości życia.

— No, no... może jest w tym trochę racji, hę? Ale, widzi pan, nie jestem chciwy komplementów. Prawda...! Zostanie pan na podwieczorku, hę? Z pewnością Mary nie poskąpi panu herbatki — rozejrzał się dokoła. — No i co? Poszła sobie. Przyjemna kobietka.

— Słusznie. Przyjemna i wyjątkowo ładna. Myślę, że od lat serdecznie opiekuje się panem?

— Od lat? Skąd znowu! Oni się pobrali niedawno. To druga żona mojego siostrzeńca. Będę z panem całkiem szczery. Andrew to niespokojny facet, diablo nie zrównoważony. Simon, jego starszy brat, był moim faworytem, ale jego też nie znałem bliżej. Andrew postąpił obrzydliwie z pierwszą żoną. Zostawił ją na lodzie. Dał drapaką, wie pan! Dał drapaką z ostatnią lafiryndą. Wszyscy o niej wszystko wiedzieli. Ale on się zakochał, dureń! Po dwu latach był koniec z wielką miłością. Przynajmniej ta Mary, z którą ożenił się niedawno, robi wrażenie osoby na miejscu. Nigdy o niej nic złego nie słyszałem. Tak... tak... Simon to był chłop z charakterem, chociaż piekielnie nudny. Muszę przyznać, że wcale nie byłem kontent, kiedy moja siostra wychodziła za mąż. Handlarska rodzina,

rozumie pan. Bogata, rzecz jasna, ale pieniądze to jeszcze nie wszystko. Nasze kobiety brały zawsze za mężów wojskowych albo urzędników administracji cywilnej. Ludzi pokroju Restaricków rzadko się wśród nich spotykało.

— O ile mi wiadomo, mają córkę. Moja znajoma poznała ją w zeszłym tygodniu.

— Aha. Jest córka. Norma. Głupia dziewczucha. Chodzi obrzydliwie ubrana i zwąchała się z jakimś mocno podejrzanym bubkiem. Długowłosa facet. Nazywają takich bitnikami, Beatlesami i jeszcze tam jakoś. Nie trawię ich i tyle. Mówią niby po naszemu, lecz jak gdyby obcym językiem. Ale cóż? Nikt nie chce dzisiaj słuchać krytycznych uwag starego dziada. Nawet Mary... Od początku zdawało mi się, że z nią wszystko w porządku. I co? Także potrafi histeryzować, głównie na temat własnego zdrowia. Tyle było zamętu i kłopotu z jej wyjazdem do szpitala na obserwację. Napije się pan czegoś? Może whisky? Nie? W takim razie Mary poczęstuje pana podwieczorkiem.

— Bardzo dziękuję. Jestem tutaj w gościnie u znajomych.

— Ha, trudno... Pogawędka z panem sprawiła mi wielką przyjemność. Miło czasami powspominać dawne lata, he? Soniu, drogie dziecko, zaprowadź pana... I znów nazwisko wyleciało mi z głowy...! Tak. Oczywiście Poirot! Będziesz łaskawa zaprowadzić pana Poirota do Mary?

— Ależ dziękuję! — Detektyw spiesznie odrzucił ofertę. — Nie ośmieliłbym się trudzić pani Restarick raz jeszcze. Poradzę sobie. Sam znajdę drogę powrotną. Z prawdziwą satysfakcją, sir Rodericku, odnowiłem dawną z panem znajomość — zakończył i opuścił pokój.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, sir Roderick burknął:

— Nie mam zielonego pojęcia, co to za jeden.

— Nie ma pan pojęcia? — Sonia spojrzała ze zdumieniem na staruszką.

— Otwarcie mówiąc, nie pamiętam połowy osób, które do mnie przychodzą. Naturalnie muszę jakoś lawirować i zwykle trafiam w sedno. Widzisz, moja droga, człowiek wciąż uczy się w miarę potrzeby. Podobnie bywa na przyjęciach. Podchodzi do mnie facet i mówi: “Zapewne pan nie przypomina mnie sobie. Ostatnio widzieliśmy się w trzydziestym dziewiątym roku”. Ja na to: “Pamiętam doskonale, ależ oczywiście”. Ale go wcale nie pamiętam. Sprawę komplikuje fakt, że jestem prawie niewidomy i kiepsko słyszę. Pod koniec wojny kumaliśmy się z całą gromadą takich jak ten żabojadów. Połowy z nich nie przypominam sobie. Ten musiał rzeczywiście być w Normandii. Zna mnie, a ja znałem ludzi, o których paplał. No i bliska prawdy była jego historia o mnie i ukradzionym mi samochodzie. Naturalnie z lekka przesadzona, ale i na gorąco krążyła w różnych wersjach. Chyba nie spostrzegł, że ani rusz nie mogę go sobie przypomnieć? Jakiś cwaniak, he? Ale, że się tak wyrażę, typowy żabojad. Rozumiesz, moja droga? Wdzięczyłby się tylko i mizdrzył, kłaniał, tańczył na paluszkach f No, do roboty! Na czym stanęliśmy?

Sonia podała pracodawcy list i przy sposobności podsunęła dyskretnie okulary, które odrzucił natychmiast.

— Po co mi to świństwo! I tak dobrze widzę.

Zezem spojrzał z bliska na arkusik, który trzymał w palcach. Później skapitulował i zwrócił go dziewczynie.

— Myślę, moja droga, że lepiej ty mi przeczytasz. W pokoju rozległ się czysty, miękki głos Soni.

V

Herkules Poirot przystanął na podeście pierwszego piętra. Głowę przechylił na bok. Nasłuchiwał. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Postąpił kilka kroków i wyrztał przez okno. Nie bez zadowolenia stwierdził, że pani Restarick jest na tarasie, nadal zajęta jakimiś robotami ogrodniczymi. Cicho ruszył wzdłuż korytarza i jął otwierać kolejno drzwi. Łazienka. Schowek na bieliznę pościelową. Dwuosobowy pokój gościnny. Sypialnia z jednym szerokim łóżkiem — niewątpliwie kobieca. Czy zajmuje ją Mary Restarick? Za następnymi drzwiami drugi pokój sypialny — jak przypuszczał Poirot, należący do pana domu. Wrócił na podest i zapuścił się w korytarz po przeciwległej stronie. Pierwsze drzwi które otworzył, prowadziły do jednoosobowej sypialni — nie zamieszkaney na stałe, lecz używanej sporadycznie; być może w czasie weekendów? Na stoliku toaletowym znajdowały się flakony i szczotki. Poirot na palcach wszedł do pokoju. Otworzył szafę. Ma się rozumieć! Wisi w niej trochę damskiej odzieży, typowo weekendowej.

Na biurczku Poirot nie dostrzegł nic godnego uwagi. Wysunął szufladę i wśród rozmaitych szpargałów znalazł dwa listy o zdawkowej treści i dosyć dawnych datach. Zatrzasnął szufladę i opuściwszy pokój, zszedł jak najciszej na parter. Przed domem pożegnał panią Restarick i podziękował za herbatę ponownie zaproponowaną przez gościnną gospodynię. Powiedział, że swoim gospodarzom przyrzekł niedługo powrócić, a wkrótce będzie musiał złapać pociąg do Londynu.

— Może zatelefonować po taksówkę? Albo ja odwiozę pana samochodem.

— Stokrotne dzięki. Nie ośmieliłbym się, *madame*, nadużywać pani uprzejmości — odrzekł.

Jeszcze raz przemierzył główną ulicę osiedla i za kościołem skręcił w boczną alejkę. Minał most na strumyku i wkrótce zobaczył duży samochód oczekujący dyskretnie pod rozłożystym bukiem. Kierowca otworzył drzwi wozu, a Poirot usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu i z westchnieniem ulgi zrzucił lakierki.

— Wracamy do Londynu — powiedział.

Kierowca zamknął drzwi, zajął swoje miejsce i samochód ruszył bezszelestnie. Widok młodego mężczyzny, który stojąc na poboczu gestykuluje zawzięcie i w ten sposób prosi o podwiezienie, jest zjawiskiem powszednim. I tym razem Poirot popatrzył obojętnie na długowłosego, wyzywająco ubranego chłopca, ale w momencie kiedy go minęli, wyprostował się nagle i rzucił kierowcy:

— Proszę stanąć. Cofnąć wóz trochę... Ktoś prosi, żeby go podwieźć.

Kierowca odwrócił głowę i przez ramię zmierzył pracodawcę pełnym niedowierzania wzrokiem. Ostatnia rzecz, jakiej mógł oczekiwać. Ale Poirot twierdząco skinął głową, więc jego polecenie zostało posłusznie wykonane.

Młody człowiek imieniem Dawid podszedł szybko do drzwi wozu.

— Myślałem już, że się pan nie zatrzyma — powiedział swobodnie. — Bardzo dziękuję.

Wsiadł, zsunął z ramienia sporą torbę i ustawivszy ją na podłodze, przyglądał loki koloru miedzi.

— Poznał pan mnie, co?

— Aha. Jest pan ubrany w sposób, powiedziałbym, zwracający uwagę.

— Tak pan sądzi? Ja nie powiedziałbym tego. Mam wielu braci podobnych do mnie kubek w kubek.

— Mówi pan o chłopcach ubranych według szkoły van Dycka? Bardzo jesteście strojni.

— Oo... Nigdy coś podobnego nie przyszło mi do głowy. Może ma pan ciut racji, no nie?

— Jako uzupełnienie kostiumu zaleciłbym stuartowski kapelusz i kołnierz z koronek.

Młodzieniec parsknął śmiechem.

— Powiada pan? Tak daleko nie posuniemy się chyba. Pani Restarick nie może na mnie patrzeć, a ja, żeby być szczerym, odwzajemniam jej uczucia. Stary Restarick też mi nie odpowiada. Jest coś odrażającego w geszefciarzu, który się dorobił, no nie?

— To zależy od zapatrywań. Podobno jest pan wielbicielem córki pana Restaricka?

— “Jest pan wielbicielem”. Ładny zwrot. Gładki, no nie? To też zależy od punktu widzenia. Dziś takie sprawy są wzajemne. Ona, kapuje pan, jest także moją wielbicielką.

— Gdzie panna Restarick przebywa obecnie?

Dawid spojrzał bystro na małego Belga.

— A pan z jakiego tytułu o to pyta?

Poirot wzruszył ramionami.

— Chętnie poznałbym tę młodą osobę.

— Myślę, że nie będzie bardziej niż ja w pańskim guście. Norma jest w Londynie.

— Ale powiedział pan jej macosze...

— Nie wszystko mówi się macochom — podchwycił Dawid.

— A więc panna Restarick jest w Londynie... Gdzie mianowicie?

— Pracuje w jednym przedsiębiorstwie dekoracji wnętrz, gdzieś w Chelsea przy King's Road. Nie pamiętam nazwiska właścicielki. Zdaje się, Susan Phelps.

— Ale nie mieszka tam jak sądzę. Ma pan jej adres?

— Jasne! To takie wielkie, nowoczesne bloki. Doprawdy, nie rozumiem pańskiego zainteresowania.

— Widzi pan, interesują mnie sprawy bardzo rozmaite.

— Na przykład?

— Co sprowadziło dzisiaj pana do... do Crosshedges, o ile zapamiętałem nazwę tej posiadłości? Co sprowadziło pana tak ukradkiem do domu i na piętro?

— Przyznaję, że wtargnąłem tam kuchennym wejściem.

— A czego szukał pan na górze?

— To moja sprawa. Nie chciałbym okazać się gburem, ale czy pan nie ma ciut za długiego nosa?

— Tak. Należę do klubu ciekawskich. Radbym wiedzieć dokładnie, gdzie przebywa obecnie młoda osoba, o której mowa.

— Aha... Kochany Andrew i kochana Mary! Niech ich grom spali! Najęli pana, no nie? Szukają Normy.

— O ile mi wiadomo, nie orientują się dotąd, że panna Restarick gdzieś się zawieruszyła.

— Ale ktoś musiał pana nająć, no nie?

— Nad wyraz pan domyślny — bąknął Poirot i rozsiadł się wygodnie.

— Ciekaw byłem, co pan chce wywęszyć — podjął Dawid. — Dlatego czekałem na poboczu. Spodziewałem się, że pozwoli mi pan skorzystać z autostopu i przy okazji oświeci trochę. Norma jest moją dziewczyną. Chyba o tym panu wiadomo?

— Odniosłem wrażenie, że na to wygląda. A więc powinien pan wiedzieć, gdzie panna Restarick podziewa się obecnie. W przeciwnym razie, panie... Bardzo przepraszam, ale nie znam nazwiska... Słyszałem tylko imię: Dawid.

— Dawid Baker.

— W przeciwnym razie, proszę pana, należy podejrzewać, że wynikła między wami kłótnia.

— Nic podobnego. Skąd takie podejrzenia?

— Panna Norma Restarick wyjeżdża zazwyczaj z Crosshedges w niedzielę wieczorem czy też w poniedziałek rano?

— Różnie bywa. Pierwszy autobus poranny przyjeżdża do Londynu tuż po dziesiątej. Korzystając z niego Norma spóźnia się do pracy trochę, ale niewiele. Ale zwykle wyjeżdża z Crosshedges w niedzielę wieczorem.

— Innymi słowy opuściła dom ojca w niedzielę wieczorem, ale w Borodene Mansions nie wylądowała?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej Claudia tak mówi.

— Panna Reece–Holland, prawda? Jest zdziwiona czy zaniepokojona?

— Czemu, jak pragnę zdrowia, miałyby dziwić się albo niepokoić? Te babki nie pilnują się nawzajem całymi dniami.

— Ale pan był przekonany, że panna Restarick tam się pokaże, co?

— Nie pokazała się też w pracy. Mają jej tam, powiadam panu, wyżej uszu.

— I nie niepokoi się pan?

— Nie... Tyle, że nie kapuję, o co chodzi. To nie powód do niepokoju, chociaż... Chociaż czas leci. Co to dziś mamy? Czwartek.

— Nie było między wami nieporozumień?

— Nie.

— I jest pan zaniepokojony, prawda?

— A panu co do tego?

— Absolutnie nic. Słyszałem jednak o jakichś nieporozumieniach rodzinnych w Crosshedges. Panna Restarick nie cierpi macochy, prawda?

— Ma rację! To przecież kurwizzon i cholerna jędza. Ona także nie cierpi Normy.

— Chorowała ostatnio, o ile się nie mylę? Była w szpitalu?

— Kto? Norma?

— Nie. Mówiłem o pani, nie pannie Restarick.

— Zdaje się była w jakiejś lecznicy. Diabli wiedzą po co? Babka silna jak koń.

— Powiada pan, że panna Restarick nienawidzi macochy?

— Aha... Chwilami bywa trochę niezrównoważona... To znaczy Norma. Gada mętnie, prawie od rzeczy. Zresztą na ogół dziewczyny nie mają serca do swoich macoch. Mówię panu!

— Ale czy wszystkie macochy chorują z tego powodu, chorują obłożnie i trafiają do szpitala?

— Do czego pan zmierza, u diabła?

— Może do zajęć ogrodniczych i stosowania środków chwastobójczych.

— Co? Zawracanie głowy! Środki chwastobójcze! Insynuuje pan, że Norma... że mogła wpaść na pomysł... — zająknął się Dawid.

— Tak ludzie gadają — podchwycił Poirot. — Różne plotki krążą.

— Ma pan na myśli plotki, że Norma próbowała otruć macochę? To kpiny. Brednie z palca wyssane!

— Istotnie, historia wydaje się mało prawdopodobna. Zresztą sąsiedzi też o tym nie wspominali.

— Aa... Widać źle pana zrozumiałem... W takim razie, o czym pan gadał?

— Mówiłem, drogi panie, że kursują plotki, a podobne plotki dotyczą zawsze jednej i tej samej osoby: współmałżonka domniemanej ofiary.

— Ha! Biedny Andrew! Ale to też chyba mało prawdopodobna historia.

— Tak... Jestem pańskiego zdania.

— Więc, co ostatecznie chciał pan wywęszyć w Crosshedges? Jest pan detektywem, no nie?

— Tak.

— A zatem?...

— Pan mówi o czym innym, ja o czym innym. Nie wybrałem się tam, by prowadzić śledztwo w sprawie podejrzeń o usiłowanie otrucia. Proszę wybaczyć, ale na pańskie obcesowe pytania nie mogę udzielić wyczerpującej odpowiedzi. W grę wchodzi kwestie nad wyraz poufne.

— Nic nie kapuję!

— Wybrałem się do Crosshedges, aby pomówić z sir Roderickiem Horsefieldem.

— Co? Z tym starym ramolem? Facet jest kompletnie zdiecinniały.

— Ale jest w posiadaniu wielu, bardzo wielu spraw tajnych. Nie twierdzę, że dziś bierze w coś udział. Niejedno wszakże wie. Podczas wojny odgrywał poważną rolę. Znał rozmaitych ludzi.

— Tyle lat temu!

— Tak. Jego rola dawno się skończyła. Czy jednak nie rozumie pan, że nawet teraz to lub owo mogłoby kogoś żywo interesować?

— Co mianowicie?

— Powiedzmy, ludzkie twarze — odparł z namysłem Poirot. — Jakaś znana w swoim czasie twarz, którą sir Roderick mógłby rozpoznać. Twarz albo inne cechy charakterystyczne: sposób mówienia, chód, ruchy. Widzi pan, ludzie mają pamięć. Zwłaszcza starzy ludzie. Pamiętają nie to, co przytrafiło się w zeszłym tygodniu, miesiącu, roku, lecz wydarzenia sprzed, dajmy na to, lat blisko dwudziestu. Mogą także pamiętać kogoś, kto woli, aby o nim zapomniano. Mogą udzielić konkretnych wiadomości o określonej osobie czy też sprawie, w której niegdyś uczestniczyli. Ma się rozumieć, mówię bardzo ogólnikowo. Tak czy inaczej wybrałem się do sir Rodericka Horsefielda po informacje.

— Po informacje? Do takiego ramola! I uzyskał pan coś?

— Nie mogę się skarżyć.

Dawid spojrział ze zdumieniem na małego Belga.

— Nic nie kapuję — podjął. — Kogo właściwie chciał pan widzieć: stetryczalego dziadka czy przystojną i skromną dziewczuszkę? Może próbował pan wyniuchać, co tamta robi w Crosshedges? Sam nieraz zastanawiałem się nad tym. Myśli pan, że przyjęła posadę, by ze starego wydusić jakieś informacje z myszką?

— Myślę, że dalsza nasza rozmowa na ten temat niewiele przyniesie. Odniosłem wrażenie, że to bardzo oddana sir Roderickowi i dbająca o niego... Co właściwie? Sekretarka?

— Chyba jest czymś pośrednim między siostrą miłosierdzia, sekretarką, damą do towarzystwa, opiekunką... Taka pomoc do wszystkiego przy zgrzybiałym wujaszku. Można by nazwać tę babkę bardzo różnie. Stary przepada za nią. Zauważył pan, no nie?

— W istniejących warunkach wydaje się to całkiem naturalne — odparł ostrożnie Poirot.

— Ale jest ktoś, kto jej nie lubi. Zaraz panu powiem kto. Mary!

— I ona na pewno też nie lubi pani Restarick?

— Tak pan sądzi? Sonia nie lubi Mary Restarick... Hm... A nie podejrzewa pan przypadkiem, że to ona mogła dopytywać się, gdzie są przechowywane środki chwastobójcze? Ogólnie biorąc, dęta historia! No cóż? Dziękuję za podwiezienie. Wsiądę tutaj.

— Ma pan coś do załatwienia tutaj? O dobre siedem mil od Londynu?

— Aha. Do widzenia, *monsieur*.

— Żegnam pana.

Młody człowiek trzasnął drzwiczkami wozu, a Poirot znów rozsiadł się wygodnie.

Pani Oliver krążyła niespokojnie po swoim salonie. Była bardzo wzburzona. Przed godziną zapakowała skorygowany ostatecznie maszynopis. Teraz miała odesłać go wydawcy, który od pewnego czasu zdradzał objawy zniecierpliwienia i co trzy lub cztery dni ponawiał monity.

— No i co? — mówiła autorka zwracając się do urojonego wydawcy. — No i co? Spodziewa się pan czegoś na poziomie. A mnie nie podoba się wcale ta chała. Okropna chała! Pan nie ma przecież zielonego pojęcia, czy to, co ja piszę, jest złe, czy dobre. W każdym razie, ostrzegałam w porę. Mówiłam, że mam na warsztacie okropne świństwo. A pan na to: “Skąd znowu! Nie wierzę”. Teraz się przekonamy... Edith! — krzyknęła uchylwszy drzwi, a gdy nadeszła pokojowa, kazała jej niezwłocznie odnieść paczkę na pocztę.

— No i co dalej? — podjęła przerwany monolog. — Co teraz zrobić!

Znowu zaczęła krążyć po pokoju i snuła dalej rozważania.

— Szkoda, że zamiast idiotycznych wiśni nie mam na ścianach egzotycznych roślin i ptaków, jak dawniej. Czułam się wtedy jak coś z podzwrotnikowej dżungli: lew, tygrys, lampart. A dziś, w sadzie wiśniowym, czym się czuć mogę? Najwyżej strachem na wróble.

Rozejrzała się wokół i ciągnęła smętnie:

— Albo mogłabym ćwierkać jak ptaszek. Ćwierkać i dziobać wiśnie... Szkoda, że to nie sezon na te owoce... A może by tak... — Szybko podeszła do telefonu i w odpowiedzi na swoje pytanie usłyszała głos George'a:

— Zaraz sprawdzę, proszę pani.

Po chwili inny głos zaszemrał w słuchawce.

— Herkules Poirot, do usług drogiej pani.

— Gdzie się pan podziewał? — zaczęła autorka powieści kryminalnych. — Przez cały dzień nie było pana w domu. Podejrzewam mały wypad do Restaricków, żeby skontrolować to i owo. Zgadłam? Rozmawiał pan z sir Roderickiem? Co pan wyniuchał?

— Szczerze mówiąc, nic.

— Ponura historia!

— Nie. Raczej zastanawiająca historia, że nic nie wyniuchałem.

— Zastanawiająca? Czemu? Nie rozumiem.

— Ponieważ — brzmiała odpowiedź — może mieć sens dwojaki. Albo nie ma tam nic do wyniuchania, co nie zgadzałoby się z faktami. Albo coś jest bardzo pomysłowo ukrywane. Takie coś

mogłoby okazać się nad wyraz interesujące. Nawiasem mówiąc, pani Restarick nie ma pojęcia, że Norma gdzieś się zawieruszyła.

— Sądzi pan, że nie maczała palców w tym zawieruszeniu?

— Prawdopodobnie nie maczała. A... Spotkałem też młodego człowieka.

— Mówi pan o nieodpowiednim wielbicielu?

— Tak. Właśnie o nim.

— Osądził pan, że jest naprawdę niepożądany?

— Z czyjego punktu widzenia? — zapytał Poirot.

— No, nie z punktu widzenia tej małej.

— Słusznie. Dziewczyna, która zgłosiła się do mnie, mogła być takim typem oczarowana.

— Jak wygląda? Bardzo obrzydliwy?

— Nie. Bardzo piękny.

— Piękny? — powtórzyła pani Oliver. — Czy ja wiem. Chyba nie podobają mi się piękni chłopcy.

— Ale podobają się dziewczętom.

— Słusznie. Młode dziewczęta lubią pięknych chłopców. To znaczy nie przystojnych, eleganckich czy dobrze ubranych albo umytych jak należy. Odpowiadają im chłopcy wyglądający tak, jak gdyby występowali w komedii z czasów ostatnich Stuartów albo też chłopcy o wyglądzie trampów.

— Odniosłem wrażenie — podjął Poirot — że i on nie wie, gdzie przebywa obecnie panna Restarick.

— Albo nie chce się przyznać, że wie — uzupełniła.

— Być może. Przyjechał do Crosshedges. Dlaczego? Wszedł do domu tak, by go nikt nie zauważył. Drugi raz: dlaczego? Co mógł mieć na celu? Szukać Normy? Szukał kogoś lub czegoś?

— Sądzi pan, że czegoś szukał?

— Tak. I to w pokoju swojej flamy.

— Skąd pan wie? Widział go pan w jej pokoju?

— Nie. Widziałem go w momencie, gdy schodził z piętra na parter. Ale w pokoju tej małej znalazłem śliczną, zupełnie świeżą grudkę błota. Czy nie odlepiła się od jego trzewika? Może Norma prosiła go o przywiezienie czegoś, co znajdowało się w jej pokoju? Czy ja wiem? Istnieje niemało

możliwości. W Crosshedges mieszka druga młoda dziewczyna... Nawet bardzo ładna... Pan Baker mógł przyjechać do niej. Tak... Są rozmaite możliwości.

— A teraz co pan myśli robić?

— Nic.

— Ponura historia! — powtórzyła pani Oliver tonem dezaprobaty.

— Prawdopodobnie uzyskam nieco informacji od osób, którym poleciłem ich zebranie. Ale równie dobrze mogę niczego się nie dowiedzieć.

— I nic nie myśli pan robić?

— Nic. Póki nie nadejdzie stosowna chwila.

— A ja nie będę próżnowała — oznajmiła autorka powieści kryminalnych.

— Tylko proszę uważać na siebie — zaniepokoił się Poirot. — Bardzo proszę.

— Nonsens! Co może mi grozić?

— Tam, gdzie w grę wchodzi morderstwo, wszystko może grozić. Ja to pani powiadam. Herkules Poirot.

VI

Na krześle siedział pan Goby — drobny, zasuszony człeczyna, tak bez wyrazu, jak gdyby nie istniał wcale.

Bacznie przyglądał się zakończonej mosiężnymi szponami nodze staroświeckiego stołu i przemawiał do niej. Pan Goby nigdy nie zwracał się wprost do osoby, z którą konferował.

— Bardzo dobrze — mówił — że postarał się pan o nazwiska. Inaczej poszłoby na marne sporo czasu. A tak mam już zasadnicze fakty i, widzi pan, na dokładkę trochę plotek... Plotki przydają się zawsze... Pozwoli pan, że zacznę od Borodene Mansions?

Poirot łaskawie skinął głową.

— Jest tam kilku odźwiernych — poinformował pan Goby zegar zdobiący półkę nad kominkiem. — Na początek puściłem w ruch paru chłopców, nie jednego. To kosztuje, ale opłaca się na pewno. Wolałem nie wywoływać podejrzeń, że ktoś próbuje wywęszyć coś konkretnego. Czy mam używać inicjałów, czy nazwisk.

— W tych czterech ścianach może pan posługiwać się nazwiskami — powiedział Poirot.

— A więc panna Claudia Reece-Holland. Mówi się o niej, jako o młodej damie, doskonale wychowanej. Ojciec deputowany do parlamentu. Człowiek z ambicjami. Wzmianki o nim często trafiają do prasy. Ona jest jego jedyną córką. Zatrudniona w charakterze sekretarki. Solidna dziewczyna. Nie bywa u niej hałaśliwych przyjęć, pijatyk, nie zadaje się z podejrzanymi typami. Lokal zajmuje wspólnie z dwoma innymi młodymi osobami. Druga pracuje w galerii sztuki Wedderburna przy Bond Street. Ma artystyczne zacięcie. Rozrabia trochę w rozmaitych towarzystwach z Chelsea. Od czasu do czasu wyjeżdża z Londynu, żeby urządzać wystawy i kiermasze sztuki.

— Trzecia lokatorka — ciągnął monotennie pan Goby — to właśnie pański przedmiot zainteresowania. Niedawno tam mieszka. Na ogół ma opinię lekko pomyłonej... że niby nie wszystko w głowie po kolei. Ale pogłoski są raczej mętne. Jeden z odźwiernych jest wyjątkowo gadatliwy. Wystarczy postawić mu kielicha, żeby dużo różnych rzeczy usłyszeć. Powie, kto za kołnierz nie wylewa, kto ma coś wspólnego z narkotykami albo robi jakieś cuda z podatkiem dochodowym, albo trzyma gotówkę za rezerwuarem WC. Ma się rozumieć nie wszystko zasługuje na wiarę. W każdym razie ten facet mówił, że raz w nocy usłyszał wystrzał rewolwerowy.

— Wystrzał rewolwerowy? Był ktoś ranny? — zainteresował się Poirot.

— Pod tym względem nasuwają się wątpliwości. Odźwierny mówi, że jednej nocy usłyszał wystrzał, więc wyszedł z dyżurki na parterze zobaczyć, co się dzieje. No i zobaczył tę pańską młodą osobę z rewolwerem w ręku. Robiła wtedy wrażenie nie całkiem przytomnej. Wkrótce jedna z jej

współlokatorek... lub raczej obie nadbiegły i panna Cary (ta z artystycznym zacięciem) powiada: "Norma! Coś ty zrobiła, dziewczyno?" A panna Reece-Holland rzuciła jej ostro, to znaczy pannie Cary: "Nie wygłupiaj się, Frances! Cicho bądź!" Później odebrała pannie Restarick rewolwer, mówiąc: "Daj mi to, Normo". Schowała go do torebki, a że spostrzegła wtedy odźwiernego, który ma na imię Micky, podeszła do niego i zaczęła niby żartami, ze śmiechem: "Pewno się pan wystraszył, co?" A kiedy Micky przyznał, że był istotnie zdziwiony, dodała: "Nie ma się czym przejmować. Widzi pan, nie wiedziałyśmy, że rewolwer nabity. Tak często kończą się niemądre figle. A gdyby ktoś pytał pana o tę historyjkę, proszę powiedzieć, że nic się nie stało. Idziemy, Normo!" — zwróciła się do panny Restarick, wzięła ją pod rękę i wszystkie razem wsiadły do windy i pojechały na górę. Ale Micky wcale się nie uspokoił. Wyszedł na dziedziniec i co mógł, obejrzał dokładnie.

Pan Goby zajrzał do swojego notesu i począł cytować słowa odźwiernego:

— "No i powiadam ci, bracie, znalazłem! Jak pragnę zdrowia, znalazłem wilgotne plamy. Krople krwi! Dotykałem ich tymi palcami! Możesz mi wierzyć. No i zaraz usłyszysz, co wykombinowałem. Wykombinowałem, że ktoś został postrzelony... Jakiś facet, który na pewno uciekł. Pojechałem na górę, żeby pogadać z panną Reece-Holland. »Wygląda na to, że ktoś został postrzelony. Na podwórzu są ślady krwi«. A ona: »Wielki Boże! Ale wie pan co? Pewno dostało się jakiemuś gołębiowi. Strasznie mi przykro, że miał pan tyle kłopotu« — powiada i wciska mi w garść pięcioletni papier. Kapujesz, bracie! Pięcioletni papier! Ni mniej, ni więcej".

Pan Goby zrobił krótką pauzę.

— Później, po następnej whisky, Micky dorzucił coś niecoś. Mówił: "Na mój rozum dziewczyna wygarnęła do tego podejrzanego faceta, z którym chodzi. Pewno mieli drakę, no i ona chciała go rąbnąć. Na mój rozum tak było. Ale, widzisz, bracie, im mniej gadać, tym lepiej, a jak mnie kto zapyta, odpowiem, że całkiem nie kapuję, o czym mowa".

— Ciekawe — wtrącił Poirot wykorzystując następną pauzę.

— Aha. Ciekawe — przyznał pan Goby. — Nie wykluczam jednak, że to kłamstwo. Chodzą też słuchy o bandzie wyrostków, chuliganów, która jednej nocy wtargnęła na dziedziniec. Podobno wynikła awantura. Poszły w ruch noże sprężynowe.

— Rozumiem... Inne prawdopodobne wyjaśnienia śladów krwi.

— Może panna Restarick pokłóciła się ze swoim kawalerem. Groziła, że go zastrzeli. Micky podsłuchał to i wszystko poplątało mu się w głowie... Tak... Zwłaszcza jeżeli w tym czasie strzeliła rura wydechowa przejeżdżającego samochodu.

— Aha — przyznał Poirot. — To chyba wersja bardzo prawdopodobna.

Pan Goby odwrócił kartkę notesu i poszukawszy wzrokiem nowego powiernika, obrał grzejnik elektryczny.

— Joshua Restarick, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Firma rodzinna. Istnieje z górą sto

lat. Od początku prowadzona na zdrowych zasadach. W City ma dobrą reputację. W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym założył ją Joshua Restarick. Rozwinęła się znacznie po pierwszej wojnie światowej. Wzrosły wtedy jej zagraniczne lokaty, szczególnie w Afryce Południowej, Afryce Zachodniej i w Australii. Ostatni przedstawiciele rodziny Restaricków to Simon i Andrew. Simon, starszy brat, zmarł bezpotomnie przed rokiem. Kilka lat wcześniej owdowiał. Andrew Restarick uchodził za niespokojnego ducha. Nigdy nie interesował się naprawdę sprawami firmy, jakkolwiek miał opinię uzdolnionego handlowca. Ostatecznie uciekł z jakąś kobietą porzucając żonę i córkę, która miała wtedy pięć lat. Rozwodu nie przeprowadził. Jego żona umarła dwa lata temu. Przez długi czas była poważnie chora. Andrew Restarick wiele podróżował i, jak się zdaje, wszędzie robił pieniądze. Zajmował się przeważnie koncesjami górniczymi. Wszystko, czego się tknął, prosperowało doskonale.

Nastąpiła jeszcze jedna krótka pauza.

— Po śmierci brata doszedł widocznie do wniosku, że czas się ustatkować. Ożenił się powtórnie i zapewne postanowił wrócić do kraju i stworzyć dom swojej córce. Obecnie państwo Restarickowie mieszkają u wuja, to znaczy jego wuja, sir Rodericka Horsefielda. Jest to stan przejściowy. Pani Restarick ogląda domy w Londynie. Cena nie ma znaczenia. Ci ludzie tarzają się w pieniądzach.

— Wiem... Wiem... — westchnął Poirot. — Na razie zaprezentował mi pan historię pasma sukcesów. Wszyscy robią pieniądze, pochodzą z dobrych rodzin i cieszą się nieskazitelną opinią. Wszyscy mają wybitnie zasłużonych krewnych i w City mówi się o nich pochlebnie. Na tym niebie istnieje tylko jedna chmurka: młoda osoba, która “w głowie ma nie wszystko po kolei” i wodzi się z jakimś ciemnym typkiem, niejedyn raz figurującym w policyjnej kartotece. Ta dziewczyna, być może, usiłowała otruć macochę i albo miewa halucynacje, albo też popełniła zbrodnię. Całkiem to nie pasuje do historii pasma sukcesów, której wysłuchałem.

Pan Goby smutno pokiwał głową i wygłosił poniekąd mętną sentencję:

— Jakieś coś jest w każdej rodzinie.

— Obecna pani Restarick — podjął Poirot — to zupełnie młoda kobieta. Sądzę, że Andrew nie z nią uciekł z kraju?

— Skąd znowu! Pierwszy romans trwał krótko. To była osoba nad wyraz podejrzanego konduity i na domiar złego sekutnica. Andrew Restarick był głupi, że się w ogóle z nią związał. — Pan Goby zamknął notes i rzucił pytające spojrzenie małemu Belgowi. — Czy są dalsze polecenia?

— Tak. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pierwszej żonie pana Restaricka. Była ciężko chora. Wiele czasu spędzała w lecznicach. Jakże to były zakłady? Może dla umysłowo chorych?

— Rozumiem o co chodzi.

— Interesują mnie też przypadki chorób umysłowych w rodzinie: z jednej i z drugiej strony.

— Zajmę się tym — obiecał pan Goby i wstał z krzesła. — Pozwoli pan, że się pożegnám. Dobrej

nocy życzę.

Kiedy gość wyszedł, Poirot pogрузił się w myślach. Przez dłuższy czas marszczył czoło, przymykał i otwierał oczy. Wiele, bardzo wiele spraw zastanawiało go poważnie. Wreszcie zatelefonował do pani Oliver.

— Raz już mówiłem — rozpoczął — aby pani uważała. Dzisiaj powtarzam: Proszę bardzo uważać.

— Uważać? Na co?

— Na siebie. Niebezpieczeństwo może grozić każdemu, kto wtyka nos tam, gdzie nie powinien. W powietrzu czuję morderstwo. Nie chcę, by pani stała się ofiarą.

— Otrzymał pan spodziewane informacje?

— Tak otrzymałem to i owo: przeważnie pogłoski i plotki. Ale wszystko wskazuje, że coś działo się w Borodene Mansions.

— Co tam było?

— Krew na dziedzińcu.

— Słowo daję! Idealny tytuł dla staroświeckiej powieści kryminalnej. “Krew na schodach”. Chyba było coś takiego? A dzisiaj wymyślił pan jeszcze jeden tytuł: “Ofiara szuka śmierci”.

— Może nie było nawet krwi na dziedzińcu, a mamy tylko do czynienia z bujną wyobraźnią Irlandczyka, odźwiernego z Borodene Mansions.

— Może ktoś rozbił butelkę mleka — zasugerowała pani Oliver. — Po ciemku trudno rozróżnić kolor. Jak właściwie wyglądała ta historia?

Poirot nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi.

— Norma Restarick twierdzi, że prawdopodobnie popełniła morderstwo. Czy to morderstwo ma na myśli?

— Że niby kogoś zastrzeliła?

— Hm... Należałoby założyć, że strzelała do kogoś bez powodzenia. Kilka kropel krwi. Nic więcej. Zwłok nie znaleziono.

— Piekielnie zawiła historia. Jeżeli ktoś mógł dać drapak z dziedzińca, to trudno przypuszczać, że się go zamordowało. Chyba rozumiem logicznie?

— Tak... Trudno — przyznał i odłożył słuchawkę.

— Bardzo się niepokoję — powiedziała Claudia Reece–Holland.

Nalała sobie kawy z ekspresu. Frances Cary ziewnęła szeroko. Obie siedziały przy stoliku w kuchni, gdzie zazwyczaj jadały śniadanie. Claudia była ubrana do wyjścia. Frances miała na sobie jeszcze pidżamę i szlafrok. Kosmyk czarnych włosów opadał na jej twarz, zasłaniał jedno oko.

— Martwię się o Normę — dodała panna Reece–Holland.

— Nie martwiłabym się na twoim miejscu. — Frances ziewnęła znowu. — Myślę, że wcześniej czy później Norma zadzwoni albo da jakiś znak życia.

— Tak sądzisz? A ja zastanawiam się wciąż i...

— Niepotrzebnie! — Panna Cary nalała sobie kawy i pociągnęła łyk bez przekonania. — Zmierzam do tego, że nie powinny obchodzić nas sprawy Normy. Nie opiekujemy się nią przecież, prawda? Nie pilnujemy, żeby jadała regularnie. Po prostu dziewczyna mieszka z nami. Skąd te macierzyńskie troski? Ja nie przejmowałabym się z pewnością.

— Nie wątpię, Frances. Ty nigdy nie przejmujesz się niczym. Ale moja sytuacja wygląda trochę inaczej.

— Inaczej? Ponieważ jesteś główną lokatorką? Czy co?

— Nie. Chyba zdajesz sobie sprawę ze specyfiki mojej pozycji.

— Okropnie długo bałaganiłam tej nocy — powiedziała panna Cary z kolejnym potężnym ziewnięciem. — Zebranie towarzyskie u Basila. Czuję się pod psem. Cóż, może czarna kawa postawi mnie jakoś na nogi. Dolać ci, zanim zdążę wypić wszystko? Basil dał nam na próbę jakieś nowe pigułki: “Smaragdowe sny”. Nie wiem, doprawdy, po co zażywa się te wszystkie świństwa.

— Spóźnisz się do pracy — wtrąciła Claudia.

— Nieważne! Kto dba w galerii o takie rzeczy? Nie zauważą nawet... Wczoraj widziałam Dawida... Powiadam ci, był wystrojony i prezentował się pierwszoklasnie.

— Nie mów tylko, Frances, że i ty się w nim durzysz. Typ spod ciemnej gwiazdy!

— Nic dziwnego, że tak sądzisz, Claudio. Jesteś okropnie staroświecka.

— Nic podobnego! Po prostu nie przepadam za twoim artystycznym towarzystwem. Używacie narkotyków, zalewacie się w trupa, a potem wybuchają awantury i bójki.

Frances zerknęła spod oka na współlokatorkę.

— Ja tam nie jestem narkomanką, Claudio... Myślę tylko, że wszystkiego w życiu warto

spróbować. No i w tej grandzie trafiają się całkiem fajni chłopcy. Na przykład Dawid. Potrafi malować, jak mu się chce.

— Ale chce mu się bardzo rzadko, prawda?

— Ty, Claudio, zawsze masz w pogotowiu nóż, który przy okazji wbijasz w plecy Dawida. Irytuje cię, że taki facet przychodzi tu do Normy. Aha! Jeżeli mowa o nożach...

— Jak to “mowa o nożach?”

— Widzisz... — podjęła z wolna Frances. — Wciąż kombinuję i kombinuję, czy powiedzieć ci o jednej historii.

Claudia Reece–Holland spojrzała na zegarek.

— Nie mam czasu. Wieczorem będziesz mi mogła powiedzieć wszystko, co masz do powiedzenia. Poza tym i teraz nie jestem w nastroju do rozmowy. Do licha! — westchnęła. — Żebym wiedziała, co dalej robić!

— W sprawie Normy?

— Aha... Zastanawiam się, czy nie należałoby dać znać rodzicom, że nie mamy pojęcia, gdzie ona się podziewa...

— To byłby krok diabła niekoleżeński! — przerwała Frances. — Biedna Norma! Nie wolno nawet zawieruszyć się dziewczynie, jeżeli coś takiego strzeli jej do głowy.

— Nic nie rozumiesz... Norma nie jest zupełnie...

— Rozumiem — przerwała znowu panna Cary. — *Non compos mentis*. Ciut pomyłona. To masz na myśli? A dzwoniłaś do tej podejrzaney budy, gdzie ona pracuje...? Prawda... Dzwoniłaś. Przypominam sobie.

— Więc gdzie może być Norma? — Podjęła Claudia. — Dawid nic ci nie mówił?

— Chyba sam nic nie wie. Słowo daję, Claudio! Czym się tak przejmujesz?

— Przejmuję się, Frances, gdyż tak się składa, że mój szef jest ojcem Normy. Jeżeli coś nieoczekiwanego się zdarzy, pan Restarick zapyta mnie wcześniej lub później, czemu nie dałam znać, że jego córka nie wróciła z weekendu.

— Racja. On może czepiać się ciebie... Ale nie widzę powodu, dla którego Norma musiałaby zapowiadać każdy swój wyjazd z Londynu. Nie mieszka u ciebie na stacji. Nie podejmowałaś się opieki nad nią.

— Nie podejmowałam się opieki nad nią. Słusznie. Ale pan Restarick napomknął kiedyś, jak jest kontent, że Norma zamieszkała u nas.

— I dlatego uważasz za swój obowiązek latać do niego z jęczorem, jeżeli Norma na kilka dni gdzieś się zawieruszy? Pewno poderwał ją jakiś nowy facet.

— Albo ona poderwała na dobre Dawida — rzuciła Claudia. — Jesteś pewna, że nie wylądowała u niego?

— Nie sądzę... Widzisz, tak naprawdę, Dawidowi wcale na niej nie zależy.

— A tobie to na rękę. Robisz słodkie oczy do tego bubka, prawda?

— Ja? Także pomysł! — obruszyła się Frances.

— Moim zdaniem, Dawid poważnie interesuje się Normą. Przecież był tu wczoraj. Dopytywał się o nią.

— A ty go szybko wyprawiłaś. — Frances wstała od stołu, aby przejrzeć się w małym i raczej niepochlebnym lusterku kuchennym. — Może Dawid pęta się tutaj, aby mnie widywać?

— Skończona idiotka! Wczoraj niepokoił się o Normę.

— Ta dziewczyna ma niezłego fioła.

— Wiem... — odparła z wahaniem panna Reece-Holland. — Chwilami podejrzewałam coś w tym sensie i...

— Podejrzewasz? Ja wiem na pewno. Uważaj, Claudio. Powiem ci coś, o czym powinnaś wiedzieć. Nie będziemy odkładać tego do wieczora. Słuchaj! Któregoś dnia pękło mi ramię przy staniku, a ja okropnie się śpieszyłam. Wiem, że nie lubisz, żeby szperać w twoich rzeczach...

— Nawet bardzo nie lubię — wtrąciła główna lokatorka.

— Bardzo nie lubisz, ale Norma nie dba o takie rzeczy. Nigdy nawet nic nie zauważy. Wobec tego pobiegłam do jej pokoju, przewróciłam wszystko w szufladzie do góry nogami i... I wiesz, co znalazłam? Nóż!

— Nóż? — zdumiała się Claudia. — Jaki nóż?

— Przypominasz sobie nocną awanturę i bójkę na dziedzińcu? Jakaś banda chuliganów zaczęła rozróbę. Poszły w ruch noże sprężynowe... Pamiętasz? Później uspokoiło się wszystko i zaraz wróciła Norma.

— Aha... Przypominam sobie.

— Jeden bandzior dostał podobno nożem... Tak przynajmniej mówił mi jakiś reporter... Dostał nożem, ale uciekł... A w szufladzie Normy znalazłam nóż sprężynowy... Trochę zardzewiały... Jak gdyby były na nim ślady zaschniętej krwi.

— Cóż to za dramatyczna bajeczka?

— Może i bajeczka, ale ja jestem pewna, że to były ślady krwi. I skąd, u licha, nóż sprężynowy wziął się w szufladzie Normy?

— Może... Może podniosła go przechodząc?

— W charakterze miłej pamiątki, co? I schowała nóż na dnie szuflady? I słowa nie pisnęła na ten temat?

— A co ty zrobiłaś z nożem?

— Zostawiłam na miejscu... Co mogłam zrobić? No i od tego czasu wciąż kombinowałam: powiedzieć tobie czy nie powiedzieć? Uważaj teraz! Wczoraj zajrzałam znów do szuflady Normy i noża nie znalazłam. Nie było go. Zniknął.

— Myślisz, że ona przysłała po ten nóż Dawida?

— Niewykluczone... Powiadam ci, Claudio, od dzisiaj będę w nocy zamykała na klucz drzwi mojego pokoju.

VII

Pani Oliver obudziła się niezadowolona z życia. Przed sobą widziała długi dzień ogołocony z wrażeń. Powieść skończona. Wczoraj z podniosłym uczuciem zapakowała ostatecznie maszynopis. Obecnie — jak zwykle — mogła jedynie wypoczywać, robić, co tylko zechce, gnuśnieć, dopóki nie da znów znać o sobie impuls twórczy. Bez celu wałęsała się po mieszkaniu, tu i tam przestawiała to i owo, zaglądała do biurka. Zdawała sobie sprawę, że ma do załatwienia pokaźną korespondencję, na razie jednak, w stanie błogiego dosyту, nie miała chęci na zajęcie tak nudne. Pragnęła czegoś naprawdę interesującego. Pragnęła... Czego właściwie?

Przyszedł jej na myśl Herkules Poirot, niedawna z nim rozmowa, przestrogi detektywa... Zabawna historia! Czemu miałyby się lękać problemu, który nasunął się im prawie jednocześnie? Poirot może siedzieć w fotelu, splatać palce rąk, zapędzać do pracy szare komórki swojego mózgu, a resztę ciała utrzymywać w bezruchu pośród czterech ścian pokoju. Taki styl nie odpowiada gustom Ariadny Oliver. Zapowiedziała przecież, że przynajmniej ona będzie działać. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o zagadkowej dziewczynie. Gdzie się podziewa Norma Restarick? Co robi teraz? Jak wiele jeszcze wypenetrować może ona, Ariadna Oliver?

Coraz bardziej nerwowo przechadzała się tam i z powrotem. Co właściwie robić? Decyzja nie należała do łatwych. Wybrać się dokądś? Zadawać jakieś pytania? Może pojechać do Long Basing? Poirot był tam przecież. Był i odkrył, że najprawdopodobniej nie ma nic do odkrycia. No i w jaki sposób usprawiedliwić najazd na dom sir Rodericka Horsefielda?

Wzięła pod rozwagę drugą wizytę w Borodene Mansions. Czy tam nie udałoby się czegoś wytropić? Ma się rozumieć należy wymyślić jakiś nowy pretekst... Nie wiedziała jaki, lecz była coraz bardziej pewna, iż to chyba jedyne miejsce, gdzie można będzie zdobyć dalsze informacje. Która godzina? Dziesiąta. A więc jest nadzieja...

W drodze do Borodene Mansions pani Oliver wymyśliła pretekst — zapewne nie najbardziej oryginalny. Stać by ją było na coś bardziej interesującego. To oczywiste. Ale — medytowała autorka powieści kryminalnych — czy przezorność nie zaleca trzymania się spraw najbardziej codziennych, najprostszych? Minęła okazałą i ponurą fasadę bloków i z wolna jęła okrążyć przestronny dziedziniec.

Odźwierny rozmawiał z kierowcą furgonu meblowego. Roznosiciel mleka popychający wózek ręczny zatrzymał się obok pani Oliver w pobliżu windy dla służby. Pobrząkiwał butelkami i gwizdał ochoczo. Ariadna Oliver nadal spoglądała obojętnie na wóz meblowy...

Roznosiciel mleka — zapewne człowiek pogodny i bliźnim życzliwy — pomyślał widać, że interesuje ją przeprowadzka, gdyż poinformował z uśmiechem:

— Wynosi się numer siedemdziesiąt sześć.

Przestawił klatkę butelek z wózka do windy i dodał wskazując kciukiem ku górze.

— To znaczy, można by powiedzieć, że tamta pani już dawniej się wyniosła... Tak z tydzień temu, z okna siódmego piętra... O piątej rano, proszę pani. Zabawna pora, co?

Pani Oliver osądziła, że cała historia jest raczej nie zabawna.

— Skoczyła z okna? Czemu?

— Wiadomo to? Powiadają, że jakiś rozstrój nerwowy.

— Młoda była?

— Gdzie tam. Lekko licząc pięć dych na karku.

W trakcie tej rozmowy dwaj tragarze ładowali komodę do furgonu. Szło im to opornie i nagle dwie mahoniowe szuflady upadły z trzaskiem na bruk dziedzińca. Pani Oliver chwyciła ćwiartkę papieru, która pofrunęła w jej stronę.

— Porozwalacie wszystko, frajerzy! — rzucił rozmowny mleczarz i ruszył windą wraz z ładunkiem butelek.

Tragarze zaczęli sprzeczkę i jeden z nich niedbałym ruchem ręki odprawił panią Oliver, która usiłowała zwrócić podniesiony arkusik.

Ostatecznie postanowiła wybrać się znowu do lokalu numer sześćdziesiąt siedem. Drzwi otworzyła jej kobieta w średnim wieku. W rękę trzymała ścierkę i najwidoczniej była zajęta sprzątaniami.

— O... — rozpoczęła nowo przybyła swoim ulubionym zwrotem. — Czy... Dzień dobry... Chyba nie zastałam nikogo?

— Niestety, proszę pani. Wszystkie wyszły. Do pracy. — Tak... Oczywiście. Chodzi o to, że... że ja byłam tu ostatnio, zostawiłam notes. Bardzo mi na nim zależy. Taki kłopot. Musi być gdzieś w bawialni.

— Ja tam nic takiego nie zauważyłam, proszę pani... Chociaż, ma się rozumieć, nawet bym nie wiedziała, że to pani notes. Pozwoli pani do pokoju?

Kobieta gościnnie usunęła się z drogi, odłożyła ścierkę, którą szorowała posadzkę w kuchni, i weszła za panią Oliver do bawialni.

— Oo... — podjęła autorka powieści kryminalnych, która stanowczo chciała nawiązać życzliwy kontakt ze sprzątaczką. — Książka jest na miejscu. Przyniosłam ją dla panny Restarick... panny Normy. Nie wróciła jeszcze ze wsi?

— Chyba tu nie mieszka na razie. Czy ja wiem? Łóżko nawet nie ruszone. Może faktycznie została

na wsi, u rodziny. Wiem, że miała tam jechać w zeszłą sobotę.

— Tak, podejrzewałam, że zostanie dłużej. Tę książkę, którą jej przyniosłam, ja napisałam...

Ale informacja ta nie wywarła najmniejszego wrażenia na rozmówczyni, więc pani Oliver podjęła po chwili:

— Siedziałam tutaj — dotknęła palcami fotela — później przeniosłam się bliżej okna... chyba na sofę?

Zaczęła szukać nerwowo za poduszką na siedzeniu fotela. Uprzejma posługaczka poruszyła poduszki leżące na sofie.

— Nie wyobraża sobie pani — ciągnęła autorka powieści kryminalnych — jaka to przykreść zgubić coś takiego. Jestem prawie pewna, że na dziś umówiłam się na lunch z kimś bardzo ważnym, ale nie pamiętam z kim i gdzie. A może ten lunch ma być jutro? Czy ja wiem? W takim razie na dziś byłabym umówiona z kimś zupełnie innym. A to dopiero kłopot!

— Istotnie, proszę pani, wielki kłopot — przyznała sprzątaczką współczującym tonem.

— Ładne tutaj mieszkania — zmieniła temat pani Oliver i rozejrzała się dokoła.

— Aha... Tylko strasznie wysoko.

— Za to piękny widok, prawda?

— Ładny. Ale w okna od wschodu wieje zimą okropny wiatr... przez te metalowe framugi, proszę pani. Niektórzy lokatorzy kazali wstawić podwójne okna. Ja tam, proszę pani, nie chciałabym mieszkać w zimie od tej strony. No i w ogóle to zawsze wolę parter. Znacznie wygodniej, szczególnie dla dzieci; że to niby, proszę pani, z wózkiem poręcznie i w ogóle. Nie ma jak parter, co? A gdyby pożar się zdarzył?

— Oo... To istotnie byłoby okropne! — przyznała pani Oliver. — Ale są tu chyba drabiny przeciwpożarowe?

— A czy to łatwo dostać się do takiej drabiny w razie pożaru? Ja tam zawsze bałam się ognia. No i te mieszkania są strasznie drogie. Nie uwierzy pani, jakiego żądają czynszu. Dlatego panna Reece-Holland postarała się aż o dwie współlokatorki.

— Wiem. Poznałam je obie. Panna Cary to malarka, prawda?

— Aha. Pracuje w jakiejś galerii sztuki, ale to chyba, proszę pani, lekka robota, no nie? Maluje trochę: krowy i drzewa. Tylko trudno poznać, co właściwie miała zamiar namalować. Nie dba też o porządek. Nie wyobraża sobie pani, w jakim stanie zostawia pokój. Za to panna Holland zawsze jak z igły! Dawniej pracowała w ministerstwie górnictwa, a teraz w prywatnej firmie, w City. Powiadają, że tam jej lepiej. Jest sekretarką jakiegoś strasznie bogatego pana, który niedawno wrócił z Ameryki Południowej czy skądś. To ojciec panny Normy i właśnie on poprosił pannę Holland, żeby

ją przyjęła na mieszkanie, jak ta panienska, co tu była, wydała się za męż. Podobno panna Holland tak sobie powiedziała, że szuka odpowiedniej lokatorki. No, a odmówić nie mogła, prawda? Przecież to jej szef.

— A zamierzała odmówić? Kobieta pociągnęła nosem.

— Pewnie tak, gdyby o wszystkim wiedziała.

— O czym? — padło pytanie, widać zbyt natarczywe.

— Nie moja sprawa, proszę pani — odrzekła sprzątaczką. — Ja tam nie lubię gadać, ma się rozumieć.

Pani Oliver spoglądała na nią nadal wzrokiem łagodnie pytającym, więc kobieta zmiękła po chwili.

— Nie powiem, żeby to nie była panienska całkiem na miejscu. Tego nie powiem. Trochę stuknięta, ale... Proszę pani, czy one prawie wszystkie nie są teraz stuknięte? Tylko, na mój rozum, panna Norma powinna się leczyć. Czasem jest taka dziwna, jakby wcale nie wiedziała, gdzie jest ani co robi. Strach na nią wtedy patrzeć, bo ma minę całkiem taką, jak jeden mój siostrzeniec po ataku. Żeby pani wiedziała, jakie on miewa ataki! Ale pannie Normie nigdy nie trafia się nic podobnego. Nie słyszałam o żadnym jej ataku... Może łyka czy węża... te tam paskudztwa. Bo ja wiem?

— Zdaje się, ma jakiegoś kawalera, który nie odpowiada rodzinie?

— Aha... Coś takiego słyszałam. Nie widziałam go ani razu, ale podobno czasem do niej przychodzi. Pewnie jest z takich modnych, no nie? Pannie Holland nie w smak jego wizyty, ale co może poradzić. Dzisiaj młode dziewczyny robią, co im się spodoba.

— Słusznie — przyznała pani Oliver. — Nieraz myślę z przykrością o współczesnych dziewczętach — dodała starając się o wyraz twarzy zatroskany i bardzo serio.

— Nie wychowuje się ich, jak trzeba. Ja to pani powiadam, proszę pani!

— Tak. Niewątpliwie... Trudno oprzeć się wrażeniu, że pannie Normie lepiej byłoby w domu niż w Londynie, gdzie jest zupełnie sama i zarabia na życie pracą w jakimś przedsiębiorstwie dekoracji wnętrz.

— W domu jej całkiem niedobrze.

— Naprawdę?

— Aha. Jest tam macocha. Mało która dziewczyna dmie dogadać się z macochą. Chociaż ta pani starała się, jak mogła. Strofowała Normę, przeganiała z domu kawalera. Ona wie, że dziewczyna często się z byle kim zada i wyniknie z tego wielkie nieszczęście. Ja tam kontenta jestem, że nie mam córki.

— A syna pani ma?

— Dwóch mamy. Jeden jest jeszcze w szkole i dobrze sobie radzi. Starszy pracuje w drukarni. Także są zadowoleni z niego. Całkiem porządne chłopaki. Ma się rozumieć, z synem też mogą być zmartwienia. Ale nie takie, proszę pani, jak z córką, nie takie... Ach, te dziewczuchy! Trzeba by znaleźć na nie jakiś sposób...

— Ma pani słuszość... Trzeba by znaleźć jakiś sposób — przyznała pani Oliver z pełnym zrozumieniem i zauważyła, że sprzątaczką chce wrócić do swoich zajęć. — Przykra historia z tym moim notesem. Cóż, dziękuję... Myślę, że nie zajęłam pani zbyt wiele czasu?

— Nie szkodzi — odparła uprzejma posługaczka. — Myślę, że gdzie indziej odnajdzie pani zgubę.

Ariadna Oliver wyszła na korytarz, zastanawiając się, co robić dalej. Na najbliższe godziny nie mogła nic obmyślić, lecz plan jutrzejszy miał już jakieś konkretne kształty.

W domu przystąpiła niezwłocznie do ważnej pracy. Otworzyła notes i pod nagłówkiem "Poznane fakty" jęła zapisywać rozmaite obserwacje. W sumie było tego niewiele, ale autorka, wierna swojemu powołaniu, starała się zbudować ze skąpego materiału możliwie najwięcej. Najważniejsze chyba było odkrycie, że ojciec Normy to pracodawca Claudii Reece-Holland. Nie wiedziała o tym wcześniej i podejrzewała, że nie wie nawet Poirot. Przez moment miała ochotę przekazać mu informację telefonicznie, lecz w rezultacie postanowiła zachować ją chwilowo dla siebie, celem tym skuteczniejszej realizacji planu na dzień następny. Otwarcie mówiąc czuła się teraz bardziej ogarem na tropie niż autorką powieści kryminalnych. Na razie węszyć czujnie, a z rana... Przekonamy się, co jutro przyniesie.

Zgodnie ze swoim planem wstała nazajutrz bardzo wcześnie. Zjadła jajko na miękko, wypła dwie filiżanki herbaty i zaraz po śniadaniu ruszyła na łowy — jeszcze raz w kierunku Borodene Mansions. Lękając się, iż może być zbyt dobrze znana w tamtej okolicy, nie weszła na dziedziniec, lecz myszkowała najpierw obok jednego wejścia do bloków, później w sąsiedztwie drugiego. Przez cały czas bacznie przyglądała się mieszkańcom Borodene Mansions, którzy wychodzili na ulicę i wśród porannej mżawki śpieszyli do swoich rozmaitych zajęć. Przeważnie były to młode kobiety, łudzaco podobne jedna do drugiej. "Dziwaczne są istoty ludzkie, jeżeli patrzeć na nie w porze, gdy w jakichś celach wyłaniają się z potężnych, wysokich bloków, bardzo podobnych do mrowisk — pomyślała pani Oliver i dodała z przekonaniem: — Właściwie nikt nie ocenia nigdy mrowiska w sposób właściwy. Czasami potracamy je czubkiem buta, bo uważamy, że jest pozbawione logiki i sensu. Drobne stworzonka uganiają się tu i ówdzie, dźwigają żdźbła trawy, przenoszą się z miejsca na miejsce długimi kolumnami. Na pozór nie ma w tym ładu, a przecież mrówki muszą być zorganizowane nie gorzej niż ta społeczność, którą obserwuję w tej chwili".

Medytując tak, pani Oliver zwróciła uwagę na mężczyznę, który minął ją szybko mamrocząc coś do siebie i omal nie spytała: "A panu co dolega?" Kilkakrotnie przeszła się tam i z powrotem i nagle odskoczyła pod ścianę.

Claudia Reece-Holland wyszła z bramy charakterystycznym dla siebie energicznym i zwawym krokiem. Ocenivszy, że dziewczyna jest ubrana obecnie równie dobrze, jak poprzednim razem,

Ariadna Oliver odwróciła się, gdyż nie miała ochoty na odnowienie znajomości. Następnie, kiedy Claudia oddaliła się, wykonała drugi zwrot i szybko pośpieszyła tropem zwierzyny. Przy wylocie ulicy dziewczyna skręciła w prawo i niebawem zajęła miejsce w kolejce oczekujących na przystanku autobusowym. Autorka też stanęła w kolejce, chociaż w obecnej sytuacji czuła się trochę nieswojo. A jeżeli Claudia obejrzy się przypadkiem, zobaczy ją, pozna? Co wtedy? Pani Oliver nie mogła wymyślić nic lepszego niż przewlekle, jakkolwiek bezszelestne wycieranie nosa. Była trzecia za panną Reece–Holland, która, zatopiona widocznie we własnych myślach, bynajmniej nie zwracała uwagi na bliższych i dalszych sąsiadów. Wreszcie nadjechał autobus. Kolejka ruszyła do przodu. We wnętrzu wozu Claudia poszła prosto na piętro, pani Oliver zdobyła miejsce w pobliżu wejścia, i dosiadła się jako trzecia na ławce. Konduktorowi wcisnęła w rękę szylinga i sześć pensów, gdyż nie znała trasy tej linii autobusowej ani nie miała pojęcia, jak daleko być może do miejsca, które sprzątaczką z Borodene Mansions określiła mętnie zwrotem “jeden z nowych gmachów, gdzieś w okolicy Świętego Pawła”. Widok dostojnej kopuły katedry stanowił sygnał alarmowy. “Teraz czuj duch!” — pomyślała pani Oliver i jęła mierzyć przenikliwym wzrokiem osoby schodzące z góry. Tak! To Claudia — schludna i szykowna w swoim dobrze skrojonym kostiumie! Wysiadła z autobusu, a starsza dama pośpieszyła jej śladem, zachowując odpowiedni dystans. “Ciekawa historia! — medytowała. — Oto ja, sama, jestem na czymś tropie, jak moje powieściowe postacie! I co więcej, muszę spisywać się doskonale, bo ona nic nie podejrzewa”.

Istotnie, panna Reece–Holland sprawiała wrażenie kogoś zaabsorbowanego wyłącznie własnymi sprawami. “Dziewczyna wygląda na osobę rozumną i bystrą — snuła dalsze rozważania pani Oliver. — Taką wybrałabym niewątpliwie, gdybym szukała dla swojej książki wzoru przebiegłej i opanowanej morderczynie”.

Na szczęście jednak nikogo dotychczas nie zamordowano, jeżeli oczywiście pozbawione racji były podejrzenia Normy, iż właśnie ona popełniła krwawą zbrodnię.

Widać było, że ostatnimi laty ta dzielnica Londynu straciła, czy też zyskała wiele za sprawą nowoczesnego budownictwa.

Kolosalne i zdaniem Ariadny Oliver przeważnie ohydne wysokościowce strzelały w niebo czworokątnymi blokami, przypominającymi olbrzymie pudełka zapalek.

— Za chwilę będę wiedziała — szepnęła do siebie wchodząc za Claudia do hallu jednego z tych gmachów.

Cztery windy goniły się nieustannie z dołu do góry i z góry na dół. Podróż takim środkiem lokomocji wydała się starszej damie ryzykowna. Ale kabiny były bardzo pojemne, kiedy więc Claudia weszła do jednej z nich, pani Oliver wskoczyła za nią w ostatnim momencie i od osoby tropionej zasłaniało ją kilku roślących mężczyzn. Panna Reece–Holland wysiadła na czwartym piętrze i ruszyła korytarzem. Autorka pośpieszyła za nią wykorzystując nadal jako osłonę mężczyzn, za którymi kryła się w kabinie dźwigu. Dzięki temu zapisała w pamięci, że smukła dziewczyna zniknęła za trzecimi drzwiami od końca korytarza i po przyzwoitej pauzie mogła obejrzeć na tychże drzwiach szyldzik z napisem: “Joshua Restarick — S–ka z o.o.”.

Osiągnąwszy tak wiele, uprzytomniła sobie, że w gruncie rzeczy nie ma najmniejszego pojęcia, co

robić dalej. Na własne oczy zobaczyła drzwi, za którymi mieści się firma ojca Normy i pracuje Claudia Reece–Holland, lecz po zastanowieniu uprzytomniła sobie, iż nie dokonała wielkiego odkrycia. Czy informacja takiego pokroju przyda się na coś? Według wszelkiego prawdopodobieństwa — nie.

Jęła spacerować po korytarzu tam i z powrotem, aby zobaczyć, czy ktoś interesujący nie zgłosił się do biur Restaricka. Istotnie, weszło tam parę młodych dziewcząt, ale te nie wydawały się interesujące. Po kilku minutach autorka powieści kryminalnych zjechała na dół windą i niezadowolona z siebie opuściła hali nowoczesnego gmachu. Doprawdy, nie wiedziała, co robić dalej i przechadzając się sąsiednimi ulicami zastanawiała się nawet nad zwiedzeniem katedry Świętego Pawła.

Ostatecznie jednak zawróciła w stronę nowoczesnych gmachów, a że odczuwała brak solidnego śniadania, pchnęła drzwi jednej z tamtejszych kawiarni. Było tam niewiele osób, które jadły bardzo spóźnione pierwsze lub nieco przedwczesne drugie śniadanie. Pani Oliver — jak zwykle niezdecydowana — rozglądała się poszukując stosownego miejsca i najniespodziewaniej straciła oddech. Przy stoliku pod ścianą zobaczyła Normę i siedzącego naprzeciw niej młodego mężczyznę, który miał bujne, kasztanowate loki spływające na ramiona, szkarłatną kamizelkę z aksamitu i wyjątkowo fantastyczną marynarkę.

— Dawid — mruknęła półgłosem. — To z pewnością musi być Dawid.

Młoda para nie zwracała na nią uwagi. Prowadziła nader ożywioną rozmowę.

Pani Oliver szybko rozważyła plan działania, powzięła decyzję i energicznie kiwnąwszy głową ruszyła w stronę drzwi ukrytych dyskretnie i opatrzonych napisem: “Dla pań”.

Nie miała pojęcia, czy Norma zdołałaby ją poznać. Bez wątplenia osoby sprawiające wrażenie roztargnionych bywają czasem wyjątkowo spostrzegawcze. W tej chwili dziewczyna wyglądała tak, jak gdyby poza swoim towarzyszem świata nie widziała, ale... Kto wie?

— Chyba coś się uda zrobić — podjęła pani Oliver szeptany monolog i przeglądając się w zapstrzonym lustrze nad umywalką, szczególną uwagą obdarzyła swoje włosy, czyli to, co jej zdaniem stanowi rys najbardziej dla kobiety charakterystyczny. Wiedziała o tym z osobistych doświadczeń, gdyż niezliczoną ilość razy zmieniała fryzurę i w rezultacie często nie poznawali jej nawet dawni przyjaciele.

Snując temu podobne myśli, oceniła baczynym okiem obecny stan swojego uczesania i przystąpiła do pracy. Usunąwszy pewną liczbę szpilek, odpięła kilka pukli, zawinęła w chustkę do nosa i wcisnęła do torebki. Następnie rozdzieliła włosy pośrodku głowy, przyczesła gładko i upięła w skromny koczek tuż nad karkiem. Ale nie na tym koniec! Z tejże torebki wyjęła okulary i osadziła na nosie.

— Teraz wyglądam poważnie i godnie — szepnęła. — Prawie na intelektualistkę.

Szminką zmieniła nieco zarys ust i kontenta z charakteryzacji weszła na salkę. Poruszała się

niepewnie, gdyż szkła przeznaczone do czytania zacierały obraz. Ale udało jej się ominąć szereg stolików i zająć miejsce przy wolnym, sąsiadującym z Normą i Dawidem. Usiadła tak, że młody człowiek był zwrócony do niej twarzą, jego towarzysza — plecami. W tym układzie Norma mogłaby zobaczyć panią Oliver jedynie wówczas, gdyby obejrzała się za siebie. Zjawiała się kelnerka. Starsza dama zamówiła filiżankę kawy oraz ciastko drożdżowe i w dalszym ciągu usiłowała być jak najmniej widoczna.

Norma i Dawid — pochłonięci żywą dyskusją — nie widzieli jej wcale. Uprzytomniła to sobie i straciła kilkanaście sekund, aby dostroić słuch do tonu ich głosów.

— ...rzecz oczywista! Wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy — mówił Dawid. — Wymyślasz je sama. To brednie, moja miła! Wielkie brednie.

— Nie wiem... Nic pewnego powiedzieć nie mogę...

Pani Oliver mniej wyraźnie słyszała jej słowa, ponieważ Norma siedziała odwrócona do niej tyłem. Ale dziwnie głuche i matowe brzmienie głosu dziewczyny zaskoczyło ją nieprzyjemnie. “Coś z tą małą nie w porządku — pomyślała. — Grubo nie w porządku!” — Przyszły jej na myśl słowa cytowane przez Poirota: “Myślę, że prawdopodobnie popełniłam morderstwo”. — “Co to może być? Skutek halucynacji? Czy ta dziewczyna jest naprawdę pomyłona? A może mówi tylko prawdę, nic więc dziwnego, że przeżyła wstrząs nie lada”.

— Jeżeli mnie zapytasz o zdanie — ciągnął młody człowiek — odpowiem, że Mary rozrabia bez powodu. To skończona idiotka. Wmawia sobie tylko, że jest chora... no i takie rzeczy.

— Była chora.

— Niech będzie! Była chora. W takim razie każda rozumna kobieta wezwałaby lekarza, a ten zapisałby jakiś antybiotyk czy coś podobnego. Po co tyle szumu, zamieszania?

— Ona uważa, że ja jej coś zrobiłam. Ojciec też tak myśli.

— Zastanów się, Normo! Sama sobie to wszystko wyobrażasz.

— Wiem... Słyszałam. Mówisz tak, Dawidzie, żeby mnie uspokoić. A jeżeli ja jej naprawdę coś dałam?

— Jak to “jeżeli”? Przecież taką rzecz musiałabyś wiedzieć. Dałaś jej coś albo nie dałaś? Nie udawaj idiotki, moja droga.

— Kiedy ja nie wiem. Nie wiem!

— Wciąż powtarzasz to samo. Gadasz i wracasz do swojego: “Nie wiem! Nie wiem!”

— Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, co to jest nienawiść. Ja raz spojrzałam na nią i znenawidziłam babę.

— Wiem. To już słyszałem.

— Aha! Słyszałeś ode mnie. Mówiłam o tym i nic a nic nie pamiętam. Rozumiesz teraz? Od czasu do czasu opowiadam... opowiadam... no, rozmaite rzeczy. Mówię, co chciałabym zrobić albo zrobiłam. A później wcale nie przypominani sobie, że w ogóle coś mówiłam. To tak, jak gdybym przetrawiała w myślach różne sprawy... Rozumiesz? Jak gdyby niektóre same wychodziły na jaw, trafiały do ludzi. Ale tobie nie powiedziałam nic szczególnego, prawda?

— Widzisz... Daj lepiej spokój, dobra? Po co wracać wciąż do jednego i tego samego?

— Tobie nie powiedziałam nic szczególnego, prawda?

— Czy to ważne! Daj spokój! Każdy może powiedzieć komuś coś w tym rodzaju: “Nie znoszę baby; chętnie bym ją zabiła. Pewno ją w końcu otruję”. Ale to, widzisz, takie sobie gadanie bez sensu: jak gdyby dziecko plotło. Kapujesz, no nie? Rzecz całkiem naturalna. Dzieci często gadają: “Nienawidzę tego czy tamtego. Głowę mu utnę!” Mówią tak w szkole o nauczycielu, którego wyjątkowo nie lubią.

— Powiadasz, że... że to taka sobie gadanina... Jak gdybym była jeszcze mała?

— Widzisz, może i jesteś nie całkiem dorosła... W pewnym sensie. Pozbieraj się, dziewczyno... Zrozum wreszcie, że to wszystko głupstwa. Nienawidzisz macochy. I co? Przecież wyniosłaś się z domu. Nie musisz mieszkać z nią pod jednym dachem.

— Ale dlaczego nie mogę mieszkać w swoim domu... u mojego własnego ojca? — zapytała Norma. — To nie w porządku, grubo nie w porządku. Najpierw on wyjechał, puścił kantem matkę, z teraz, kiedy ostatecznie wrócił do mnie, zaraz ożenił się z Mary. Rzecz oczywista, że jej nienawidzę. No i ona mnie też nie cierpi. Nieraz myślałam, żeby ją zabić, zastanawiałam się nawet nad sposobami. Mogę powiedzieć, że cieszyłam się takimi myślami. Ale później, kiedy, rozumiesz, rzeczywiście zachorowała...

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nie wyobrażasz chyba sobie, że jesteś czarownicą, czy jak się to tam nazywa — powiedział. — Nie napisz figurek z wosku? Nie nakłuwasz ich szpilką, no nie?

— Skąd znowu! To byłby idiotyzm. Ja musiałam zrobić coś... coś całkiem serio.

— Zastanów się, Normo! Powiadasz: “Musiałam zrobić coś całkiem serio”. Co mianowicie?

— Nie wiem... Butelka była w mojej szufladzie. Otworzyłam szufladę i znalazłam butelkę.

— Jaką znów butelkę?

— “Smok. Uniwersalny środek chwastobójczy”. Tak brzmiała etykieta. Ciemnozielona butelka, a w niej płyn, zdaje się do rozpylania. Był także napis: “Ostrożnie! Trucizna!”

— Kupiłaś czy po prostu znalazłaś?

— Nie wiem, skąd się ta butelka wzięła. Była w mojej szufladzie, opróżniona do połowy.

— I co? Wtedy przypomniawsz sobie...?

— Aha — przyznała niepewnie Norma. — Tak... — podjęła po chwili mętnie, jak gdyby przez sen. — Mam wrażenie, że właśnie wtedy zdałam sobie sprawę... Ty też tak sądzisz, Dawidzie? Prawda?

— Sądzę, moja miła, że to się kupy nie trzyma... Pewno zmyślasz cudaczne historie, wmawiasz je sobie sama.

— Ale ona poszła do szpitala... Na obserwację, jak mówiono. Lekarze nie umieli postawić diagnozy. Nie znaleźli nic określonego, więc ona wróciła do domu... Wróciła i znów poczuła się gorzej. Wtedy zaczęłam bać się okropnie. Ojciec patrzył na mnie spode łba, a później przyjechał doktor i długo rozmawiali zamknięci w jego gabinecie. Wymknęłam się z domu i stojąc pod oknem próbowałam coś podsłuchać. Radzili, co ze mną zrobić... Mówili o zakładzie zamkniętym i systematycznym leczeniu... Zrozumiałam, że ich zdaniem jestem pomyłona i zlekłam się strasznie, bo... widzisz, Dawidzie, nie mogłam uprzytomnić sobie, co zrobiłam, a czego nie zrobiłam.

— I wtedy uciekłaś?

— Nie... Uciekłam później.

— Powiedz mi, jak to było.

— Nie chcę mówić o tym więcej.

— I tak wcześniej czy później będziesz ich musiała zawiadomić, gdzie się podziewasz...

— Nie. Ja ich nienawidzę. Rozumiesz? Ojca nienawidzę tak samo jak Mary. Życzę im śmierci. Niech zdechną! Obydwoje. Wtedy... Wtedy znów byłabym szczęśliwa.

— Nie podniecaj się, dziewczyno, nie fantazuj... Posłuchaj... — młody człowiek zająknął się, jak gdyby z zakłopotaniem. — Mnie tam nie pilno do małżeństwa... To głupia formalność bez znaczenia... Widzisz, myślałem, że nie zdecyduję się na coś takiego... w każdym razie nieprędko. Byłem zdania, że człowiek nie powinien się wiązać, ale... Chyba teraz nie możemy zrobić nic lepszego; Pobierzmy się, Normo. Może najlepiej w urzędzie stanu cywilnego... Będziesz musiała tylko oświadczyć, że masz skończone dwadzieścia jeden lat... Kapujesz? Włosy będziesz miała upięte. Może wystąpisz w okularach... Postarasz się wyglądać poważniej. A jak kłamka zapadnie, ojciec nic ci nie robi. Nie wyśle cię do jakiegoś tam zakładu zamkniętego. Będzie bezradny.

— Jak ja go nienawidzę!

— Wydaje mi się, że nienawidzisz wszystkich.

— Nie. Tylko ojca i Mary.

— Ostatecznie to nic nadzwyczajnego, że mężczyzna drugi raz się żeni.

— A jak postąpił z matką?

— Z twoją matką? Chyba bardzo dawno?

— Tak. Byłam wtedy mała, ale dobrze pamiętam. Wyjechał. Nas zostawił. Na Boże Narodzenie przysyłał mi prezenty, ale sam nie pokazał się ani razu. No a jak wrócił, nawet nie poznałabym go na ulicy, gdybyśmy spotkali się przypadkiem. Nic mnie wtedy nie obchodził. Myślę, że matkę wyprawiał też do jakichś zakładów zamkniętych. Zawsze wyjeżdżała, jak była chora. Nie mam pojęcia dokąd... Nie wiem też, co jej właściwie dolegało. Czasami zastanawiam się, Dawidzie... Zastanawiam się i myślę, że chyba w głowie mam nie wszystko po kolei... Może kiedyś naprawdę zrobię coś okropnie złego... Na przykład ten nóż...

— Jaki?

— Mniejsza o to... Po prostu nóż.

— Nie zechciałabyś wyjaśnić, o czym właściwie bredzisz?

— Były na nim ślady... zapewne krwi... No i leżał schowany pod moimi pończochami...

— Przypominasz sobie, że nóż tam schowałaś?

— Tak mi się zdaje... Ale nie przypominam sobie, co robiłam wcześniej... Czy miałam nóż...? Gdzie byłam? Nie wiem, co robiłam w ciągu jednej godziny... tamtego wieczora. A przecież musiałam być gdzieś i coś robić.

— Cicho! — rzucił stłumionym głosem, gdy do stolika podeszła kelnerka. — Nie martw się — podjął. — Wszystko będzie dobrze. Już ja zajmę się twoimi sprawami. A na razie może byśmy co zjedli, dobra? — sięgnął po kartę i rzucił pewnie pod adresem kelnerki: — Dwa razy fasolka zapiekana na grzance.

VIII

Herkules Poirot dyktował swojej sekretarce, pannie Lemon:

— Doceniam w pełni wyświadczony mi zaszczyt, niestety jednak muszę poinformować uprzejmie...

Zadzwonił telefon. Panna Lemon sięgnęła po słuchawkę.

— Tak. Można wiedzieć, kto prosi? — dłonią zasłoniła tubkę i zwróciła się do szefa. — Pani Oliver.

— A... Pani Oliver. — Poirot był nierad, że mu przeszkodzono, lecz wziął słuchawkę z ręki sekretarki. — Tu Herkules Poirot — powiedział.

— Oo... Drogi panie! Jak to dobrze, że pana zastałam. Znalazłam ją!

— Przepraszani... Nie zrozumiałem...

— Znalazłam ją! Pańską dziewczynę. Pamięta pan? Mówię o tej, co popełniła morderstwo albo wyobraża sobie, że popełniła. Teraz też mówi o morderstwie... Nawet dużo. Myślę, że ma tęgiego fioła. Ale nie o to chodzi. Chce pan po nią przyjechać?

— Skąd droga pani mówi?

— Jestem gdzieś niedaleko katedry Świętego Pawła... Przy Calthorpe Street... — Pani Oliver wyjrzała z kabiny telefonicznej. — Mógłby pan zaraz przyjechać, co? Oni siedzą w kawiarni.

— Jacy oni?

— No, ta mała i, jak wszystko wskazuje, nieodpowiedni wielbiciel. Nawiasem mówiąc, całkiem przyjemny chłopiec i chyba bardzo w niej zadurzony. Zupełnie nie rozumiem dlaczego... Cóż, ludzie bywają dziwni. Ale nie mogę rozmawiać dłużej. Muszę do nich wrócić... Tropiłam ich, weszłam tutaj do kawiarni, no i zaraz zobaczyłam tę parę.

— Rozumiem, *madame*. Była pani niesłychanie przebiegła.

— Skąd znowu! To czysty przypadek. Rozumie pan? Weszłam do niedużej kawiarni i właśnie tam siedziała ta dziewczyna.

— W takim razie miała pani niesłychane szczęście. To dar równie cenny.

— Siedziałam przy sąsiednim stoliku. Przez cały czas. Tyle, że ona była odwrócona do mnie plecami. Ale inaczej też nie poznałaby mnie chyba. Widzi pan, zrobiłam to i owo z włosami... W

każdym razie rozmawiali tak, jak gdyby byli sami na pustyni, a kiedy zamówili coś do jedzenia... fasolkę zapiekaną na grzance! Osobiście nie znoszę fasolki i nie mogę się nadziwić, że ludzie...

— Dajmy spokój fasolce — przerwał Poirot. — Co dalej? Zostawiła ich pani i wyszła, by do mnie zadzwonić? Zgadza się?

— Aha... Właśnie dzięki fasolce zapiekanej na grzance zyskałam nieco czasu. Teraz wrócę tam albo zajmę posterunek przed drzwiami. A pan niech się pośpieszy, dobrze?

— Jak się nazywa ta kawiarnia?

— “Wesolutka”. Ale wcale tam nie wesoło. A nawet okropnie brudno. Tyle, że kawa znośna.

— Dziękuję. Już wiem wszystko. Proszę wracać do “Wesolutkiej”. Ja tam przyjadę.

— Doskonale! — ucieszyła się i odłożyła słuchawkę.

Panna Lemon — jak zawsze zaradna i energiczna — zdążyła wyjść wcześniej i na ulicy oczekiwała szefa obok taksówki. Nie pytała o nic, nie zdradzała jakiegokolwiek zainteresowania. Nie mówiła również, co będzie robić podczas jego nieobecności. W podobnych przypadkach zawsze miała gotowy plan i załatwiała to, co należało.

Przy rogu Calthrope Street Poirot wysiadł z taksówki, zapłacił kierowcy i rozejrzał się dokoła. Od razu zauważył “Wesolutkę”, lecz w sąsiedztwie kawiarni nie dostrzegł osoby przypominającej panią Oliver — chociażby najdoskonalej ucharakteryzowanej. Przeszedł się wzdłuż uliczki tam i z powrotem. Nadal nie było widać nigdzie jego znajomej. A zatem młoda para opuściła “Wesolutkę” i autorka podążyła jej śladem albo... pragnąc zgłębić to “albo”, detektyw zatrzymał się u progu kawiarni. Przez zapotniałe szyby niewyraźnie widział wewnątrz, więc popchnął drzwi, wszedł do salki i błyskawicznie omiół ją spojrzeniem.

Dziewczynę, która odwiedziła go w porze pierwszego śniadania, poznał od razu. Siedziała przy stoliku pod ścianą. Zapatrzona przed siebie paliła papierosa. Zdawać się mogło, że pogrążona jest we własnych myślach... “Albo nie! — poprawił się Poirot. — Myśli tam nie ma”. Dziewczyna pogrąża się raczej we własnej nieświadomości: jak gdyby przebywała gdzie indziej.

Przeciął ukosem salkę i bez wahania zajął krzesło naprzeciw dziewczyny. Podniosła wzrok i detektyw zorientował się nie bez zadowolenia, że został rozpoznany.

— A zatem, *mademoiselle*, znowu się spotykamy — rozpoczął uprzejmie. — Mam wrażenie, że poznaje mnie pani.

— O, tak! Poznaje pana.

— Cieszę się, że nie zostałem zapomniany przez osobę w pani wieku, która widziała mnie ledwie raz jeden, i to przelotnie.

Dziewczyna przyglądała mu się, nadal nie zabierając głosu.

— Wolno zapytać, co utrzymało tak w pani pamięci moją osobę?

— Wąsy — odparła Norma bez namysłu. — Nikt nie ma takich wąsów.

Poirot był kontent, więc podkreślił wąsa z próżnością, jakiej nie potrafił ukryć w podobnych przypadkach.

— Aha... Racja... Nie często widuje się takie wąsy. Ładnie wyrosły, prawda?

— Tak... Zapewne... Chyba ładnie wyrosły...

— Sądzę — podchwycił detektyw — że nie najlepiej zna się pani na wąsach. Ale proszę mi wierzyć... panno Normo... panno Normo Restarick... Nie myślę się, prawda? Proszę mi wierzyć, że moje wąsy wyrosły rzeczywiście ładnie.

Od początku rozmowy dziewczyna sprawiała wrażenie roztargnionej i spoglądała wokół półprzytomnym wzrokiem. Wobec tego Poirot celowo położył mocny nacisk na jej imieniu i nazwisku, aby przekonać się, czy zareaguje. Zareagowała gwałtownie. Wyraźnie była przerażona.

— Skąd pan wie, jak się nazywam? — zapytała.

— Rzeczywiście. Służącemu nie podała pani nazwiska, kiedy złożyła mi pani poranną wizytę.

— Więc skąd pan wie, jak się nazywam? Kto panu powiedział?

— Ktoś znajomy — odrzekł. — Znajomi bywają niekiedy bardzo przydatni.

— Kto taki?

— *Mademoiselle* — podjął spokojnie Poirot — pani wołała nie wyjawiać mi swoich drobnych sekretów. Niechaj i mnie będzie wolno nie zwierzać się pani ze wszystkiego.

— Nie mam pojęcia, jakim sposobem zdołał pan ustalić moją tożsamość.

— Nazywam się Herkules Poirot! — odparł detektyw z właściwą sobie godnością i dalszą inicjatywę pozostawił Normie.

— Ja... — zająknęła się. — Chodzi o to... — urwała znowu.

— Tamtego rana nie posunęliśmy się daleko — zaczął znowu detektyw. — Zdążyła pani tylko powiedzieć, że jest winna morderstwa.

— Aa... To pan ma na myśli!

— Tak, *mademoiselle*. To mam na myśli.

— Ale ja nie mówiłam poważnie. Nic podobnego! Chodzi o... Ja przecież żartowałam... To był kawał...

— *Vraiment?* Zjawia się pani u mnie raczej wcześniej w porze pierwszego śniadania. Powiada pani, że w grę wchodzi bardzo pilna sprawa. Powiada pani, że prawdopodobnie popełniła morderstwo... I co? Tak pani zdaniem wygląda kawał?

Kelnerka, która od pewnego czasu krzątała się w pobliżu obserwując bacznie małego Belga, podeszła doń nagle i wręczyła mu ćwiartkę papieru złożoną jak dziecinny okręcik.

— To dla pana — powiedziała. — Pan Porritt, no nie? Zostawiła dla pana jedna pani.

— Tak... To istotnie dla mnie — zdziwił się Poirot. — Ale jak pani poznała?

— Po wąsach. Ta pani mówiła, że takich wąsów nie widziałam, jak żyję. No i okazało się, że miała rację — dorzuciła spoglądając z podziwem na wąsy słynnego detektywa.

— Aha... Dziękuję pani.

Poirot sięgnął po dziecinny okręcik, rozwinął go, wygładził i przeczytał kilka słów skreślonych pośpiesznie ołówkiem: "On wychodzi właśnie. Ona zostaje. Idę za nim. Ją zostawiam panu. Ariadna".

— Aha — bąknął znów Poirot i złożony arkusik wsunął go do kieszeni. — O czym to była mowa? Już wiem. O poczuciu humoru panny Normy Restarick.

— Czy zna pan tylko moje nazwisko, czy... jak by tu powiedzieć: Czy słyszał pan więcej?

— Wiem o pani to i tamto, *mademoiselle*. Pani londyński adres: Borodene Mansions, sześćdziesiąt siedem; domowy — Crosshedges w Long Basing. Mieszka tam pani ojciec, macocha, cioteczny dziadek i... aha... jego dama do towarzystwa. Jak pani widzi, jestem nie najgorzej poinformowany.

— Kazał mnie pan śledzić?

— Nie. Nic podobnego! Ręczę słowem honoru.

— I nie jest pan z policji. Skądś to słyszałam...

— Dobrze pani słyszała. Nie jestem z policji.

W tym momencie dziewczyna wyzbyła się skrytości i podejrzeń.

— Nie wiem, co robić — przyznała.

— Nie namawiam — odparł — by skorzystała pani z moich usług. W swoim czasie usłyszałem, że na to jestem za stary. Być może miała pani słuszność. Ponieważ jednak ustaliłem pani tożsamość i wiem o pani niejedno, nic nie stoi na przeszkodzie naszej życzliwej naradzie w kwestii dręczących

panią trudności czy kłopotów. Proszę pamiętać, że ludzie starzy uchodzą za niezdolnych do energicznej akcji, lecz dysponują pokaźnym zasobem doświadczeń i mogą z niego czerpać.

Norma mierzyła go nadal mętnym, niepewnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu — tym samym spojrzeniem, które zaniepokoiło go w trakcie pierwszego spotkania. Wyraźnie jednak skapitulowała i, jak osądził, czuła potrzebę mówienia o sobie. Z takich czy innych względów mały Belg należał do ludzi, wobec których zwierzenia przychodzą bez oporów.

— Oni myślą, że brak mi piątej kleпки — zaczęła szczerze. — Chyba i ja tak myślę. Brak mi piątej kleпки. Jestem szalona.

— To interesujące — podchwycił swobodnie Poirot. — Na te historie mamy moc określić: wyrazów, którymi z satysfakcją posługują się psychiatrzy, psychoanalitycy, ludzie z tej branży. Jeżeli jednak zwykły człowiek usłyszy, że komuś brak piątej kleпки, od razu wie, w czym sedno sprawy. A zatem brak pani piątej kleпки albo tak wygląda na pozór, albo tak się pani wydaje, albo ostatecznie tak jest w istocie. Ale w żadnym przypadku sprawa nie może być bardzo poważna. To dolegliwość szeroko rozpowszechniona, łatwa do wyleczenia przy zastosowaniu właściwej kuracji. Brak piątej kleпки daje znać o sobie w przypadkach nadmiernego wysiłku umysłowego albo jeżeli ktoś ma wiele zmartwień, za dużo uczy się przed egzaminami, zbyt skrupulatnie analizuje własne wzruszenia, jest przesadnie religijny czy też niereligijny, nienawidzi ojca lub matki... I rzecz oczywista, może to być rezultat niefortunnej historii sercowej.

— Ja mam macochę. Nienawidzę jej. Nienawidzę też własnego ojca... Tak mi się przynajmniej wydaje. To chyba starczy, co?

— Częściej spotykanym objawem jest nienawiść do jednej albo drugiej ze wspomnianych przez panią osób — powiedział. — Sądzę, że pani bardzo kocha matkę. Czy ona jest rozwiedziona, czy nie żyje?

— Nie żyje. Umarła parę lat temu.

— A pani była do niej przywiązana, prawda?

— Tak... Chyba tak. Ma się rozumieć! Byłam do niej przywiązana. Matka chorowała ciężko. Często przebywała w różnych lecznicach.

— A ojciec?

— Ojciec znacznie wcześniej wyjechał za granicę: chyba do Ameryki Południowej. Miałam wtedy pięć, może sześć lat. Myślę, że próbował uzyskać rozwód, ale matka się nie zgadzała. Wyjechał do Ameryki Południowej i tam miał do czynienia chyba z kopalniami. Do mnie pisywał na Boże Narodzenie. Przesyłał prezenty gwiazdkowe albo tak załatwiał, że mi je dostarczano. To wszystko. Otwarcie mówiąc, ojciec wydawał mi się mało realny. Do kraju wrócił mniej więcej przed rokiem. Po śmierci stryja musiał uregulować interesy firmy, doprowadzić do porządku jakieś sprawy finansowe. No i do kraju przywiózł tę... tę nową żonę!

— Pani odczuła to boleśnie.

— Tak... Niewątpliwie.

— Ale pani matka umarła wcześniej. Przecież mężczyźni często żenią się powtórnie, zwłaszcza w przypadkach, kiedy rozkład małżeństwa nastąpił przed laty. Pani macocha nie jest osobą, z którą ojciec chciał się żenić dawniej, kiedy zabiegał o rozwód z pani matką?

— Nie. Ona jest zupełnie młoda i bardzo ładna, i... I postępuje tak, jak gdyby ojciec był jej własnością! — wybuchnęła dziewczyna i po chwili podjęła innym zgoła, prawie dziecięcym głosem. — Rok temu, kiedy wrócił do Anglii, łudziłam się, że będzie mnie naprawdę kochał, że będzie dbał o mnie i... Ale ona nie pozwoliłaby za nic na coś takiego! Ona jest przeciw mnie. Ona mnie odpycha!

— W pani wieku to sprawa bez istotnego znaczenia. Na szczęście nie wymaga już pani szczególnej opieki. Jest pani niezależna, może cieszyć się życiem, dobierać swobodnie znajomych i przyjaciół...

— Nie mówiłby pan tak, gdyby pan wiedział, jakiego zdania są na ten temat w domu... Chodzi mi o swobodny dobór przyjaciół.

— Drażliwa kwestia — podchwycił Poirot. — W obecnych czasach starsze pokolenie krytykuje pod tym względem wiele młodych dziewcząt.

— Wszystko pokręciło się jakoś — zmieniła temat Norma. — On nic a nic nie przypomina mojego ojca, którego pamiętam. Kiedy wyjechał z kraju, miałam pięć lat. Wtedy bawił się ze mną często i zawsze był wesoły. Teraz się zmienił. Jest wiecznie zatroskany... zatroskany i chyba zły! Zupełnie do siebie niepodobny.

— Upłynęło jakieś piętnaście lat... Cóż, ludzie się zmieniają.

— I zmiany mogą być aż tak uderzające?

— Czy zmienił się też wygląd pani ojca?

— Ach, nie. Pod tym względem nie zmienił się prawie. Wystarczy spojrzeć na portret, który wisi nad jego krzesłem. Jest tam młodszy o piętnaście lat. Ale całkiem podobny do tego, jaki jest dziś. Tyle, że ja pamiętam go zupełnie inaczej.

— Droga pani — podchwycił Poirot — ludzie rzadko bywają podobni do naszych wspomnień o nich. Z biegiem lat stają się coraz bardziej i bardziej tacy, jakimi chcemy ich widzieć, jakimi się nam wydają. Są bardziej sympatyczni, weselsi, ładniejsi niż w rzeczywistości, ponieważ odpowiada nam taki właśnie obraz.

— Tak? Naprawdę pan w to wierzy? — Norma umilkła na moment i zapytała obcesowo: — Ale dlaczego ja chcę zabijać ludzi? Dlaczego? Jak pan sądzi?

Ostatnie zdania padły jak najbardziej naturalnie i zawisły pomiędzy nimi. Poirot uświadomił sobie, że rozmowa osiągnęła wreszcie punkt przełomowy.

— To kwestia nader interesująca — odparł z wolna — a przyczyny mogą być równie ciekawe. Odpowiedzi udzielić mógłby pani zapewne lekarz: lekarz z typu tych, którzy niemało wiedzą.

— Nie pójdę do lekarza! — Wycofała się szybko Norma. — Nie chcę! Oni próbowali skłonić mnie do tego, a później zamknąć w jakimś domu wariatów, skąd nie ma wyjścia. Nie pójdę do lekarza. Nie chcę!

Poruszyła się na krześle, jak gdyby chciała raptownie wstać.

— Spokojnie droga pani — powiedział detektyw — spokojnie. — Przecież ja nie mogę wysłać pani do doktora. Zrobi pani to dobrowolnie, jeżeli oczywiście zechce. Porozmawia pani z mądrym lekarzem, jak teraz ze mną, jego zapyta pani, “dlaczego”, a mądry lekarz, być może, wyjaśni przyczyny.

— Tak samo uważa Dawid. Mówi coś podobnego, ale... Ale nie zdaje mi się, by mógł... mógł zrozumieć. Musiałabym powiedzieć doktorowi, co... że chciałam... próbować robić różne rzeczy.

— Czemu pani sądzi, że próbowała coś robić?

— Bo nie zawsze pamiętam, gdzie byłam, co się ze mną działo. Tracę jakąś godzinę, dwie godziny... Później nic nie pamiętam. Raz stałam na korytarzu pod drzwiami... Pod jej drzwiami! W rękę trzymałam coś... Nie mam pojęcia, skąd ja to wzięłam. Ona szła w moją stronę, ale jak była bliżej, spostrzegłam, że zmieniła się nagle, twarz ma zupełnie inną... Rozumie pan? Zmieniła się nagle w inną osobę.

— Może wspomina pani zły sen? Na jawie nikt nie zmienia się nagle w inną osobę.

— Nie... To nie sen... Podniosłam rewolwer... Leżał u moich nóg...

— W korytarzu?

— Nie na dziedzińcu... Ona podeszła... Odebrała mi rewolwer.

— Kto?

— Claudia. Zaprowadziła mnie na górę. Dała do wypicia jakieś gorzkie paskudztwo.

— Gdzie była wtedy macocha pani?

— Także tam... Nie! Była w Crosshedges. Albo w szpitalu. Tam przecież wyszło na jaw, że ktoś... że ja usiłowałam ją otruć.

— Dlaczego pani? Przecież to mógł być ktoś inny.

— Ktoś inny?... Kto?

— Chociażby mąż.

— Ojciec? Po co, u licha, ojciec miałby truć Mary? Kocha ją jak głupi.

— W Crosshedges mieszka kilka osób.

— Stary wujaszek Roddy? Nonsens!

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedział Poirot. — Sir Roderick może być niespełna rozumu. Mógł wyobrazić sobie, że obowiązek nakazuje mu zgładzić kobietę, która jest pięknym szpiegiem. Coś w tym rodzaju.

— Zastanawiające — podjęła dziewczyna żywiej, jak gdyby zapominając o własnych sprawach. — Podczas wojny wujaszek Roddy miał dużo do czynienia z różnymi aferami szpiegowskimi. Kto jeszcze? Sonia? Cóż, Sonia mogłaby być pięknym szpiegiem, ale nie pasuje mi jakoś do takiej roli.

— Nie pasuje, istotnie. I trudno byłoby wymyślić powód, dla którego ta młoda osoba chciałaby otruć macochę pani. Jest chyba w domu służba? Może ogrodnicy?

— Nie. Cała służba jest na przychodne... Nie sądzę... Jakie motywy mogliby mieć tacy ludzie?

— Pani Restarick mogła truć się sama.

— Myśli pan, że chciała popełnić samobójstwo? Jak tamta?

— Istnieje i taka możliwość.

— Nie potrafię wyobrazić sobie Mary w roli samobójczyni. O wiele na to za rozsądna. No i dlaczego, proszę pana?

— Tak... Gdyby usiłowała odebrać sobie życie, zapewne wsunęłaby głowę do piecyka gazowego albo w estetycznej pozie ułożyła się na łóżku i połknęła śmiertelną dawkę jakiegoś środka nasennego. Mam rację?

— Hm... Taki sposób wydaje mi się bardziej naturalny. — Norma umilkła na chwilę, żeby wnet pojąć żywo. — A widzi pan! Ja musiałam to zrobić.

— Zastanawiające — powiedział tym razem Poirot. — Pani prawie życzy sobie, aby tak było. Pociąga panią myśl, że to pani ręka podsunęła macosze śmiertelną dawkę tego, tamtego czy owego. Odpowiada pani taki obraz.

— Jak pan śmie mówić coś takiego? Jak pan może?

— Mogę, bo jestem zdania, że to bliskie prawdy. Dlaczego myśl o morderstwie, które pani mogła popełnić, podnieca panią, bawi?

— Nic podobnego!

— Kto wie? — wtrącił półgłosem detektyw, a Norma otworzyła torebkę i zaczęła szukać w niej

czegoś roztrzęsionymi rękami.

— Nie chcę siedzieć tu spokojnie i słuchać pańskiej gadaniny — rzuciła.

Skinęła na kelnerkę, ta zaś podeszła i wydarłszy z bloczka kartkę, położyła ją obok talerza Normy.

— Pozwoli pani...

Poirot zwinnie wziął kartkę i sięgnął do kieszeni, by wydobyć portfel. Dziewczyna odebrała mu rachunek.

— Za mnie nie będzie pan płacił!

— Pozwoli pani... — powtórzył detektyw, lecz nie upierał się, gdyż zdążył już zobaczyć to, na czym mu zależało.

Rachunek był za dwie osoby, a zatem piękny i strojny Dawid pozwala zakochanej dziewczynie płacić za siebie.

— Aha — podjął detektyw — to pani podejmowała przyjaciela drugim śniadaniem.

— Skąd pan w ogóle wie, że ktoś był ze mną?

— Jak wspomniałem już, *mademoiselle*, wiem niejedno. Norma rzuciła kilka monet na blat stolika i podniosła się żywo.

— Wychodzę — oznajmiła. — I niech się pan nie waży mnie śledzić.

— Nawet nie potrafiłbym zdobyć się na taki wyczyn. Proszę nie zapominać o moim podeszłym wieku. Gdyby przyszło pani do głowy uciec, z pewnością nie nadążyłbym za panią.

Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi.

— Słyszał pan? — powiedziała. — Niech się pan nie waży mnie śledzić.

— Ale wolno mi chyba otworzyć drzwi? — zapytał i zrobił to z właściwą sobie galanterią. — *Au revoir, mademoiselle*.

Dziewczyna rzuciła mu nieufne spojrzenie i idąc rażno chodnikiem, raz po raz oglądała się przez ramię. Poirot stał w drzwiach, obserwował Normę, ale nie zdradzał chęci, by podążyć za nią.

— I co, u diabła, może znaczyć to wszystko? — mruknął wreszcie do siebie, wracając do stolika.

Kelnerka zbliżyła się z bardzo surową miną, więc chcąc ją udobruchać zamówił kawę.

— Czuję coś osobliwego — mamrotał dalej. — Tak. Coś szczególnie osobliwego...

Kelnerka postawiła przed nim filiżankę bladobrunatnej cieczy. Poirot pociągnął łyk i wykrzywił

się z niesmakiem. Zastanowił się poważnie, gdzie w tym momencie może być pani Oliver.

IX

Pani Oliver siedziała w autobusie — zdyszana lekko, lecz pełna łowieckiego zapachu. Osobnik, którego w myślach nazywała Pawiem, nadał nieco zbyt ostre tempo. Chociaż była nie najlepszym piechurem, śpieszyła jego śladem wzdłuż bulwaru Embankment utrzymując dystans mniej więcej dwudziestu kroków. Przy Charing Cross Paw zszedł do kolei podziemnej. Ariadna Oliver za nim. Przy Solan Square wysiadł z wagonu. Ona za nim. W kolejce na przystanku autobusowym zajęła miejsce o trzy lub cztery osoby dalej. On wszedł do autobusu. Ona również. Wysiadł przy Worlds End. Pani Oliver również, by tropem Pawia zapuścić się w plątaninę ulic pomiędzy King's Road a rzeką. On skręcił na coś przypominającego plac budowy, ona zaś stanęła w bramie i gdy ścigany zniknął w wąskim przejściu, ruszyła za nim odczekawszy chwilę. Pawia nie było jakoś widać nigdzie, więc pobieżnie zlustrowała otoczenie. Istny labirynt ciasnych przejść — po części ślepych — przedstawiał się na ogół nędznie. Utraciła poczucie kierunku, a gdy zawróciła ku rzekomemu placowi budowy, najniespodziewaniej usłyszała za sobą głos i wzdrygnęła się gwałtownie.

— Mam nadzieję, że nie szedłem zbyt prędko? Odwróciła się szybko. Gonitwa rozpoczęta lekkomyślnie i z pogodą — niemal dla zabawy — stała się czymś zgoła odmiennym. Poczwała nagle strach. Wylękała się okropnie atmosfery przesyconej grozą. Głos brzmiał miło, uprzejmie, lecz utajona w nim nuta złości przypominała jej rozmaite historie, o których piszą w gazetach. Czytywała przecież o bandach niesfornych wyrostków, którzy napadają starszawe kobiety powodowani tylko irracjonalnym gniewem, pragnieniem wyrządzenia krzywd. Ona śledziła tego młodego człowieka. On zdawał sobie sprawę z pościgu, wymknął się, aby następnie zawrócić tropem prześladowczym. I oto stoi teraz przed nią, zagradza sobą wyjście ze ślepego zaułka. Osobliwą cechą Londynu jest to, że w jednej chwili można być pośród gęstego tłumu, w następnej nie mieć w polu widzenia żywej duszy. Niewątpliwie ludzie znajdują się na sąsiedniej ulicy, muszą też być w pobliskich domach, lecz jeszcze bliżej stoi groźny typ o mocnych, okrutnych dłoniach... Najprawdopodobniej myśli obecnie o posłużeniu się tymi łapami... Paw... Pyszny, wyniosły Paw! Ma na sobie kamizelkę z aksamitu, kusą marynarkę, szykowne czarne spodnie. Mówi spokojnie, z szyderczą ironią, lecz w tonie jego głosu słychać też zawziętość. Pani Oliver kilkakrotnie odetchnęła z wysiłkiem, a następnie podjęła obronę, wymyśloną pod wpływem nagłego olśnienia. Pewnie i z rozmachem zasiadła na stojącym pod ścianą blaszanym pojemniku na śmieci.

— Mój Boże! — rozpoczęła. — Ale się wystraszyłam. Nie miałam pojęcia, że się pan tak nagle zjawi... Spodziewam się, że nie czuje pan do mnie urazy?

— A więc tropiła mnie pani?

— Tak... Muszę przyznać, że tropiłam. Prawdę mówiąc, powinien się pan na mnie zezłościć. Ale, widzi pan, wpadłam na pomysł, by skorzystać z nadarzającej się wybornej okazji. Oczywiście, pan musi być na mnie wściekły... Ale niesłusznie, bo... proszę zrozumieć... Widzi pan... — tu rozsiadła się wygodniej na metalowym śmietniku. — Widzi pan, ja pisuję książki, powieści kryminalne... Dziś rano byłam w fatalnym nastroju, więc wstąpiłam do kawiarni, bo chciałam wypić filiżankę kawy i to

i owo przemyśleć... Widzi pan, w mojej nowej książce doszłam do sceny, w której zaczynam kogoś tropić... To znaczy, mój bohater rusza za kimś jak cień. Przyszło mi na myśl, że, tak naprawdę, nie mam pojęcia, jak wygląda śledzenie. Raz po raz posługuję się tym zwrotem, wielokroć czytałam książki, w których ktoś kogoś śledzi, no i... Widzi pan, opadły mnie wątpliwości. Zaczęłam medytować, czy śledzenie kogoś jest takie łatwe, jak w niektórych książkach, czy też, jak w innych, graniczy z nieprawdopodobieństwem. Wreszcie pomyślałam, że warto spróbować tego osobiście, bo póki człowiek sam czegoś nie doświadczy, nie ma pojęcia, jak się to coś przedstawia. Rozumie pan? Niepodobna przewidzieć, jak człowiek czuje się w podobnej sytuacji albo czy bardzo jest zmartwiony, kiedy zniknie mu śledzony osobnik. Pomyślałam tak, rozejrzałam się dokoła i zbiegiem okoliczności akurat pan siedział w kawiarni przy sąsiednim stoliku. Odczułam wtedy... Znow pan będzie zły na mnie, ale trudno. Odczułam wtedy, że pan wyjątkowo nadaje się do śledzenia.

Strojny młodzieniec nadal nie odrywał od niej spojrzenia dziwnych, zimnoniebieskich oczu, ale pani Oliver odniosła wrażenie, iż napięcie zelżało trochę.

— Dlaczego właśnie ja wyjątkowo nadaję się do śledzenia? — padło pytanie.

— Jest pan bardzo dekoracyjny — wyjaśniła autorka. — Ubiór doprawdy efektowny... prawie w stylu Regencji... Rozumie pan? Przyszło mi na myśl, że łatwo będzie pana odróżnić, nawet w tłoku, no i kiedy wyszedł pan z kawiarni, ja także wyszłam. I, proszę mi wierzyć, śledzenie to wcale niełatwa sprawa... Ciekawa jestem, czy wiedział pan o mnie od początku... Chyba zechce mi pan to powiedzieć?

— Nie od samego początku.

— Oo... Rozumiem — podjęła pani Oliver z rozwagą. — Ale ja jestem mniej niż pan widoczna... To znaczy, że trudno byłoby panu odróżnić mnie od wielu innych kobiet w pewnym wieku. Nie mam cech wyjątkowo charakterystycznych, prawda?

— Czy pani książki ukazują się w druku? Czy która z nich mogła wpaść mi do rąk?

— Bo ja wiem?... Zapewne mogła. Dotychczas wydałam czterdzieści trzy tytuły. Nazywam się Oliver.

— Ariadna Oliver?

— A więc słyszał pan o mnie? To objaw w pewnym stopniu pocieszający... Chociaż moje książki nie mogą chyba podobać się panu... Są zbyt staroświeckie, chyba za mało krwiożercze i bezwzględne.

— Do tej pory nie znała mnie pani? Nie wiedziała o moim istnieniu?

— O tak! Z całą pewnością nie wiem... to znaczy do dziś nie wiedziałam o panu.

— A co pani powie o dziewczynie, która była ze mną?

— W kawiarni? Mówi pan o dziewczynie, w której towarzystwie jadł pan... o ile dobrze sobie

przypominam, fasolkę zapiekaną na grzance...? Nie... Chyba nie znam tej osoby... Co prawda widziałam tylko jej plecy i tył głowy... Cóż, dziewczęta są teraz bardzo podobne jedna do drugiej.

— Ona zna panią! — rzucił młody człowiek głosem, który zabrzmiał cierpko i ostro. — Mówiła, że miała zaszczyt poznać panią niedawno, tak mniej więcej przed tygodniem.

— Gdzie...? Na jakimś przyjęciu? Niewykluczone, że mogłyśmy się spotkać... Jak ona się nazywa? Może to coś wyjaśni? — zaczęła się dopytywać.

Miała wrażenie, że chłopiec waha się. Szybko jednak powziął decyzję i spoglądając przenikliwie w jej twarz, rzekł:

— Ona nazywa się Norma Restarick.

— Norma Restarick... Oczywiście! Małe zebranie towarzyskie na wsi... Jaka to była miejscowość? Long Norton, prawda? Nie przypominam sobie nazwy posiadłości... Byłam tam z przyjaciółmi... Nie sądzę, żebym mogła poznać tę młodą osobę, chociaż, o ile dobrze zapamiętałam, mówiła coś o moich książkach. Tak! Nawet obiecałam jej jedną, której nie czytała... Zabawne zdarzenie, prawda? Nagle wpaść na pomysł, by śledzić kogoś, kto jest w towarzystwie osoby znajomej... powiedzmy, prawie znajomej... Dziwna historia! Gdybym zamieściła jaw książce, powiedziano by pewnie, że zakrawa to na zbyt wielką bzdurę. Chyba przyzna mi pan rację, prawda? — zapytała i wyprostowała się raptownie. — Słowo daję. Dopiero teraz zauważyłam, na czym siedzę... Śmietnik! I to wcale nie najczystszy śmietnik. — Z odrazą pociągnęła nosem. — Gdzie ja właściwie jestem? Dokąd mnie pan zaprowadził?

Dawid spojrzał na nią z uśmiechem i Ariadna Oliver w jednej chwili wysnuła wniosek, że jej uprzednie podejrzenia nie miały sensu. “Absurd! — pomyślała. — Kompletny absurd! Jak można było sądzić, że to typ niebezpieczny, że zrobi mi coś złego? Uśmiecha się z wdziękiem, porusza głową. Kasztanowatymi lokami muska ramiona... Ach, ci współcześni chłopcy! Zgoła niepojęte istoty”.

— Myślę — odpowiedział — że najłatwiej wyjaśnię, dokąd panią zaprowadziłem, jeżeli jeszcze raz zechce pani pójść moim śladem. Pozwoli pani tędy — dodał wskazując podejrzanie chwiejne zewnętrzne schody, prowadzące, jak wydawać się, mogło, na strych lub poddasze.

— Tędy? Po tych schodach?

Pani Oliver zaniepokoiła się znowu. Może chłopiec zwodzi ją uprzejmością i wdziękiem? Może chce zaprowadzić ofiarę do meliny i tam dopiero dać jej po głowie? “Tak nie można, Ariadno — skarciła się w duchu. — Przyszłaś tu dobrowolnie, więc teraz rób swoje, wybadaj wszystko, co jest do wybadania”.

— Myśli pan — podjęła — że schody wytrzymają moją wagę? Wyglądają bardzo podejrzanie.

— Są całkiem mocne — odparł Dawid. — Śmiało! Ja pójdę pierwszy. Pokażę pani drogę.

Autorka wspięła się na wąskie, przypominające drabinę schodki. Nie była zadowolona z siebie.

Bała się nadal — nie tyle Pawia, ile zagadkowego miejsca, do którego ją prowadził. Cóż, wkrótce dowie się, jakie to miejsce. U szczytu schodów Dawid pchnął drzwi i pierwszy wskoczył do pokoju, który był duży, pusty i bez wątpienia mieścił zaimprovizowaną pracownię malarską. Kilka materacy leżało tu i ówdzie na podłodze. Pod ścianą jakieś blejtramy i sztalugi. Zobaczyła od razu dwie osoby. Brodaty młody mężczyzna stał przed jednymi sztalugami. Malował. Gdy drzwi skrzypnęły, odwrócił głowę.

— Cześć, Dawid! — odezwał się. — Widzę, że przyprowadziłeś kogoś.

Pani Oliver pomyślała, iż ów malarz to najbrudniejszy młody mężczyzna, jakiego widziała w życiu. Kołtun przetłuszczonych, czarnych włosów opadał mu na kark i prawie zasłaniał oczy. Niezależnie od brody twarz była straszliwie zarośnięta. Ubiór składał się głównie z wyjątkowo niechlujnej skórzanej kurtki i długich butów. Przeniosła wzrok ku znajdującej się nieco dalej, na podium, dziewczynie, która bez wątpienia pozowała. Modelka siedziała, lub raczej prawie leżała na krześle. Głowę miała przechyloną do tyłu, ciemne włosy rozpuszczone. Pani Oliver poznała natychmiast drugą z trójki lokatorek zajmujących numer sześćdziesiąt siedem w Borodene Mansions. Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska, lecz pamiętała imię. Była to Frances — młoda osoba bardzo “zrobiona”, no i niewątpliwie ocieężała.

— To Peter — powiedział Dawid wskazując malarza o powierzchowności raczej odrażającej — jeden z naszych geniuszów w zarodku. A to jest Frances. Pozuje, jako zrozpaczone dziewczę, które błaga o usunięcie ciąży.

— Stul pysk, małpo! — rzucił Peter.

— Mam wrażenie, że spotkałam gdzieś panią — odezwała się pani Oliver bez przekonania. — Tak... Poznałyśmy się z pewnością... I to niedawno.

— Pani Oliver, o ile się nie mylę — powiedziała Frances.

— Tak mnie poinformowała — wtrącił Dawid. — To prawda?

— Gdzie ja panią widziałam? — ciągnęła autorka powieści kryminalnych. — Może na jakimś przyjęciu? Zaraz, zaraz... Już mam! W Borodene Mansions.

W trakcie rozmowy, którą prowadziła ospałym trochę, lecz kulturalnym głosem, modelka usiadła na krześle prosto.

— Poza przepadła! — krzyknął Peter gniewnie. — Musisz się kręcić, hę? Nie możesz chwili usiedzieć spokojnie?

— Trudno wytrzymać długo w takiej cholernej pozycji. Cała zdrętwiałam.

— Robiłam właśnie eksperyment — mówiła dalej pani Oliver. — Chciałabym przekonać się osobiście, jak wygląda śledzenie kogoś. To historia nieporównanie trudniejsza, niż ludzie na ogół sobie wyobrażają... O... Więc tak wygląda pracownia malarza? — zmieniła temat i z pogodną miną

rozejrzała się dokoła.

— Dziś tak wygląda — odpowiedział Peter. — Strych, moja pani! No i człowiek ma szczęście, jeżeli nie załamuje się pod nim podłoga.

— Nie gadaj! — podchwycił Dawid. — Jest tu wszystko, co trzeba. Masz północne światło, miejsca do łoża, możliwe wyko, ką urządzony na kuchnię, jeden z czterech udziałów w dwu zerach na dole... No i znajdzie się zawsze jakaś butelczyna. — Zwrócił się do starszej damy. — Czy wolno zaproponować pani coś mocnego?

— Ja nie pijam — odparła.

— Nie pija pani? — zdziwił się. — Kto by pomyślał!

— Niezbyt delikatna to wypowiedź, ale, niestety, prawdziwa — uśmiechnęła się pani Oliver. — Ludzie mówią mi przeważnie: “A ja myślałem, że pije pani jak gąbka”.

Otworzyła torebkę, z której wypadły trzy pukle szpakowatych włosów. Dawid podniósł je i zwrócił właścicielce.

— Oo... Bardzo dziękuję — powiedziała. — Dziś z rana na nic nie miałam czasu... Cóż, pewno znajdę też szpilki do włosów. — Sięgnęła do torebki i zaczęła upinać tresy.

— Zuch babka! — zawołał Peter i ryknął śmiechem. “Dziwadło ze mnie — myślała pani Oliver. — Skąd strzeły mi do głowy jakieś podejrzenia. Czy coś mogłoby grozić komuś ze strony takich ludzi? Niech sobie wyglądają trochę dziwnie. Co to szkodzi? Ale są sympatyczni, naprawdę sympatyczni i życzliwi. Mają rację ci, którzy powtarzają mi wciąż, że grzeszę zbyt bujną wyobraźnią”.

Niebawem oznajmiła, że pora na nią, więc Dawid, pełen galanterii, sprowadził ją po niepewnych schodach i wytłumaczył jasno, jak najprostszą drogą trafić do King’s Road.

— Tam — zakończył — będzie autobus albo taksówka, jeżeli to bardziej pani odpowiada.

— Ach! Taksówka! — ucieszyła się pani Oliver. — Nóg nie czuję! Im prędzej złapię taksówkę, tym lepiej. Serdecznie panu dziękuję — dodała — za uprzejmość w kwestii... w kwestii tego śledzenia, które musiało być dla pana kłopotliwe. Chociaż nie sędzę, abym wyglądała na prywatnego detektywa, szpicla, łapsa... czy jak się taki nazywa?

— Ja też nie sędzę — przyznał z powagą Dawid i podjął innym tonem. — A więc na lewo, później w pierwszy zaułek na prawo, jeszcze raz w lewo, a jak zobaczy pani rzekę, pod ostrym kątem w prawo i aż do końca prosto.

Była trochę zdziwiona, gdy znalazłszy się znów na placu budowy, odczuła ten sam trwoźny niepokój. “Nie wolno poddawać się fantazjom” — pomyślała oglądając się na schodki i duże okno pracowni malarskiej. Dawid stał tam, spoglądał w jej stronę. — “Bardzo sympatyczna trójka — prowadziła swój wewnętrzny monolog. — Ludzie uprzejmi, absolutnie na miejscu. Teraz w lewo,

następnie na prawo... Wyglądają nieco osobliwie. To fakt... Dlaczego jednak podejrzewać, że mogą być groźni? Jak teraz? W lewo czy na prawo? Chyba Paw mówił, że w lewo? Do licha! Moje nogi! No i padać zaczyna”.

Marsz wydawał się długi. King's Road jest niesłychanie odległa. Prawie nie było słychać ruchu ulicznego... A gdzież jest rzeka? Zaczęła podejrzewać, że zmyliła kierunek. “Cóż — myślała — dokądś muszę trafić wcześniej czy później. Może to będzie rzeka albo Putney, albo Wandsworth, coś w każdym razie będzie”. O King's Road zapytała przechodzącego mężczyznę, lecz odpowiedział, że jest cudzoziemcem i słabo mówi po angielsku.

Bardzo zmęczona skręciła raz jeszcze i znalazłszy się w ciasnym przejściu zobaczyła Tamizę. Wówczas przyśpieszyła kroku, usłyszała, że ktoś za nią idzie, i nim zdążyła się odwrócić, dostała potężny cios w tył głowy. Świat zawirował, roztopił się w powodzi iskier.

X

— Proszę to wypić — zabrzmiał czyjś głos.

Norma dygotała nerwowo, oczy miała zamglone. Cofnęła się, skuliła na krześle.

— Proszę to wypić! — padło znów bardziej kategorycznym tonem.

Tym razem była posłuszna i zakrztusiła się trochę.

— Okropnie mocne — westchnęła.

— Nie szkodzi. Postawi panią na nogi za parę minut. Proszę siedzieć spokojnie i czekać.

Oslabienie i niepokojący zamęt w głowie mijały. Ustępowały też dreszcze. Policzki dziewczyny zaczynały lekko różowieć. Po raz pierwszy rozejrzała się wokół, zwróciła uwagę na otoczenie. Dotychczas dręczyło ją uczucie grozy, obłądnego lęku, obecnie jednak wszystko wracało do naturalnego stanu. Nieduży pokój był urządony na sposób jak gdyby znajomy. Biurko, leżanka, fotel i zwyczajne krzesło; na bocznym stoliku stetoskop oraz jakieś urządzenie, chyba z zakresu okulistyki. Po chwili Norma przeszła od ogólnych cech otoczenia do bardziej szczegółowych. Zaciekawiał ją mężczyzna, który dwukrotnie powtórzył: “Proszę to wypić”.

Miał trzydzieści lat — może trochę więcej — rude włosy i nieładną, przyjemną twarz, z grubą ociosaną, lecz interesującą. Spojrzał na Normę, z otuchą pokiwał głową.

— Zaczynamy przychodzić do siebie, hę?

— Może.. Ja... Czy pan?... Co się właściwie stało?

— Nie pamięta pani?

— Wypadek drogowy?... Samochód... Pewno mnie przejechał...

— Nie przejechał — podchwycił rudzielec. — Moja w tym była głowa!

— Jak to!

— Cóż, zobaczyłem panią pośrodku jezdni, panią i nadjeżdżający samochód... Udało mi się jakoś wyciągnąć niedoszłą ofiarę. Co też pani strzeliło do głowy? Jak można biec na oślep przez ruchliwą jezdnię?

— Nie pamiętam.. Chociaż... Tak! Musiałam zamyślić się o czymś.

— Jaguar dobrze gazował, a z przeciwnego kierunku jechał autobus. Chyba nie zależało nikomu na

potrąceniu pani, hę?

— Czy ja... Nie... Z pewnością na tym nikomu nie zależało. Chodzi o to...

— Zastanawiające... Chodzić może o coś zupełnie innego.

— Nie rozumiem...

— Wypadek mógł być sprowokowany.

— Sprowokowany? Jak to?

— Czy pani chciała dać się zabić, hę?

— Ja... To znaczy... Nic podobnego! Oczywiście że nie!

— Jeżeli tak, wybrała pani bardzo niemądry sposób. Śmiało! Przecież coś niecoś musi pani pamiętać.

Dziewczyna znów zaczęła dygotać.

— Zdawało mi się... Pomyślałam, że raz będzie po wszystkim. Chodzi o to...

— Więc samobójstwo? A powód? Mnie może pani wyznać prawdę. Chłopiec? Z tego powodu dziewczyna nieraz czuje się fatalnie. No i pewną pociechę stanowi zawsze nadzieja, że jemu będzie bardzo smutno, jeżeli ona zginie. Ale to złudna nadzieja, proszę mi wierzyć. Ludzie niechętnie martwią się, niechętnie uznają własne winy. Sądzę, że chłopiec powiedziałby tylko: "Cóż ona zawsze była lekko pomyłona. Może i lepiej się stało". Proszę przypomnieć to sobie, kiedy powtórnie wzbierze w pani ochota do szarży na jaguara. Nawet jaguary mają swoje uczucia, które wypada szanować. Więc co się stało? Ukochany puścił panią kantem?

— Nie. Wręcz przeciwnie! — obruszyła się Norma i po krótkim wahaniu dodała: — Oświadczył mi się dzisiaj.

— To nie powód, by rzucać się pod jaguara.

— Właśnie, że powód, bo... bo...

— Proszę lepiej opowiedzieć mi wszystko, zgoda?

— Jak się tutaj dostałam? — zapytała.

— Taksówką, pod moją opieką. Nie wygląda pani na osobę poważnie ranną. Myślę, że cała bieda ograniczy się do kilku sińców. Była pani tylko oszołomiona, w stanie pourazowym. Dopytywałem się o adres, ale pani patrzyła na mnie tak, jak gdyby nie rozumiała wcale, o czym mowa. Gromadził się już tłumek, więc zatrzymałem taksówkę i tutaj panią przywiozłem.

— Czy to... Czy jestem w jakimś ambulatorium? — padło kolejne pytanie.

— Niezupełnie. To prywatny gabinet lekarski, a ja jestem lekarzem. Moje nazwisko Stillingfleet.

— Nie pozwolę się zbadać! Nie chcę gadać z żadnym doktorem. Nie chcę...

— Proszę się nie denerwować. Grunt to spokój. Przecież od dziesięciu minut rozmawia pani z doktorem. Jakie pretensje ma pani do lekarzy, hę?

— Boję się ich... Boję, że jakiś powie...

— Ależ, moja miła, nie występuję teraz w charakterze zawodowym. Proszę uważać mnie za przygodnego faceta, który okazał się wystarczająco wścibski, by uratować panią od śmierci, albo, co jest bardziej prawdopodobne, od złamania ręki, nogi, jakichś obrażeń czaszki, czegoś szczególnie przykrego, co mogłoby się okazać trwałym kalectwem. Ale nie na tym koniec żałosnych następstw. Dawniej niedoszły samobójca odpowiadał przed sądem. Również obecnie może mu się to zdarzyć w przypadku, gdy zostanie dowiedziony zamach na własne życie przygotowany rozmyślnie. No i co? Mówię z panią szczerze. Proszę zatem odplącić mi równą szczerością i powiedzieć coś wreszcie o swoich uprzedzeniach wobec lekarzy. Co złego zrobił pani któryś z moich kolegów?

— Nic. Żaden doktor nie zrobił mi nic złego. Ale boję się, że jakiś mógłby...

— Co mógłby?

— Umieścić mnie w zakładzie zamkniętym.

Doktor podniósł jasne brwi i ze zdziwieniem spojrzał na dziewczynę.

— Hm... — zaczął. — Wygląda na to, że ma pani osobliwe poglądy na temat lekarzy. Czemu na przykład ja mógłbym panią umieścić w zakładzie zamkniętym? Napije się pani herbaty? — zapytał nieoczekiwanie. — A może lepszy będzie jakiś łagodny narkotyk albo środek uspakajający? Takie rzeczy stosują chętnie młode osoby w pani wieku. Pani też stosowała, hę?

— Nie... Skąd znowu... Proszę mi wierzyć.

— Nie wierzę. Ale tak czy inaczej, czemu przypisać pani dziwne uprzedzenia i obawy? Nie jest pani chora umysłowo, prawda? Przynajmniej ja nie odnoszę takiego wrażenia. Lekarzom wcale nie zależy na ładowaniu ludzi do zakładów zamkniętych. Takie zakłady są absolutnie przepełnione. Trudno tam kogoś wcisnąć. Otwarcie mówiąc wypisuje się ostatnio, powiedziałbym, wypycha pacjentów, którzy powinni przebywać pod kontrolą. Są to posunięcia desperackie, w sytuacji bez wyjścia. Mój Boże! Wszystko jest przepełnione w naszym kraju. — Stillingfleet umilkł, by podjąć znowu. — No i co? Nie usłyszałem dotąd nic o pani gustach. Woli pani coś z mojej apteczki czy też uczciwą staroangielską filiżankę herbaty?

— Wolalabym... herbatę — odpowiedziała niepewnie Norma.

— Indyjską czy chińską? Tak zdaje się powinno brzmieć kolejne pytanie? Chociaż nie jestem

pewien, czy chińska znajdzie się w mojej spizarni.

— Mnie bardziej odpowiada indyjska.

— Świetnie — ucieszył się gospodarz, wstał i uchylwszy drzwi zawołał głośno: — Annie! Proszę o herbatę dla dwu osób.

Wrócił na dawne miejsce i podjął żywo:

— Jedna sprawa wyjaśniona, proszę pani... Aha! Jak się pani nazywa?

— Norma Res...

— Tak... Słucham?

— Norma West.

— A zatem, panno Normo, postawmy jasno całą sprawę. Ja nie jestem pani lekarzem. Pani nie jest moją pacjentką. Jest pani ofiarą wypadku samochodowego. Przyjmijmy tę wersję, bo chciała chyba pani stworzyć takie pozory, nawiasem mówiąc bardzo kłopotliwe dla kierowcy jaguara.

— Najpierw myślałam, żeby skoczyć z mostu.

— Czyżby? Też niełatwa historia. Budowniczości mostów to ludzie przewidujący. Widzi pani, trzeba by wspiąć się na balustradę, a to nie takie proste. Ktoś przytrzymałby panią. A więc reasumując, przywiozłem panią tutaj, gdyż po ciężkim wstrząsie nie była pani w stanie podać swojego adresu. Aha...! Jak on brzmi? Gdzie pani mieszka?

— Nie mam żadnego adresu.. Ja mieszkam... Nigdzie nie mieszkam.

— Zastanawiające — bąknął jeszcze raz lekarz. — Policja określa to zwrotem: “miejsce zamieszkania nie ustalone”. Jak pani sobie radzi? Przesiaduje nocami na bulwarach nad Tamizą?

Dziewczyna zerknęła nań podejrzliwie, a doktor mówił dalej:

— Ma się rozumieć, mogłem zameldować w policji o wypadku, ale nie byłem do tego zobowiązany. Wolałem przyjąć pogląd, że zadumane dziewczę próbowało przejść jezdnię nie spojrzawszy wprzód w lewo.

— Całkiem pan niepodobny do moich pojęć o lekarzach — wtrąciła Norma.

— Istotnie...? Hm... Stopniowo traciłem złudzenia na temat wykonywania swojego zawodu w Anglii. Prawdę mówiąc, wyzbywam się właśnie praktyki i za plus minus dwa tygodnie odpływam do Australii. Wynika stąd, że z pani punktu widzenia nie jestem groźny. Może pani opowiadać mi śmiało, że widuje różowe słonie wychodzące ze ściany, że wydaje się pani, iż drzewa oplątują panią gałęziami i duszą albo że widzi wyraźnie diabły, które wyglądają z ludzkich oczu. Proszę bardzo! Niech pani fantazjuje, ile zechce. W żadnym razie nie zdążę nic pani zrobić. Ale moim zdaniem,

sprawia pani wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach.

— Chyba nie jestem osobą przy zdrowych zmysłach, jak się pan wyraził.

— Może ma pani rację — ustąpił grzecznie młody lekarz. — Chciałbym jednak usłyszeć, na czym opiera pani swój wniosek.

— Robię różne rzeczy i później nie pamiętam. Opowiadam ludziom różne rzeczy i później nie pamiętam. Rozumie pan? Nie przypominam sobie, abym coś robiła, czy też mówiła.

— Wygląda to na brak pamięci.

— Nie zrozumiał mnie pan. Rzeczy, które robię, o których opowiadam, są zawsze złe.

— Mania religijna? — mruknął doktor Stillingfleet, jak gdyby do siebie. — To byłoby szczególnie zastanawiające.

— Chodzi nie o sprawy religijne, ale o... O nienawiść! — zakończyła z przekonaniem.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła starsza kobieta z tacą. Bez słowa postawiła ją na biurku i zaraz wyszła.

— Podać cukier? — zapytał lekarz.

— Tak... proszę.

— Rozsądne dziecko! Cukier to lekarstwo w stanie powstrząsowym.

Nalał dwie filiżanki herbaty, jedną postawił przed Normą i podsunął jej cukierniczkę.

— A więc — podjął sadowiąc się znów na fotelu. — O czym to była mowa? Już wiem. O nienawiści.

— Czy można nienawidzić kogoś tak bardzo, że naprawdę chciałoby się go zabić?

— Ma się rozumieć — odparł rudzielec tonem nie mniej pogodnym niż uprzednio. — Rzecz zupełnie możliwa, powiedziałbym nawet: naturalna. Tylko, widzi pani, ktoś, kto naprawdę chce zabić, rzadko potrafi doprowadzić sprawę do końca. Człowiek posiada wrodzony system hamulcowy, który zazwyczaj włącza się w stosownej chwili.

— W pańskim ujęciu wszystko przedstawia się prosto — rzuciła Norma wyraźnie zniechęcona.

— Bo to pospolita historia. Dzieciom trafia się coś takiego prawie każdego dnia. Dziecko złości się i powiada, dajmy na to, matce: “Wstrętna jesteś. Nienawidzę cię. Żebyś umarła”. Matka bywa czasami rozsądna i na takie gadanie wcale nie zwraca uwagi. Człowiek dorosły potrafi nienawidzić na podobną modłę, ale zazwyczaj nie zabija. No, a jeżeli zada sobie aż tak wiele trudu, idzie do więzienia. To znaczy, skoro zdobędzie się na coś tak paskudnego i kłopotliwego, jak morderstwo. —

Stillingfleet zrobił krótką pauzę i zapytał od niechcena: — Ale pani nie zmyśla tego wszystkiego, he?

— Oczywiście, że nie zmyślam — odparła. — Wyobraża pan sobie, że opowiadałabym takie potworne historie, gdyby nie były prawdziwe?

— Cóż i takie rzeczy zdarzają się ludziom. Nieraz ktoś opowiada o sobie przeróżne potworne historie jedynie dla uciechy — odparł i odstawił pustą filiżankę Normy. — A teraz proszę powiedzieć mi o wszystkim. Kogo pani nienawidzi? Dlaczego? Co chciałaby pani zrobić temu komuś?

— Miłość w nienawiść zmienić się potrafi.

— Hm! To brzmi jak fragment melodramatycznej ballady. Proszę jednak pamiętać, że nienawiść zmienia się czasami w miłość. Kij ma dwa końce. No i twierdzi pani, że w jej przypadku nie chodzi o ukochanego, o jakieś romantyczne dramaty?

— Nie... Nic z tych rzeczy... To moja macocha.

— Aha! Kompleks niedobrej macochy. Jeszcze jeden nonsens. W pani wieku łatwo uwolnić się od niedobrej macochy. Jakie krzywdy wyrządziła pani, nie licząc małżeństwa z ojcem? Jego też pani nienawidzi? A może ceni tak wysoko, że nie chce pani żadnej wspólnej własności?

— Bo ja wiem...? Chyba sprawa przedstawia się inaczej... zupełnie inaczej. Dawniej kochałam go... kochałam bardzo. Był... był... W każdym razie zdawało mi się, że to cudowny człowiek.

— Proszę posłuchać panno Normo. Chciałbym zrobić pewną propozycję. Widzi pani te drzwi?

Dziewczyna odwróciła głowę i nie bez zdziwienia spojrzała na wskazane drzwi.

— Całkiem zwyczajne, prawda? Nie mają wymyślnych zamków. Otwiera się je i zamyka, jak każde inne drzwi. Proszę, niech pani sama spróbuje. Widziała pani na własne oczy, jak moja gosposia nimi weszła i wyszła. Widziała pani, prawda? Żadnego pucu nie ma, he? Śmiało. Proszę teraz wstać i robić to, co powiem.

Norma wstała i bez przekonania podeszła do drzwi, by je otworzyć. Zatrzymała się w progu, odwróciła i pytająco spojrzała na lekarza.

— W porządku — podjął. — Co pani ma przed sobą? Całkiem zwyczajny przedpokój, prawda? Należałoby go odmalować, ale nie warto zawracać sobie tym głowy, skoro wybieram się do Australii. Teraz proszę podejść do drzwi frontowych. Proszę je otworzyć. I tam nie będzie żadnego pucu. Zejdzie pani po kilku stopniach na chodnik, rozejrzy się dokoła. Okaże się, że jest pani absolutnie wolna i może pani wyjść, kiedy się jej podoba. Nikt nie spróbuje nawet zamknąć pani. Po tym eksperymencie proszę wrócić tutaj, wygodnie usadowić się na krześle i szczerze opowiedzieć mi o sobie. Ja wysłucham wszystkiego i spróbuję udzielić pani cennej rady. Ma się rozumieć — dodał z uśmiechem — nie musi pani zastosować się do niej. Ludzie rzadko stosują się do cennych rad. Ale wysłuchać tego, co powiem, nie zaszkodzi. No i jak? Umowa stoi?

Norma przeszła powoli do, jak się wyraził rudzielec, całkiem zwyczajnego przedpokoju, otworzyła drzwi frontowe opatrzone najprostszym zamkiem, po czterech schodkach zstąpiła na chodnik i zmierzyła wzrokiem ulicę o zabudowie ozdobnej, lecz raczej mało interesującej. Przez dwie lub trzy minuty stała, nieświadoma, że lekarz obserwuje ją przez firankę. Wreszcie zawróciła i nieco pewniejszym już krokiem odbyła tę samą drogę w przeciwnym kierunku.

— No i co? — zapytał, gdy wróciła do gabinetu. — Żadnego pucu nie ma? Przekonała się pani, że nic nie knuję?

Twierdząco skinęła głową.

— W porządku! Proszę siadać, czuć się jak we własnym domu. Pali pani?

— Ja... widzi pan...

— Rozumiem. Tylko papierosy narkotyzowane. Nie szkodzi. Obejdę się bez bardziej szczegółowych zwierzeń na ten temat.

— Rzecz oczywista, nie palę papierosów narkotyzowanych.

— Nie rozumiem, czemu ma to być “rzecz oczywista”, ale cóż? Trzeba wierzyć w to, co pacjent mówi. Sprawa wyczerpana. A teraz proszę powiedzieć mi wszystko o sobie.

— Chodzi o to... Właściwie nie mam nic do powiedzenia... Nie chce pan, żebym położyła się na szezlongu?

— Aa... Żeby odświeżyć wspomnienia snów...? Nie... Na tym nie zależy mi absolutnie. Ciekaw jestem tła bardziej ogólnego. Rozumie pani? Gdzie się pani urodziła? Mieszkała pani na wsi czy w mieście? Ma pani rodzeństwo czy też jest jedynaczką? Interesują mnie takie sprawy. Pierwsze pytanie: czy śmierć matki stanowiła dla pani poważny wstrząs?

— Rzecz oczywista! — odparła Norma z nutą pewnej urazy.

— Zbyt odpowiada pani, panno Normo West, potoczny zwrot: “rzecz oczywista”... Aha... nawiasem mówiąc, nie nazywa się pani West, prawda? Proszę się nie przejmować. Niepotrzebne mi prawdziwe nazwisko. Dla mnie może to być West, East, North, jak się pani podoba. Proszę teraz powiedzieć, co robiła pani po śmierci matki.

— Matka chorowała ciężko i bardzo długo. Dużo czasu spędzała w rozmaitych klinikach. Po jej śmierci mieszkałam u starej ciotki w Devonie. To była kuzynka matki, nie siostra. Później, jakieś pół roku temu, przyjechał ojciec. — Tu Norma rozpromieniła się nagle i nie zwróciła uwagi na bystre, przenikliwe spojrzenie, jakie rzucił jej młody człowiek. — To było... To był istny cud! Widzi pan, ojca prawie nie pamiętałam. Kiedy wyjechał z kraju, miałam pięć lat. Później chyba go nie widziałam ani razu. Matka niechętnie o nim mówiła. Z początku miała może nadzieję, że zerwie z tamtą i wróci.

— Zerwie z tamtą? — zainteresował się.

— Tak. Ojciec zwiął z jakąś kobietą: bardzo złą kobietą, jak wyrażała się matka. Z nienawiścią mówiła o niej i o nim także, a ja myślałam, że ojciec nie jest chyba najgorszy. Rozumie pan? Całą winę przypisywałam tamtej.

— Pobrali się?

— Nie. Matka odmawiała uparcie zgody na rozwód... Widzi pan, nie uznawała rozwodów. Należała do... Nie bardzo się na takich sprawach wyznaję... Chyba jest to oficjalny kościół anglikański, bardzo bliski katolicyzmu.

— Ale żyli ze sobą długo, prawda? Jak nazywała się tamta? A może to również tajemnica, hę?

— Nie pamiętam jej nazwiska. — Norma rozłożyła bezradnie ręce. — Myślę, że cała historia niedługo trwała, ale właściwie mało wiem na ten temat. Wyjechali do Afryki Południowej i chyba prędko musieli się rozejść, bo matka zaczęła mówić, że liczy na powrót ojca. Ale on nie wrócił. Nie wrócił i nie pisywał nawet do mnie. Tyle, że przysyłał mi prezenty gwiazdkowe.

— Był do pani przywiązany, prawda?

— Nie mam pojęcia. Skąd mogłabym wiedzieć? Mało kto rozmawiał o nim ze mną. Czasami stryj Simon, jego brat. Prowadził firmę rodzinną w City i był wściekły, że ojciec machnął na wszystko ręką. Mówił, że on zawsze był taki: diablo niezrównoważony. Ale w gruncie rzeczy uważał go za wcale nie najgorszego faceta. Twierdził tylko, że ma słaby charakter. Ja bardzo rzadko widywałam stryja Simona. Przeważnie byłam z matką i jej przyjaciółmi... piekielnie nudnymi ludźmi. Całe moje życie wypełniała piekielna nuda.

Norma umilkła, aby znów zacząć po chwili:

— Cudownie było, kiedy się dowiedziałam, że ojciec wraca do Anglii. Próbowałam przypomnieć sobie różne szczegóły o nim... Wie pan? Co mówił, jak się ze mną bawił. Pamiętałam, że kiedy byłam mała, śmiał się często i głośno. Szukałam jego starych fotografii, ale nie znalazłam. Widocznie matka zniszczyła wszystkie.

— Wynika stąd, że była mściwa.

— Myślę, że tak naprawdę chciałyby mścić się na Luizie.

— Na Luizie?

Dziewczyna jak gdyby zamknęła się znów w sobie.

— Nie pamiętam... Mówiłam już, że nie pamiętam nazwisk... — bąknęła.

— Mniejsza z tym. Zapewne ma pani na myśli kobietę, z którą ojciec dał drapaka?

— Aha... Matka mówiła, że to alkoholiczka, narkomanka i z pewnością źle skończy.

— Ale nie wie pani, czy tak się stało?

— Nie wiem. Nic nie wiem — wyraźnie Norma zaczynała się irytować. — I może mógłby pan dać spokój śledztwu! Nic nie wiem. Od wieków nie słyszałam o niej. Nie pamiętałam o babie, póki pan sam o niej nie zaczął. Słyszał pan? Nic nie wiem!

— Spokojnie, panno Normo. Proszę się nie denerwować — powiedział. — Nie zwracajmy sobie głowy starymi dziejami. Pomyślmy lepiej o przyszłości. Co pani zamierza robić?

Dziewczyna westchnęła głęboko.

— Nie wiem. Nie mam dokąd pójść. Nie mogę... Lepiej byłoby raz... Tak! Lepiej byłoby skończyć z tym wszystkim... tylko...

— Tylko nie zdobyłaby się pani na drugą próbę, prawda? — podchwycił. — A ja powiem od siebie, moja droga, że byłoby to największe głupstwo. Nie ma pani dokąd pójść. Nikomu pani nie ufa. Rozumiem. Czy dysponuje pani pieniędzmi?

— Tak. Mam konto w banku i ojciec wpłaca tam co kwartał., dużo wpłaca. Ale może... Boję się, że już mnie mogą szukać... Nie chcę, by mnie znaleźli. Boję się!

— Niepotrzebnie. Ja panią urządzę, zgoda? Pojedzie pani do Zamku Kenway. Wspaniała nazwa, co? Ale miejsce nie jest aż tak wspaniałe. To dom dla rekonwalescentów, gdzie ludzie przyjeżdżają, aby leczyć się wypoczynkiem. Nie ma tam surowych lekarzy ani dozorców. I, zapewniam, nie będzie pani pod kluczem. W Zamku Kenway wolno wychodzić o dowolnej porze, wolno jadać w łóżku śniadanie i wylegiwać się całymi dniami, jeżeli ktoś ma ochotę. Wypocznie pani ucziwie, przyjdzie do siebie, a potem ja zjawię się któregoś dnia i wspólnymi siłami rozwiążemy parę zawiłych problemów. Odpowiada pani mój plan? Pojedziemy do Zamku Kenway?

Przez pewien czas Norma siedziała bez ruchu, zapatrzona tępo w twarz młodego lekarza. Wreszcie twierdząco skinęła głową.

Tego samego dnia wieczorem Stillingfleet wykręcił numer telefoniczny.

— Urowadzenie załatwione pierwszorzędnie — powiedział. — Mała jest w Kenway. Pojechała łagodnie niczym jagnię. Niewiele jeszcze wiem. Dziewczyna jest napompowana morfiną, kokainą, heroiną... cholera—wie—czym. Narkotyzuje się od dawna, to pewne. Twierdzi, że nie, ale do jej zaprzeczeń nie mam zaufania. — Przez chwilę słuchał z uwagą. — Także pytanie! Ostrożność jest jak najbardziej wskazana. Mała płoszy się łatwo... Tak! Albo boi się czegoś rzeczywiście, albo udaje... Tego jeszcze nie wiem. Należy pamiętać, że narkomani zazwyczaj bujają. Nie można pokładać wiary w to, co mówią. Nie nalegałem. Nie chciałem jej płoszyć... Aha. W dzieciństwie wyraźny kompleks ojca. Na mój rozum, nie bardzo kochała matkę, kobietę, jak wszystko wskazuje, ponurą i diabelnie nudną: klasyczny model szlachetnej męczennicy, skorej do samoudręczeń. Ojciec to, zdaje się, gość wesoły i z fantazją. Nie dziwię się, że miał dosyć małżeńskiej nudy. Czy były wiadomości o jakiejś

Luizie? Dziewczyna wymówiła to imię i przełękła się wyraźnie... Z pewnością to pierwsza nienawiść w jej życiu. Luiza zabrała jej ojca, kiedy miała pięć lat. Dzieci w tym wieku niewiele rozumieją, ale żywo odczuwają urazę do osoby odpowiedzialnej, ich zdaniem, za zły obrót spraw. Z ojcem spotkała się ponownie ledwie kilka miesięcy temu. Powiedziałbym, że snuła sentymentalne rojenia, jak to będzie źrenicą oka i najbliższą przyjaciółką ojca. Ale spotkało ją rozczarowanie. Tak się przynajmniej zdaje. Ojciec przyjechał z żoną, z nowiuteńką, młodą, przystojną żoną. Tej na imię Luiza, he?... Aha... Tak sobie tylko zapytałem. Ma się rozumieć, naszkicowałem obraz tylko z grubsza.

— Co takiego? Proszę powtórzyć — rzucił szorstko głos z przeciwległego końca drutu.

— Powiedziałem — odparł rudzielec — że naszkicowałem obraz tylko z grubsza.

Nastąpiła pauza.

— Aha — podjął doktor. — Jeszcze jeden drobiazg może być interesujący. Dziewczyna usiłowała popełnić samobójstwo w sposób, powiedziałbym, nad wyraz nieudolny. Czy to wydaje się dziwne? Nic dziwnego. Rozumiem... Nie, nie! Nie połknęła całej fiolki aspiryny. Nie wsadziła głowy do piecyka gazowego. Nic podobnego! Wybiegła na jezdnię prosto przed jaguara, który jechał szybciej, niżby powinien... Tak... Ledwie zdążyłem na czas w ostatniej chwili... Aha. Na mój rozum, działał nagły impuls. Wynika to ze słów małej. Posłużyła się klasycznym zwrotem: “raz z tym wszystkim skończyć”.

Stillingfleet słuchał przez czas pewien wartkiego nurtu słów. Następnie znów zabrał głos:

— Nie mam pojęcia. Na tym etapie trudno twierdzić coś stanowczo. Obraz wydaje się jasny: nerwowa dziewczyna, powiedziałbym nawet: neurasteniczna, o pobudliwości wzmożonej skutkiem nadużywania rozmaitych narkotyków... Nie. Nie jestem w stanie określić, jakie to były narkotyki. Na rynku są dziesiątki odmian wywołujące nieco różne skutki. Może to być pomieszanie pojęć, utrata pamięci, agresywność, ośpienie albo po prostu stan oszołomienia. Najtrudniej określić różnice, przeciwieństwa między reakcjami naturalnymi a reakcjami powstałymi skutkiem przyjmowania narkotyków. Wygląda na to, że mogą istnieć dwie możliwości. Albo mała zgrywa się, wmawia światu i sobie, że jest neurasteniczką o skłonnościach samobójczych. To bardzo prawdopodobne. Albo szafuje stekiem kłamstw. Nie wykluczam, że dla jakichś własnych, nie znanych nam celów usiłowała stworzyć obraz całkiem nieprawdziwy, pokazać się w zupełnie innym świetle. W takim przypadku zagrałaby rolę na pierwszorzędym poziomie. Od czasu do czasu w jej gadaniu nie pasuje coś jedno do drugiego. Czy to bardzo cwana aktoreczka w wyznaczonej sobie roli? Czy też naprawdę ofiara skłonności samobójczych i zaburzeń systemu nerwowego? Obie ewentualności wydają się równie możliwe... Co? Co takiego...? Aa... Ten jaguar! Że przekroczył dozwoloną szybkość? Czy ja wiem?... Pozorowane samobójstwo? Rozmyślne przejechanie? — Rudzielec zastanawiał się przez moment. — Niewykluczone... Niewykluczone — podjął. — Nie wpadłem jakoś na taki pomysł. Największy kłopot, kiedy wszystko wydaje się możliwe, prawda? Ale tak czy inaczej niedługo wyduszę z niej więcej. W obecnej sytuacji mała prawie ma ochotę być ze mną szczerą, pod warunkiem, że nie spłoszę jej zbyt obcesowym działaniem. Wkrótce nabierze większego zaufania i prawdopodobnie powie to i owo, zwierzy mi się całkowicie, ba! Nawet narzuci swoje zwierzenia. W tej chwili boi się czegoś ponad wszelką wątpliwość...

— Jeżeli trafne jest drugie przypuszczenie i dziewczyna kręci, musimy zbadać powody, dla których to robi. Na razie jest w Zamku Kenway i chyba tam zostanie. Według mnie trzeba przez kilka dni mieć na oku ten zakład. Niech ktoś nie znany małej będzie tam i pójdzie za nią, jeżeli przyszłoby jej do głowy dać drapaka.

XI

Restarick wypełniał czek marszcząc w zamyśleniu czoło. Siedział w swoim gabinecie — obszernym pokoju urządzone bogato, podobnie jak bywają urządzone gabinety grubych ryb z City. Była to pozostałość po Simonie Restaricku, którą jego brat przyjął raczej obojętnie i wprowadził zaledwie drobne zmiany. Przede wszystkim usunął dwa obrazy i na ich miejscu zawiesił własny portret przywieziony z Crosshedges oraz malowaną akwarelę widoczek Góry Stołowej.

Andrew Restarick — mężczyzna w średnim wieku, który zaczynał zdradzać skłonność do tycia — różnił się zadziwiająco mało od swojej podobizny sprzed lat piętnastu, która wisiała nad jego fotelem. Ten sam mocno zarysowany, wydatny podbródek. Te same zaciśnięte usta o stanowczym wyrazie i podniesione lekko, jak gdyby kpiąco, brwi. Ogólnie biorąc był to typ o powierzchowności raczej pospolitej — człowiek przeciętny, a w danej chwili niezbyt zadowolony z życia.

Sekretarka weszła do pokoju i zbliżyła się do biurka:

— Przyszedł pan Herkules Poirot. Twierdzi, że jest z panem umówiony. Ale ja nie mogę znaleźć żadnej notatki w tej sprawie.

— Herkules Poirot? — zdziwił się, nazwisko wydało mu się znajome, lecz nie pamiętał, gdzie je słyszał i kiedy; pokręcił głową. — Nic nie pamiętam, chociaż obito mi się o uszy to nazwisko. Co to za facet?

— Bardzo niski... Cudzoziemiec. Zapewne Francuz. Ma ogromne wąsy...

— Naturalnie! Mary podobnie go opisała. Był w Crosshedges u starego wujaszka Roddy'ego. Ale co to za brednie o umówionym spotkaniu ze mną?

— Mówi, że dostał list od pana.

— List? Nie przypominam sobie, abym do niego pisał. Może Mary... Mniejsza o to! Proszę go wpuścić. Warto się przekonać, o co mu chodzi.

Po chwili Claudia Reece-Holland wróciła do gabinetu z drobnym starszym panem o głowie jajowatego kształtu i wspaniałych wąsach. Jego lakierki o bardzo wydłużonych noskach i pogoda malująca się na obliczu doskonale zgadzały się z obrazem, jaki Mary przedstawiła mężowi.

— Pan Herkules Poirot — zameldowała sekretarka i opuściła pokój.

Nowo przybyły podszedł w stronę biurka. Restarick wstał na jego powitanie.

— Pan Restarick? Herkules Poirot do usług.

— Tak... Wiem od żony, że pan odwiedził nas albo raczej mojego wuja. Czym mogę służyć?

— Otrzymałem pański list, wobec czego...

— Mój list? Ja nie pisałem do pana — przerwał gospodarz. Detektyw spojrzał nań ze zdumieniem. Później wyjął z kieszeni arkusik papieru, rozłożył, zerknął nań i z ukłonem podał nad blatem biurka.

— Zechce pan sprawdzić osobiście, *monsieur*. Restarick popatrzał na list. Był pisany na maszynie na jego blankiecie firmowym. U dołu znajdował się podpis skreślony atramentem.

Szanowny Panie!

Byłbym szczerze wdzięczny, gdyby Szanowny Pan zechciał odwiedzić mnie pod wyżej wskazanym adresem, w terminie najdogodniejszym dla siebie. Z rozmowy z moją żoną, a także dzięki informacjom uzyskanym w Londynie z szeregu źródeł, wnoszę, iż jest Szanowny Pan człowiekiem godnym zaufania w misjach nawet najbardziej poufnych.

Łączę wyrazy szacunku Andrew Restarick

— Kiedy pan to dostał? — padło szorstkie i zwięzłe pytanie.

— Dziś z rana. Nie prowadzę w tej chwili sprawy większej wagi, więc niezwłocznie wybrałem się tutaj.

— Zdumiewająca historia, proszę pana. Nie napisałem tego listu.

— Nie napisał pan?

— Nie. Mój podpis wygląda zupełnie inaczej. O, proszę spojrzeć.

Restarick rozejrzał się dokoła, jak gdyby szukał jakiegoś wzoru swojego pisma. Następnie bez zastanowienia utworzył książeczkę czekową, w której znajdował się świeżo złożony podpis.

— Widzi pan? Podpis pod listem jest zupełnie inny.

— Rzeczywiście! Zadziwiająca historia — powiedział tym razem Poirot. — Kto mógł ten list napisać?

— Sam jestem bardzo ciekaw.

— Czy przypadkiem... zechce pan wybaczyć... nie zrobiła tego pańska małżonka?

— Ach, nie skądże! Mary nigdy nie zdobyłaby się na coś podobnego. A zresztą, po co niby miałyby mnie podpisywać? Nie, nie... A gdyby nawet... Powiedziałyby mi coś przecież, uprzedziła mnie o spodziewanej wizycie pana.

— Więc nie domyśla się pan, kto i dlaczego mógł ten list wysłać?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Nie orientuje się pan, jaką poufną misję chciał mi pan rzekomo powierzyć? O czym mowa w tym liście?

— Skąd mógłbym się orientować?

— Przepraszam — podjął Poirot. — Nie przeczytał pan wszystkiego. Zechce pan zwrócić uwagę, iż u dołu pierwszej strony, poniżej podpisu, widać słowo *verte*.

Restarick odwrócił ćwiartkę papieru i u góry drugiej strony przeczytał wypisane na maszynie zdanie:

Sprawa, w której pragnę zasięgnąć rady Szanownego Pana, dotyczy mojej córki, Normy.

Zmienił się nagle. Twarz mu spochmurniała.

— A więc o to chodzi — burknął. — Kto, u licha, mógł wie... mógł wtrącić się w tę historię? Kto o niej słyszał?

— A może ktoś, jakiś życzliwy przyjaciel, chciał w ten sposób skłonić pana do nawiązania ze mną kontaktu? Naprawdę nie domyśla się pan, kim może być autor listu?

— Nie mam pojęcia.

— I nie ma pan kłopotów z córką... której na imię Norma?

— Mam córkę, której na imię Norma — odparł Restarick powoli i dodał nieco zmienionym głosem: — Jedyłą córkę...

— Czy przytrafiło się jej ostatnio coś złego... jakieś zmartwienia, trudności życiowe?

— O niczym nie wiem — brzmiała odpowiedź, raczej niepewna odpowiedź.

Gość pochylił się do przodu.

— Nie sądzę, by pańskie słowa zgadzały się z prawdą. Podejrzewam jakieś powikłania związane z pańską córką.

— Skąd te podejrzenia? Słyszał pan coś na ten temat?

— Nie, *monsieur*. Kieruję się wyłącznie własną intuicją — odparł detektyw i dodał po chwili: —

Wielu ojców ma dziś krzyż pański z córkami. Współczesne dziewczęta są genialnie uzdolnione i dają sobie radę, gdy spadają na nie zmartwienia i kłopoty. W tym wypadku mogło przytrafić się coś podobnego. To jak najbardziej prawdopodobne.

Restarick milczał przez chwilę. Palcami bębnił o blat biurka.

— Tak — przyznał wreszcie. — Niepokoję się o Normę. To szczególnie trudna dziewczyna: nerwowa, o wyraźnej skłonności do hysterii. Niestety... ja nie znam jej dobrze.

— Zapewne kłopoty mają związek z jakimś młodym człowiekiem?

— Poniękad tak, ale niepokoję się nie tylko z tego powodu. Zależy mi... — stroskany ojciec urwał i podejrzliwie spojrzął na małego Belga. — Zakładam, że można polegać na pańskiej dyskrecji.

— W przeciwnym razie nie na wiele zdałbym się w swoim zawodzie — uśmiechnął się Poirot.

— A więc zależy mi na odnalezieniu córki.

— Na jej odnalezieniu?

— Tak... Ostatni weekend spędziła w naszym domu na wsi, jak zwykle. Wyjechała w niedzielę wieczorem do Londynu, gdzie mieszka wspólnie z dwiema dziewczynami. Wyjechała tam, ale nie dojechała, o czym tylko co się dowiedziałem. Przecież musiała gdzieś się udać.

— Innymi słowy, pana córka zaginęła, prawda?

— Być może to ujęcie nieco zbyt melodramatyczne, ostatecznie jednak zgodne z prawdą. Liczę na całkiem proste wyjaśnienie sprawy, ale... widzi pan, w takiej sytuacji każdy ojciec byłby niespokojny. Chodzi o to, że Norma nie zatelefonowała do współlokatorek, nie odezwała się w ogóle.

— Czy one też się niepokoją?

— Nie... Chyba nie. Cóż, dzisiejsze dziewczęta lekko traktują podobne historie. Są niezależne. Znacznie bardziej niezależne niż piętnaście lat temu, kiedy pożegnałem Anglię.

— A co pan powie o młodym człowieku, jak wnoszę z pańskich słów, nieodpowiednim wielbicielu? Być może córka z nim wyjechała?

— Mam nadzieję, że nie... To hipoteza możliwa, ale moim... zdaniem mojej żony mało prawdopodobna. Tego chłopaka widział pan, o ile mi wiadomo, kiedy był pan z wizytą u mojego wuja...

— Tak, tak! Znam, zdaje się, młodego człowieka, o którym mowa. Bardzo przystojny chłopiec, ale z tych, co, że się tak wyrażę, nie są w guście ojców. Przypominam sobie, że i małżonki pana bynajmniej nie ucieszył jego widok.

— Moja żona jest pewna, że facet przyjechał wtedy przekonany, że nikt go nie zobaczy.

— A zatem zdaje sobie sprawę, że w domu państwa nie jest mile widziany?

— Dobrze wie o tym — rzucił posępnie Restarick.

— Nie podejrzewa pan, że córka z nim obecnie przebywa?

— Nie wiem... Od początku nie wiem, co myśleć.

— Zwrócił się pan do policji?

— Nie.

— W przypadku zaginięcia najlepiej zwrócić się do policji. Tam również są dyskretni ludzie i dysponują wieloma środkami niedostępnymi dla osób mojego pokroju.

— Nie chcę policyjnego dochodzenia. Nie rozumie pan? Przecież to moja córka! Jeżeli postanowiła wyjechać... na czas krótki, a nas nie zawiadomiła, to... widzi pan... to jej prywatna sprawa. Nie ma powodu, by sądzić, że grozi... grozi jej to... czy tamto. Po prostu chciałbym wiedzieć dla własnego spokoju, gdzie przebywa Norma.

— Nie chciałbym narzucać własnego zdania... być może zbyt natarczywie. Ale podejrzewam, że zawieruszenie się córki nie jest jedynym kłopotem, jakich panu przysparza.

— Czemu myśli pan, że mam również inne problemy?

— Ponieważ sam prosty fakt, że młoda dziewczyna wyjeżdża na kilka dni i nie opowiada się rodzicom, czy też przyjaciółkom, z którymi mieszka, nie uchodzi dziś za coś nadzwyczajnego. Dopiero wyjazd córki w zestawieniu z czymś innym mógł, jak sądzić należy, stanowić słuszny powód niepokoju.

— Cóż, może to i racja. Widzi pan... — Restarick znów podejrzliwie zerknął na detektywa. — Okropnie trudno rozmawiać o takich sprawach z kimś obcym..

— Myli się pan! — zaoponował żywo Poirot. — Nieskończenie łatwiej rozmawiać o takich sprawach z kimś obcym niż z przyjacielem czy dobrym znajomym. Z tym się pan zgodzi, prawda?

— Zapewne... Hm... Zapewne. Rozumiem, do czego pan zmierza... Niech będzie! Martwi mnie ta mała. Jest całkiem niepodobna do swoich rówieśnic, no i... widzi pan... były już historie, które mnie... nas oboje mocno zaniepokoiły.

— Być może panna Norma jest obecnie w bardzo trudnym okresie wzmożonej pobudliwości i wrażliwości, w wieku, kiedy dziewczęta często robią lub mówią coś, za co właściwie nie mogą ponosić odpowiedzialności. Trudno winić je z tego powodu, proszę pana. Bardzo przepraszam, że osmielę się dać wyraz własnym wnioskom, ale czy pańska córka nie odczuwa jakoś szczególnie przykro faktu, że ma macochę?

— Na nieszczęście, to prawda. Ale jej niechęć jest bezpodstawna. Nie rozeszliśmy się z pierwszą żoną ostatnimi czasy. Nasze zerwanie miało miejsce wiele lat temu. — Restarick umilkł, ale wkrótce podjął: — Cóż, mogę pozwolić sobie na zupełną szczerość. Ostatecznie nie mam nic do ukrywania. Z żoną oddalaliśmy się stopniowo. Nie muszę roztrząsać szczegółów. Spotkałem kobietę, dla której straciłem głowę. Wyjechałem z nią do Afryki Południowej. Moja pierwsza żona nie uznawała rozwodów. Wiedziałem o tym, więc nie wysuwałem nawet żadnych propozycji. Finansowo zabezpieczyłem należycie ją i dziecko... Norma miała wtedy pięć lat. — Znow nastąpiła pauza. — Obecnie, kiedy spoglądam wstecz, zdaję sobie sprawę, że zawsze byłem niezadowolony z życia. Tęskniłem do podróży. Czułem wstręt do pracy w biurze. Byłem jak gdyby skrępowany. Brat robił mi nieraz wyrzuty, że przystąpiłem do firmy, lecz zbyt mało się troszcę o rodzinne przedsiębiorstwo. Mówił, że nie przykładam się do pracy. Ale ja nie cierpiałem takiego życia. Byłem niespokojnym duchem. Pragnąłem przygód. Chciałem zobaczyć świat, poznać odległe, dzikie kraje i... — urwał raptownie, by zacząć znow w innej tonacji. — Tak czy inaczej, nie ciekaw pan przecież mojej szczegółowej biografii. Z Luizą wyjechałem do Afryki Południowej. Nasz związek nie należał do udanych, przyznaję otwarcie. Byłem w niej zakochany, ale klóciliśmy się nieustannie. Nie odpowiadał jej afrykański tryb życia. Wolałaby mieszkać w Londynie, w Paryżu... w jakimś mieście z renomą. Rozeszliśmy się mniej więcej po roku. — Westchnął i podjął znowu: — Zapewne winienem wrócić wtedy do cywilizowanego życia, które wspominałem z odrazą. Nie potrafiłem zdobyć się na to i nie mam pojęcia, czy żona... pierwsza żona, zechciałaby mnie przyjąć. Prawdopodobnie uważałaby coś takiego za swój obowiązek. Była tytanem w sferze wypełniania obowiązków.

Poirot wyczuł nutę rozgoryczenia i sarkazmu w ostatnich zdaniach.

— Cóż — podjął Restarick — bez wątplenia należało interesować się żywiej losami Normy. Naszkicuję ówczesną sytuację. Dziecko pozostawało pod opieką matki. Materialnie obie były zabezpieczone. Od czasu do czasu pisywałem do córki, posyłałem prezenty, lecz ani razu nie wpadłem na pomysł, by wybrać się do Anglii, odwiedzić małą. Ale na moje usprawiedliwienie mam okoliczności łagodzące. Obrąłem przecież zupełnie różny tryb życia i moje krótkie wizyty mogłyby zakłócać równowagę dziecka. Rozumowałem wtedy, że niedobrze mieć ojca, który co pewien czas pojawia się i znika. W każdym razie byłem przekonany, że jestem w porządku.

Mówił płynnie, szybko. Zdawać się mogło, że wynurzenia wobec życzliwego słuchacza przynoszą mu wyraźną ulgę. Poirot często stykał się z takimi właśnie reakcjami i zwykle starał się je pobudzać.

— Nigdy nie zamierzał pan wrócić do kraju? — wtrącił pytanie.

— Nie. Nigdy — odparł stanowczo Restarick. — Życie, jakie wiodłem, odpowiadało mi. Byłem do niego stworzony. Z Afryki Południowej przeniosłem się do Afryki Wschodniej. Pod względem finansowym wiodło mi się świetnie. Wszystko, czego się tknąłem, prosperowało. Dobrze szły interesy, które prowadziłem czy do spółki z różnymi ludźmi, czy na własną rękę. Wiele czasu spędzałem w buszu, na szlaku. O takim życiu marzyłem od dzieciństwa. Zawsze kochałem szeroką przestrzeń, swobodę. Chyba dlatego w małżeństwie... w moim pierwszym małżeństwie, byłem jak gdyby usidlony, skrępowany. Nie! Radowałem się wolnością i nie myślałem nigdy o powrocie do przeciętności, na jaką tutaj byłem skazany.

— Ale wrócił pan w rezultacie? — podchwycił mały Belg.

— Tak. — Restarick westchnął. — Wróciłem. Ostatecznie człowiek się starzeje, prawda? No i do spółki z kimś drugim zrobiłem kokosowy interes. Nabyliśmy koncesję, która miała przynosić niebываłe zyski. Jednakże sprawa wymagała pertraktacji w Londynie. Dawniej w podobnych razach mogłem liczyć na pomoc brata, ale Simon już nie żył. Poza tym nadal byłem współnikiem firmy. Należałoby wrócić, osobiście pilnować spraw. Wtedy pierwszy raz pomyślałem o powrocie... Mówię, rozumie pan, o powrocie do życia handlowca z City.

— Być może żona... druga pańska małżonka... — zasugerował znowu Poirot.

— Tak. Racja. To też miało znaczenie. Kiedy brat umarł, od mojego ślubu z Mary upłynęły niespełna dwa miesiące. Ona urodziła się w Afryce Południowej, ale do Anglii wyjeżdżała kilkakrotnie i bardzo jej odpowiadało tamtejsze życie. Szczególnie chciała mieć prawdziwy angielski ogród.

A ja... Cóż, pierwszy raz przyszło mi do głowy, że i ja w Anglii czułbym się zapewne dobrze. Myślałem też o Normie. Jej matka umarła przed dwoma laty. Rozmawiałem o tych sprawach z Mary, która bez wahania zapewniała, że będzie mi pomocna przy tworzeniu domu dla córki. Wszystko zapowiadało się pomyślnie, więc... — urwał znowu i podjął z uśmiechem — więc wróciłem do kraju.

Poirot spojrział na portret wiszący nad głową modela. W gabinecie ma światło lepsze niż na ścianie wiejskiej rezydencji. Niewątpliwie przedstawia mężczyznę siedzącego obecnie za biurkiem. Twarz wyrazista i stanowcza, mocno zarysowany podbródek, wysoko uniesione brwi, osadzenie głowy — wszystko się zgadza. Jednakże portret ma jedną cechę, której modelowi nie dostaje: młodość.

“No i dlaczego — medytował dalej detektyw — Restarick przeniósł swoją podobiznę ze wsi do londyńskiego biura? Dwa portrety, jego i pierwszej żony, stanowią parę. Namalował je w tym samym czasie ten sam modny wtedy malarz portrecista. Zostały pomyślane jako całość, więc zostawienie ich razem byłoby posunięciem bardziej naturalnym. A przecież Restarick przeniósł do londyńskiego biura część tej całości: swój portret. Może powodowała nim próżność, chęć grania roli grubej ryby z City? Ale ten sam człowiek strawił lata w dalekich krajach i mówił, że jest stworzony do takiego właśnie życia. A może portret sprowadzony do Londynu ma potwierdzać jego londyńską osobowość? Czy Restarick odczuwa potrzebę takiego właśnie potwierdzenia? Ma się rozumieć w grę może wchodzić czysta próżność — zakonkludował Poirot i dodał z niecodziennym dlań porywem skromności. — Cóż, nawet ja bywam niekiedy próżny!”

Zdawać się mogło, że obydwaj panowie nie dostrzegają przelotnej ciszy. Wreszcie odezwał się gospodarz:

— Wygląda, że zanudzam pana własnym życiorysem... Bardzo przepraszam.

— Nie ma za co, proszę pana. Przedstawia pan swój życiorys tylko w zakresie, jaki mógł wpłynąć na losy pańskiej córki. Bardzo niepokoi się pan o nią, prawda? Jak dotąd jednak nie wyjawiał mi pan

chyba rzeczywistych powodów do niepokoju. Słyszałem, że zależy panu na odnalezieniu córki. Wspomniał pan o tym, prawda?

— Tak. Zależy mi na jej odnalezieniu.

— Rozumiem... Ale czy chce pan mnie powierzyć to odnalezienie? Proszę się nie krępować... Uprzejmość to cenna rzecz w codziennym życiu, lecz w danym razie byłaby zbyt cenna. Niech pan posłucha. Jeżeli pragnie pan odnaleźć córkę, ja, Herkules Poirot, radzę gorąco zwrócić się do policji. Tam mają znacznie większe możliwości i niewątpliwie potrafią być dyskretni.

— Do policji zwróciłbym się tylko... tylko w naprawdę rozpaczliwej sytuacji.

— Wolałby pan prywatnego detektywa?

— Tak... Ale nie wiem nic o prywatnych detektywach. Nie mam pojęcia, komu można ufać... Nie wyobrażam sobie, kto...

— A ile wie pan o mnie?

— O panu? Wiem coś niecoś... Na przykład, że podczas wojny zajmował pan wysokie stanowisko w naszym kontrwywiadzie. To fakt bezsporny, potwierdzony przez mojego wuja — powiedział i nie zauważył cynicznego uśmiechu małego Belga.

Ów “fakt bezsporny” był czystą iluzją — najlepiej wiedział o tym sam Poirot — ale Restarick, choć zdawał sobie sprawę, że niepodobna ufać wzrokowi ani pamięci sir Rodericka, połknął autoreklamę detektywa niby ryba przynętę z haczykiem. Potwierdziło to od dawna ustalony pogląd detektywa, iż nigdy nie należy wierzyć bez zastrzeżeń w coś, czego się nie sprawdziło osobiście. Każdy jest podejrzany: to jedna z pierwszych jego dewiz życiowych.

— Niechaj mi wolno będzie upewnić pana — przemówił Poirot — że w trakcie pracy zawodowej odnosiłem ogromne sukcesy. Otwarcie mówiąc, uchodzę za specjalistę w wielu dziedzinach niedoścignętego.

Restarick był chyba mniej pewny, niż należało oczekiwać. Trudno się dziwić! Ktoś, kto wystawia podobną opinię sobie samemu, musi wydawać się nieco podejrzany Anglikowi.

— Jak się panu zdaje? Zdoła pan odnaleźć moją córkę? — zapytał.

— Niewątpliwie, proszę pana, chociaż zapewne nie tak szybko, jak załatwiłaby to policja.

— A jeżeli... jeżeli powiedzie się...

— Życzy pan sobie, abym zadanie spełnił, prawda? W takim razie musi mnie pan zapoznać z całokształtem wydarzeń.

— Wszystko już powiedziałem. Zna pan czas. Zna pan miejsce, w którym winna znajdować się obecnie. Mogę dostarczyć listę jej przyjaciół...

Poirot energicznie potrząsnął głową.

— Nie! Nie! Proponuję, aby mi pan powiedział prawdę.

— Czy to ma znaczyć, że dotąd kłamałem?

— Nie wyznał pan całej prawdy. O tym nie wątpię. Czego się pan obawia? Jak wyglądają fakty? Rozumie pan? Fakty, które muszę znać, jeżeli mam osiągnąć powodzenie. Pana córka czuje niechęć do macochy. To jasne i bynajmniej nie zastanawiające. Reakcja bardzo pospolita. Należy pamiętać, że córka mogła idealizować pana przez długie, długie lata. To bardzo prawdopodobne w przypadku rozejścia się rodziców: ciosu niezmiernie bolesnego dla wrażliwego dziecka. Ja wiem, co mówię. Proszę mi nie przerywać. Powie pan, że dziecko zapomina prędko. Ma się rozumieć. Córka zapomniała pana w takim sensie, że w razie spotkania mogłaby nie poznać pańskiej twarzy, pańskiego głosu. Ale tworzyła pański obraz na własny użytek. Wyjechał pan. Ona marzyła o powrocie ojca. Rzecz zrozumiała, że matka nie zachęcała jej do rozmów o panu, ona zaś myślała i myślała coraz intensywniej. Coraz więcej znaczył pan dla niej. Nie mogła mówić o panu, więc reagowała w sposób bardzo u dziecka naturalny. Winą za nieobecność ojca obciążała matkę, która przy niej była. Myślała mniej więcej tak: "Ojciec mnie kochał. Nie kochał tylko mamy". No i podobne myśli sprawiały, iż idealizowała pana coraz bardziej. Myślała, że nie może obarczać ojca odpowiedzialnością za to, co zaszło. Nie wierzyła w pańską winę. Poirot umilkł i zaczął znowu po chwili:

— Tak, tak! Coś podobnego często się zdarza, proszę mi wierzyć. Znam się cokolwiek na psychologii. A zatem panna Norma otrzymała wiadomość, że pan przyjeżdża do kraju, że znów będziecie razem. Wtedy zaczęły wracać liczne wspomnienia, sprawy, o których nie myślała od lat. On wraca! Znowu będziemy razem, szczęśliwi! Słabo uprzytamniała sobie istnienie macochy do chwili, kiedy ją zobaczyła. A wtedy przyszła gwałtowna zazdrość. To całkiem normalny objaw, proszę mi wierzyć. Powodem może być po części fakt, że pana małżonka jest ładną, rozumną, bardzo zrównoważoną kobietą, a więc posiada cechy, których brak odczuwają zazwyczaj młodziutkie dziewczęta, nie mające zaufania do samych siebie. Pana córka to zapewne osobka z kompleksem niższości, niezaradna, pozbawiona pewności siebie. Kiedy zobaczyła zrównoważoną, energiczną, urodziwą macochę, mogła ją zniechęcić, rzecz zrozumiała, ale zniechęcić tak, jak nienawidzą dziewczyny, które jeszcze niedawno były dziećmi.

— Cóż... — Restarick zawahał się. — Coś bardzo zbliżonego powiedział doktor, kiedy zwróciliśmy się do niego o poradę. Rozumiem, że...

— Aha! — przerwał Poirot. — Zasiękali państwo opinii lekarskiej. Musiały istnieć jakieś racje po temu. Jakie?

— Właściwie nic poważnego.

— Nie, nie! Proszę mi nie opowiadać takich rzeczy. Nic poważnego! Nie. Naprawdę musiało to być coś bardzo serio. Warto mi powiedzieć co, bo, rozumie pan, jeżeli poznam myśli panny Normy, ułatwi mi to pracę. Całą historię rozwikłamy znacznie szybciej.

Restarick milczał. Po chwili powziął decyzję. — Ale to kwestia najzupełniej poufna. Mogę liczyć na pańską dyskrecję, prawda?

— Z całą pewnością. Co dolegało panie Normie?

— Sam... Sam nie jestem zupełnie pewien.

— Pana córka zaczęła występować przeciwko macosze? Rozumie pan? Może to było to coś więcej niż dziecinna opryskliwość lub przykre słowa, coś nierównie poważniejszego? Może doszło do nietykalności osobistej?

— Cóż... Nie ma mowy o... o rękoczynach czy naruszeniu nietykalności osobistej... Właściwie... Nic nie zostało dowiedzione.

— A zatem?

— Moja żona zaczęła niedomagać... i...

— Aha! — podchwycił mały Belg. — Rozumiem. Jakie to były niedomagania? Może natury gastrycznej? Coś w rodzaju zapalenia jelit?

— Bystry pan, bardzo bystry — odparł gospodarz. — Były to zaburzenia natury gastrycznej i to tym dziwniejsze, że poprzednio Mary cieszyła się doskonałym zdrowiem. Lekarze byli w kłopotcie, wreszcie posłali ją do szpitala na obserwację, jak to formułowali.

— A wyniki tej obserwacji?

— Myślę, że dla lekarzy mało zadowalające. Pacjentka szybko wyzdrowiała i wróciła do domu, gdzie rozpoczęło się to samo od nowa. Troskliwie dobieraliśmy potrawy, które Mary ma jadać, zastanawiając się nad sposobem ich przyrządzania. Wreszcie postanowiliśmy zrobić następny krok i analizy pożywienia oraz naczyń dowiodły, że w wielu potrawach znajdowała się pewna substancja. I to zawsze w daniach przeznaczonych wyłącznie dla mojej żony.

— Mówiąc po prostu ktoś podawał pana małżonce arszenik. Nie myłę się, prawda?

— Nie myli się pan. To był arszenik w małych dawkach, których skutki musiały się kumulować.

— Podejrzewał pan córkę?

— Nie.

— Myślę, że tak. Kto inny mógł to robić? Podejrzewał pan córkę?

— Otwarcie mówiąc, tak — przyznał Andrew Restarick z głębokim westchnieniem.

W domu George oczekiwał swojego pana.

— Osoba imieniem Edith telefonowała, proszę pana...

— Edith? — Poirot zrobił zatroskaną minę.

— O ile mi wiadomo, jest w służbie u pani Oliver. Prosiła, aby poinformować pana, że pani Oliver przebywa w szpitalu Świętego Egidiusza.

— Co się jej stało?

— O ile mi wiadomo... dostała czymś po głowie — oznajmił George przemilczając końcową wypowiedź Edith: "I proszę powiedzieć swojemu panu, że to wszystko jego wina".

Detektyw cmoknął językiem.

— Ostrzegałem ją. No i wczoraj wieczorem zaniepokoiło mnie, że nikt nie podnosił słuchawki, kiedy tam telefonowałem. Ach, te kobiety!

XII

— Kupmy pawia — odezwała się pani Oliver nieoczekiwanie.

Nie uniosła powiek, i chociaż głos brzmiał słabo, to wyczuwało się w nim gniew.

Trzy pary oczu zwróciły się ku niej z wyrazem zdziwienia, ona zaś mówiła:

— Cios w głowę.

Otworzyła zmętniałe nieco oczy i usiłowała rozeznąć, gdzie się znajduje.

Najpierw zwróciła uwagę na zupełnie nieznaną twarz młodego człowieka, który pisał coś w notesie. Ołówek mocno ścisnął palcami...

— Policjant! — oznajmiła stanowczo.

— Słucham panią?

— Powiedziałam, że pan jest policjantem. Zgadza się?

— Tak jest, proszę pani.

— Zamach na moje życie! — powiedziała i zadowolona z siebie przymknęła oczy, a gdy je znów otworzyła, pilnie rozejrzała się dokoła.

Leżała na łóżku — wysokim, szpitalnym łóżku o dziwnie higienicznym wyglądzie. Z pewnością nie była w swoim domu. Jeszcze raz powiodła wokół wzrokiem, by ostatecznie rozstrzygnąć wątpliwość.

— Szpital albo jakaś lecznica — powiedziała. Zobaczyła pielęgniarkę, która z ważną miną stała na tle

drzwi, i znajdującą się bliżej, tuż obok łóżka, salową. Następnie rozpoznała czwartą z obecnych w pokoju osób.

— Niepodobna omylić się co do takich wąsów — przemówiła raz jeszcze. — Co pan tu robi, *monsieur Poirot*?

— Mówiłem przecież, *madame*, by pani uważała — odrzekł detektyw podchodząc do łóżka.

— Każdy może zabłądzić — powiedziała dosyć niejasno. — Głowa mnie boli.

— Nic dziwnego. Domyśliła się pani zapewne, że dostała czymś właśnie po tej części ciała.

— Tak. Dostałam od Pawia.

Policjant z zakłopotaniem poruszył się na krześle, zanim przemówił:

— Bardzo przepraszam, proszę pani. Twierdzi pani, że paw dokonał napadu?

— Naturalnie. Od razu czułam, że coś niedobrego się święci... Rozumie pan? Cała atmosfera. — Pani Oliver podniosła rękę, aby właściwym gestem zilustrować tę podejrzaną atmosferę. — Uu... — Lepiej tego nie robić — syknęła.

— Nie wolno denerwować pacjentki — rzuciła pielęgniarka tonem przygany.

— Może pani powiedzieć, gdzie napad miał miejsce?

— Nie mam pojęcia. Zabłądziłam. Wyszłam z jakiejś pracowni malarskiej, okropnie zaniedbanej i brudnej. Ten drugi młody człowiek nie golił się od licha wie ilu dni. Miał na sobie upapraną skórzaną kurtkę.

— On panią napadł?

— Nie on... Tamten.

— Gdyby szanowna pani mogła powiedzieć...

— Przecież cały czas mówię, prawda? — przerwała policjantowi. — Trop w trop szłam za nim przez całą drogę z kawiarni... Tylko, widzi pan, ja jestem do niczego, jeżeli chodzi o odsiedzenie. Brak mi praktyki. To historia o wiele trudniejsza niż mogłoby się panu zdawać. — Umilkła na chwilę. Zapatrzyła się w policjanta. — Pan musi znać się na takich rzeczach. Urządzają specjalne kursy śledzenia, co? Ale nie o tym mowa... Widzi pan — podjęła niespodziewanie szybko — sprawa jest całkiem prosta. Pożegnaliśmy się gdzieś w okolicy World's End i, ma się rozumieć, byłam przekonana, że on wrócił do pracowni, gdzie czekali tamci, albo odszedł inną drogą. A tymczasem on zaczął mnie tropić...

— Kto?

— Paw. No i zdumiał mnie, powiadam panu. Człowiek zdumiewa się, kiedy sprawy są akurat na odwrót. Rozumie pan? On mnie tropił, zamiast ja jego. Ale tamto było znacznie wcześniej i od początku niepewnie się czułam. Szczerze mówiąc, miałam pietra. Nie wiem właściwie czemu. Rozmawiał uprzejmie, ale bałam się porządnie. Zaprosił mnie do pracowni, mówił, że chce mi ją pokazać, więc wdrapałam się na piętro po bardzo chwiejnych schodach. Rozumie pan? Po takich schodach, co to właściwie można nazwać drabiną. W pracowni był drugi młody człowiek, ten brudas. Malował, a jedna dziewczyna pozowała... Rozumie pan? Modelka. Ona była czysta i nawet ładna, bardzo ładna. Porozmawialiśmy trochę i oni byli dla mnie grzeczni i przyjemni, a później powiedziałam, że pora na mnie, więc wskazali mi najprostszą drogę do King's Road. Ale to nie była najprostsza droga. Może mnie okłamali? Rozumie pan, jak ktoś panu powie: druga ulica w lewo i trzecia w prawo, bardzo łatwo policzyć odwrotnie. Tak czy inaczej zawędrowałam w jakieś podejrzanym i dziwne zaułki, gdzieś niedaleko rzeki. Uczucie strachu minęło jakoś i wcale nie miałam

się na baczności, kiedy Paw dzielił mnie w głowę.

— Myślę, że ona bredzi — wtrąciła pielęgniarka tonem wyjaśnienia.

— Nie bredzę — zaprotestowała pani Oliver. — Dobrze wiem, co mówię.

Salowa otworzyła usta i zamknęła bez słowa, gdy pielęgniarka zmierzyła ją karcącym wzrokiem.

— Atlas, aksamit, długie włosy w lokach — uzupełniła swoją wypowiedź poszkodowana.

— Paw w atlasach? Prawdziwy paw, *madame*'? Sądzi pani, że widziała pawia w Chelsea, niedaleko Tamizy?

— Prawdziwy paw? — obruszyła się pani Oliver. — Także pomysł? Co paw mógłby robić gdzieś w Chelsea, niedaleko rzeki?

Na to pytanie nikt z obecnych nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

— On się puszy, stąpa godnie — podjęła autorka. — Dlatego nazwałam go Pawiem. Popisuje się, rozumie pan? Musi być diabelnie próżny, dumny ze swoich loków i licho wie z czego jeszcze. — Wymownie spojrzała na małego Belga. — Dawid i coś tam dalej. Wie, pan o kim mowa?

— Powiada pani, że ów młody człowiek imieniem Dawid napadł panią i ogłuszył ciosem w głowę?

— Oczywiście.

— Widziała go pani wtedy?

— Nie. Odniosłam wrażenie, że słyszę za sobą kroki, ale zanim zdążyłam odwrócić głowę... no! Stało się! Jak gdyby przywalała mnie tona cegieł, czy coś takiego. A teraz chyba się zdrzemnę — zakończyła.

Poruszyła głową, skrzywiła się boleśnie i z błogą miną zapadła w sen.

XIII

Poirot rzadko posługiwał się kluczem do frontowych drzwi swojego domu. Wolał na staroświecką modłę przyciskać guzik dzwonka i czekać, by otworzył mu George, nieporównany famulus. Ale tym razem drzwi otworzyła panna Lemon.

— Są dwaj interesanci — oznajmiła zniżając głos do godnej podziwu skali, która nie będąc jeszcze szeptem brzmiała znacznie ciszej niż normalnie. — Pan Goby oraz wiekowy jegomość, sir Roderick Horsefield. Nie wiem, którego z nich zechce pan przyjąć w pierwszej kolejności?

— Sir Rodericka Horsefielda — bąknął detektyw. Zamyślił się, przechylił na bok głowę. W tym momencie przypominał ptaszka, który nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jak ostatecznie wydarzenie może zmienić ogólny obraz sytuacji. Ale pan Goby zmaterializował się nieoczekiwanie wychodząc z niewielkiego pokoju — miejsca pracy panny Lemon — gdzie wytrawna sekretarka zmagazynowała go przejściowo.

Mały Belg zdjął palto, panna Lemon zaczęła wieszać je na ramiączku, a pan Goby, zgodnie ze swoim obyczajem, przemówił zwracając się do jej karku:

— W kuchni u George’a wypiję filiżankę herbaty. Nie pilno mi. Mam czas.

Bezszelestnie zniknął za kuchennymi drzwiami, a Poirot poszedł do swojego gabinetu, gdzie spacerował sprężystym krokiem sir Roderick.

— No i znalazłem pana — oznajmił wiekowy jegomość. — Cudowna rzecz telefon, hę?

— Zapamiętał pan moje nazwisko? Bardzo mi miło.

— Trudno powiedzieć, że zapamiętałem. Pamięć do nazwisk, widzi pan, to moja słaba strona. Widzianych twarzy nie zapominam nigdy — dodał tonem uznania dla własnej osoby. — Nigdy! Ale pańskiego nazwiska nie pamiętałem. Zadzwoiłem do Scotland Yardu.

— Aha...

Poirot był trochę zbity z tropu, pomyślał jednak, że takie właśnie posunięcie pasuje do sposobu bycia starego sir Rodericka.

— Zapytali mnie, z kim chcę mówić. Naturalnie odpowiedziałem, że z samym szefem. Zawsze tak postępuję, mój drogi. Nie uznaję gadania z jakimś tam zastępcą. Psu na budę się nie zda. Zaczynaj od samej góry: to moja zasada. Wymieniłem więc swoje nazwisko... Rozumie pan, hę? Powiedziałem, że muszę mówić z samym szefem. No i, wyobraź pan sobie, zaraz mnie z nim połączono. Całkiem uprzejmy facet. Wytłumaczył mi, że szukam adresu cywila, który podczas wojny służył w sojusznicznym kontrwywiadzie i kiedyś tam spotkałem się z nim gdzieś we Francji. Z początku facet

nie mógł zrozumieć, o kogo chodzi, więc powiedziałem, że to Francuz, a może Belg! Pan jest Belgiem? Powiedziałem: “Na imię ma tak jakby Achilles. Nie Achilles, ale jakoś podobnie. Taki kurdupel — powiedziałem — z wielkimi wąsami”. Wtedy tamtemu zaświtało w głowie i bąknął coś, że zapewne figuruje pan w książce telefonicznej. Ja na to: “Bardzo pięknie, ale ten gość nie figuruje w książce telefonicznej jako Achilles czy też Herkules, jak go pan nazwał. Nie figuruje, he? A nazwisko wyleciało mi z pamięci”. On wysłuchał tego i podał mi pańskie nazwisko. Uprzejmy facet, trzeba przyznać. Bardzo uprzejmy.

— Z prawdziwą przyjemnością witam pana — wtrącił Poirot i pomyślał, co też usłyszy niebawem od telefonicznego znajomego sir Rodericka. Na szczęście nie mógł to być “sam szef”, lecz funkcjonariusz (zapewne nieobcy małemu Belgowi), do którego zadań należało między innymi przeprowadzanie uprzejmych rozmów z osobistościami niegdyś wysoko postawionymi.

— No i wylądowałem tutaj! — zakończył sir Roderick.

— Bardzo mi miło... Czym mogę panu służyć? Herbatą? Grenadyną? Może też być whisky z wodą sodową albo sok z czarnej porzeczki...

— Co to to nie! — przerwał starszy pan zaniepokojony wzmianką o soku z czarnej porzeczki. — Chyba poproszę o whisky. Nie wolno mi, ale, mój drogi, lekarze to skończone osły. Każdy zawsze zabrania człowiekowi tego, na co ma ochotę.

Gospodarz zadzwonił na George’a, aby wydać mu stosowne instrukcje. Whisky i syfon stanęły wkrótce przed sir Roderickiem i służący wycofał się z pokoju.

— Słucham, sir Rodericku. Jestem do usług — powiedział Poirot.

— Mam dla pana robotę, mój stary — oznajmił sir Roderick, który, zdaje się, coraz mocniej wierzył w bliskie więzy przyjaźni łączące go ongi z małym Belgiem.

Poirot był zadowolony, bo taki stan rzeczy mógł wpłynąć tylko korzystnie na stosunki pomiędzy nim a siostrzeńcem starszego pana.

— Chodzi o papiery — podjął sir Roderick zniżając głos. — Rozumie pan? Zginęły pewne dokumenty i muszę je znaleźć. Pomyślałem sobie, że ostatnio mój wzrok szwankuje i z pamięcią także nietęgo, więc najlepiej zwrócić się do kogoś wtajemniczonego. Rozumie pan, he? Dawnymi laty tkwił pan w sednie spraw? No i znalazł się pan w samą porę, żeby moje papiery odzyskać.

— Historia nad wyraz interesująca — powiedział detektyw. — O jakie dokumenty chodzi, sir Rodericku?

— Wiedziałem z góry, że musi pan o to zapytać, skoro ma pan je odnaleźć. Są poufne, tajne... ściśle tajne... albo przynajmniej były w swoim czasie. No i wygląda na to, że znowu będą. Wymiana listów. Rozumie pan? Kiedy je pisano, nie miały większej wagi... Na pozór, widzi pan. Ale później w konfiguracji politycznej nastąpiły zmiany. To nic dziwnego. Wie pan, jak to bywa. Polityka idzie w jakimś kierunku, a później nagle robi zwrot. Kiedy wybuchła wojna, nikt z nas nie był pewien, czy

stoi na nogach, czy na głowie. Pamięta pan? W jednej wojnie mieliśmy Włochów za przyjaciół, w drugiej poszli przeciwko nam. Jak Boga kocham, nie wiem, co było gorsze! A Japończycy? Kochani sprzymierzeńcy z tamtej wojny, w czasie tej zbombardowali Pearl Harbor! Powiadam panu, Poirot, najbardziej dziś skomplikowana sprawa to z pewnością sojusze. Z dnia na dzień potrafią się zmieniać.

— A więc utracił pan jakieś papiery? — wtrącił Poirot, by myśli sir Rodericka skierować ku celowi jego odwiedzin.

— Aha! Przepadły gdzieś papiery, które niedawno wydobyłem. Gruby plik papierów. Były zdeponowane w bezpiecznym miejscu... Aby być ścisłym — w banku. Ale odebrałem je niedawno i zacząłem porządkować, bo mam zamiar wydać wspomnienia. Wszyscy to teraz robią. Montgomery, Alanbrooke, Auchinleck napisali już pamiętniki. Każdy drukuje to, co mu ślina na język przyniesie, chyba tylko po to, żeby powiedzieć, co myśli o innych generałach. Nawet stary Moran, szanowny medyk, nabajdurzył wiele o swoim ważnym pacjencie. Jak Boga kocham! Nie mam pojęcia, czyje wspomnienia będą następne w tej serii. W każdym razie tak sprawy wyglądają, więc przyszło mi do głowy, że warto by napisać również to i owo o różnych ludziach, których w swoim czasie znałem. Czemu, pytam, nie ma mi pójść coś, co poszło tyłu innym? Trzymałem przecież rękę na pulsie rozmaitych spraw.

— Sądzę, sir, że takie wspomnienia byłyby wielce interesujące dla całego świata — wtrącił Poirot.

— Hę? Pewno, że byłyby interesujące. Znałem niemało osobistości na świeczniku. Wszyscy spoglądali na nich z podziwem i strachem, bo nikt nie wiedział, że to skończeni durnie. Ale ja wiedziałem. Rozumie pan? Jak Boga kocham! Zdziwiłby się pan, Poirot, gdybym panu powiedział, jakie głupstwa robili tamci luminarze. A więc wydobyłem te papiery i zatrudniłem tę małą przy ich porządkowaniu. Bardzo przyjemna ta mała, hę? I bystra, powiadam panu. Nie najlepiej zna angielski, ale poza tym jest wyjątkowo rozgarnięta i skora do pomocy. Ma się rozumieć, szpargały były w nieładzie. Nic dziwnego. Przewertowałem wszystkie i... Dobry kawał, hę? Tych, których mi było potrzeba, nie znalazłem.

— Nie znalazł pan?

— Nie. Z początku myślałem, że przegapiliśmy je jakoś, więc jeszcze raz wzięliśmy się do roboty. Przetrzęsaliśmy cały kram i, jak się zdaje, ktoś zwędził dużo dokumentów. Nie wszystkie były ważne... z pewnością nie wszystkie. Właściwie te, których potrzebowałem, też nie miały większego znaczenia... W każdym razie dawniej na to wyglądało, bo w przeciwnym razie nie pozwolono by mi tych papierów zatrzymać. Ale tak czy inaczej, listy, o których mowa, zniknęły bez śladu.

— Jestem z natury dyskretny, drogi panie, ale czy nie zechciałby pan poinformować mnie o charakterze listów, o których mowa? — zapytał detektyw.

— Nie wiem, czy mógłbym to zrobić. Najwyżej wspomnę, że chodzi o gościa, który czeka teraz, ile to on robił w przeszłości i co mówił. Ale gość mija się z prawdą, a z tych właśnie listów wynika czarno na białym, jaki z niego łgarz. Rozumie pan, nie sądzą, by te dokumenty miały zaraz być

opublikowane. Po prostu wyślemy gościowi eleganckie kopie i przypomnimy, ile rzeczywiście robił i co gadał... No i nie zapomnimy dodać, że mamy to wszystko na piśmie. Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby... gdyby po takim posunięciu nastąpiły... powiedzmy, pewne zmiany. Nie muszę chyba pytać, czy pan rozumie? Kto jak kto, ale pan zna się na takich kombinacjach.

— Słusznie, sir. Znam się na sprawach, o których mowa. Ale proszę zrozumieć, że niesłuchanie trudno pomóc komuś przy poszukiwaniach rzeczy, jeżeli nie wiadomo, co to jest i gdzie może się znajdować.

— Przede wszystkim — podjął starszy pan — chcę zbadać, kto te papiery zwędził. To bardzo ważna kwestia. W mojej skromnej kolekcji mogą być inne ściśle tajne dokumenty. Rozumie pan? Wolałbym wiedzieć, kto w tym archiwum plądruje.

— Nikogo pan nie podejrzewa?

— A powinienem pańskim zdaniem, hę?

— Cóż, najbardziej prawdopodobne wydaje się...

— Wiem, wiem! Chce pan powiedzieć: ta mała. Ja jestem odmiennego zdania. Zapytałem wprost, ona odpowiedziała: nie, a ja uwierzyłem. Rozumie pan?

— Aha, rozumiem — westchnął dyskretnie detektyw.

— Stanowczo jest za młoda. To takie dawne dzieje. Skąd, pytam, osóbką w jej wieku miałyby wiedzieć, że chodzi o ważne dokumenty?

— Ktoś mógłby ją poinformować.

— Hm... Niewykluczone... Ale szyte zbyt grubymi nićmi... Detektyw westchnął znowu. Był już pewien, że nie wpłynie na stroniczość stanowiska wiekowego jegomościa.

— Czy ktoś więcej ma dostęp do pańskiego archiwum?

— Ma się rozumieć! Przede wszystkim Andrew... On i Mary. Ale nie sądzę, by podobne sprawy interesowały mojego siostrzeńca. Zresztą był zawsze przyzwoitym chłopcem. Raz czy dwa on i Simon przyjechali na święta... To wszystko. Wiem naturalnie, że puścił kantem Grace i z jakąś dziwką zwał do Afryki Południowej. Ale podobna historia może się przytrafić każdemu mężczyźnie, zwłaszcza kiedy ma żonę taką jak Grace... Jej też nie widywałem często, ale, rozumie pan, to była baba tego typu, co chodzą zawsze ze spuszczonej oczami i myślą tylko o akcjach filantropijnych. Tak czy inaczej trudno sobie wyobrazić, by chłopiec jego pokroju był szpiegiem, hę? A Mary? To osoba na miejscu. Nic nie widzi poza swoim ogrodem. Jest jeszcze ogrodnik, który ma osiemdziesiąt trzy lata i mieszka w miasteczku od urodzenia. Są dwie kobiety do posług... Przez cały dzień kręcą się po domu i diablo hałasują odkurzacami... Nie! Żadna z nich nie może być szpiegiem. I co? Papiery musiał zwędzić ktoś obcy. Rozumie pan? Ma się rozumieć, Mary nosi perukę — ciągnął sir Roderick, raczej bez związku. — Chodzi o to, że mógłby pan ją podejrzewać o szpiegostwo właśnie dlatego, że nosi perukę. Ale nie w tym rzecz, powiadam. Włosy straciła po tyfusie, kiedy miała

osiemnaście lat. Piekielny pech dla młodej osoby. Wcale nie wiedziałem o tej peruce, ale któregoś dnia Mary zahaczyła włosami o krzak róży i peruka całkiem się zbakierowała... Piekielny pech, he?

— Istotnie, fryzura pani Restarick wydała mi się trochę dziwna — wtrącił Poirot.

— Ale, widzi pan, agentki pierwszorzędnej miary nie noszą nigdy peruk — wyjaśnił Horsefield. — Biedaczki! Muszą korzystać z usług chirurga kosmetycznego i zmieniać twarze... Hm... Tak czy inaczej, ktoś myszkował w moich papierach.

— A może listy, o których mowa, trafiły do innej szuflady, innej teczki? — zasugerował detektyw. — Kiedy widział je pan ostatni raz?

— Plus minus rok temu. Miałem je wtedy w rękach. Myślałem, że warto by zrobić kopie... A teraz, widzi pan, przepadły. Ktoś musiał je zwędzić!

— Jak już słyszałem, nie podejrzewa pan siostrzeńca, jego żony ani służby. A córka?

— Norma? Dziewczyna ma lekkiego fioła, to fakt. Z pewnością mogłaby cierpieć na kleptomanię... Rozumie pan? Zabierać cudze rzeczy całkiem nieświadomie... Ale nie wydaje mi się, by Norma myszkowała w moim archiwum. Nie... Chyba nie.

— Więc co się panu wydaje?

— Był pan u mnie. Widział pan, jak dom wygląda. Każdy może wchodzić i wychodzić, o każdej porze. Nie zamykamy drzwi na klucz. Nigdy nie zamykamy.

— Nie zamyka pan na klucz drzwi swojego pokoju, kiedy... na przykład wyjeżdża pan do Londynu?

— Nigdy nie uważałem tego za potrzebne. Teraz zmieniłem zdanie. Rzecz zrozumiała. I co? Za późno. Zresztą mam tylko zwyczajny klucz, który pasuje do wszystkich drzwi. No i co? Musiał przyjść ktoś obcy. Tak robi teraz każdy włamywacz. Włazi na schody, byle jakim kluczem otwiera byle jakie drzwi, w cudzym pokoju plądruje kasetkę z biżuterią, odchodzi i tyle go widać. Nawet nikt nie zapyta, kto i po co? Myślę, że dzisiejsi włamywacze wyglądają tak, jak ci rozmaici... jak się tam nazywają...? No, tacy młodzi ludzie, co noszą długie włosy i diablo brudne paznokcie. Niejeden kręcił się po domu. Sam widziałem. Człowiek ma ochotę zapytać taką osobę: Coś ty za jeden, u licha? Ale piekielnie trudno poznać płęć, widzi pan, a to żenująca historia. Dom roi się teraz od podobnych typów. Myślę, że to znajomi Normy. Dawnymi czasy przepędzało się takich, ale przykro byłoby wyrzucić kogoś za drzwi i dowiedzieć się później, że to był wicehrabia Endersleigh czy też prezentująca się po męsku lady Charlotte Marjoribanks. Jak Boga kocham! Nie wiadomo dziś, na jakim świecie człowiek żyje. — Wiekowy jegomość przerwał na chwilę i dodał wstając: — Jeżeli pan nie zgłębi tej zagadki, nikt jej nie zgłębi. Powiedziałem swoje. Reszta zależy od pana. Weźmie pan tę robotę?

— Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania, sir Rodericku — odparł detektyw i w tym momencie odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych.

— Moja mała! — oznajmił starszy pan. — Jak zawsze, punktualna co do minuty. Pierwsza klasa, he? Bez niej nie mógłbym poruszać się po Londynie. Ślepy jestem jak nietoperz. Za nic nie przeszedłbym jezdni.

— Nie używa pan szkieł?

— Używam. Mam nawet jedną parę. Ale, widzi pan, to świństwo raz po raz spada z nosa albo gdzieś się zawierusza. Zresztą nie cierpię okularów. Nigdy ich nie używałem. Kiedy liczyłem sobie sześćdziesiąt pięć lat, widziałem dobrze. Mogłem czytać gołym okiem.

— Nic nie trwa wiecznie — wtrącił Herkules Poirot.

George wprowadził do gabinetu Sonię, która tego dnia wyglądała nad wyraz korzystnie. Mały Belg pomyślał, iż do twarzy jej z dziewczęcą nieśmiałością.

— *Enchante, mademoiselle* — powitał damę, skłonił się nisko i z istic galicką galanterią ucałował jej rączkę.

— Nie spóźniłam się, sir Rodericku? — powiedziała Sonia zapatrzona w swojego pracodawcę. — Nie czekał pan na mnie, prawda?

— Skąd znowu, moja droga — odrzekł wiekowy jegomość. — Zjawiasz się punktualnie co do minuty. No i w pierwszorzędnej formie.

Sonia zarumieniła się lekko.

— Dobra była herbatka, he? — ciągnął sir Roderick. — Mówiłem przecież, żebyś zafundowała sobie herbatkę i ciastko drożdżowe, ekierkę, czy co tam teraz jadają panienki w twoim wieku. Rozkaz wykonano?

— Niezupełnie — uśmiechnęła się dziewczyna. — Skorzystałam z wolnego czasu i kupiłam sobie pantofelki. O, proszę spojrzeć. Ładne, prawda? — wysunęła nóżkę.

Nóżka była z pewnością bardzo ładna. Sir Roderick rozpromienił się na jej widok.

— No, pora na nas — odezwał się po chwili. — Musimy złapać pociąg. Może to staroświeczyzna, ale ja lubię podróżować koleją. Pociąg odchodzi o czasie i o czasie przychodzi, a w każdym razie tak być powinno... A samochód? Jak robi się zator, samochód stanie w kolejce i człowiek traci bez potrzeby godzinę albo i dwie... Do licha z samochodem!

— Czy George ma sprowadzić taksówkę? — zapytał gospodarz. — To żaden kłopot, sir Rodericku. Doprawdy, żaden kłopot.

— Taksówka czeka — odezwała się Sonia.

— Widzi pan! — rozpromienił się znowu wiekowy jegomość. — Mała pamięta o wszystkim.

Pogłaskał ją po ramieniu, a dziewczyna odwzajemniła się spojrzeniem, które mały Belg docenił w pełni.

Poirot towarzyszył gościom do hallu i u drzwi pożegnał ich uprzejmie. Nieco wcześniej pan Goby wyłonił się z kuchni i wybornie grał rolę człowieka, który przyszedł skontrolować instalację gazową.

Kiedy zatrasnęła się winda, George zamknął drzwi i spojrzał w oczy swojemu pracodawcy.

— No i co sądzisz, George, o tej młodej pani? — zapytał Poirot, który chętnie słuchał czasami opinii służącego, w pewnych przypadkach, jak sądził, niezawodnych.

— Jeżeli się wolno tak wyrazić, proszę pana, powiedziałbym, że na mój rozum, on wpadł dokładnie. Zakochany po uszy, jak to się mówi.

— Chyba masz rację, George — przyznał detektyw.

— Ma się rozumieć, to nic osobliwego — ciągnął George. — Podobne historie często zdarzają się panom w starszym wieku. Na przykład lord Mountbryan, człowiek z dużym życiowym doświadczeniem i, powiedziałby pan, z pewnością na cztery nogi kuty. No i co, proszę pana? Jedna młoda osoba przychodziła mu robić masaże. Nie uwierzy pan, proszę pana, co od niego dostała. Najprzód była to suknia wieczorowa i bardzo ładna bransoletka. Niezapominajki, proszę pana, turkusy i brylanciki. Drobiazg niezbyt cenny, ale, że się tak wyrażę, kosztował ładną forszę. Później przysłała pelerynka futrzana... Nie norki, proszę pana: gronostaje i na dokładkę elegancka torebka balowa. Później brat tej młodej osoby popadł w jakieś kłopoty, długi lub coś podobnego, chociaż bardzo wątpię, czy ona w ogóle miała brata. Strasznie się trapiła, proszę pana, więc lord Mountbryan dał jej pieniądze na zakłajstrowanie sprawy. A wszystko to, proszę pana, było platoniczne. Tak, w pewnym wieku mężczyźni tracą zdrowy rozsądek. Dają się nabierać młodym osobom, nawet nie złego prowadzenia, ale takim przyklepnym.

— Nie wątpię, George, że masz rację — przyznał znów Poirot. — Ale nie usłyszałem dotąd wyraźnej odpowiedzi na moje pytanie: co sądzisz o tej młodej osobie?

— O tej młodej osobie...? Cóż, trudno powiedzieć coś pewnego, ale to chyba typ całkiem określony. Takim, proszę pana, nigdy nie da się nic zarzucić... nic konkretnego. Ale dobrze wiedzą, co robią i czego chcą, że się tak wyrażę.

Poirot skinął na pana Goby'ego, który pospieszył za nim do gabinetu i tam zasiadł na krześle w swojej zwykłej pozie: kolana razem, noski trzewików zwrócone do środka. Dobył z kieszeni notes z oślimi uszami, otworzył go powoli i surowym wzrokiem przywarł do syfonu z wodą sodową.

— Informacje — zaczął — w kwestii interesującego pana środowiska. Restarickowie. Rodzina bez zarzutu i finansowo na poziomie. Nie wiadomo o żadnych skandalach. Ojciec, James Patrick Restarick miał opinię człowieka bezwzględniego w sprawach handlowych. Firma w rodzinie od trzech pokoleń. Założył ją dziadek, ojciec rozwinął, Simon Restarick prowadził dalej. Dwa lata temu Simon Restarick począł odczuwać zaburzenia naczyń wieńcowych. Stan jego zdrowia pogarszał się szybko. Mniej więcej przed rokiem zmarł na zawał serca. Młodszy brat, Andrew Restarick, został

wspólnikiem firmy wkrótce po studiach w Oksfordzie. Poślubił pannę Grace Baldwin. Miał jedną córkę: Normę. Żonę porzucił i wyjechał do Afryki Południowej z niejaką panną Birell. Nie było procesu rozwodowego. Pani Grace Restarick zmarła dwa i pół roku temu. Uprzednio przez czas dłuższy poważnie chorowała. Panna Norma Restarick ukończyła szkołę dla dziewcząt w Meadowfield. Była w internacie. Opinię miała nienaganną. — Pan Goby zerknął przelotnie na małego Belga i wyraził swój pogląd: — Wszystko wskazuje na to, że rodzina bez zarzutu, jak Bóg przykazał.

— Nie miała czarnej owcy? Nie było żadnej choroby umysłowej?

— Nie wydaje się, proszę pana.

— A to pech! — westchnął Poirot.

Pan Goby przeszedł do porządku dziennego nad tym westchnieniem, odchrząknął, poślinił palec i odwróciwszy kartkę notesu czytał dalej:

— Dawid Baker. Opinia fatalna. Dwa razy w śledztwie. Policja ma go na oku. Był zamieszany w kilka poważnych afer i podejrzany o udział w dość dużej kradzieży dzieł sztuki. Brak dowodów. Należy do cyganerii artystycznej. Nie ma ustalonych źródeł dochodu, ale radzi sobie zupełnie nieźle. Lubi zakochane w sobie dziewczęta z pieniędzmi. Nie ma zastrzeżeń przeciwko odprawom z kieszeni ich rodziców. Moim zdaniem, typ obrzydliwego pokroju, ale dość sprytny, by unikać kolizji z prawem. — Pan Goby zerknął znów na swojego słuchacza. — Poznał go pan? — zapytał.

— Tak.

— Wolno zapytać o pańskie wrażenie?

— Nie inne niż pańskie — odparł mały Belg i dodał po chwili zastanowienia: — Efektowny facet.

— Właśnie! Przemawia do niewieścich gustów. Niestety dzisiejsza kobieta nie spojrzy nawet na porządnego, pracowitego chłopca. Woli szubrawca, kombinatora. Bardzo chętnie mówi: “Biedaczek! Nie powiodło mu się w życiu”.

— Puszy się niczym paw — bąknął Poirot.

— Można to i tak sformułować — przyznał nie bez powątpiewania pan Goby.

— Sądzi pan, że posługiwał się pałką albo czymś w tym rodzaju?

Pan Goby zastanowił się przez moment. Później wolno pokręcił głową spoglądając na grzejnik elektryczny.

— Takich zarzutów nie było — odparł. — Nie twierdzę, by nie potrafił zdobyć się na to, ale linia jego postępowania wygląda inaczej. Facet jest, moim zdaniem, układny. Woli stronić od ordynarnej roboty.

— Tak... tak... — bąknął Poirot. — Byłbym raczej pańskiego zdania. Ale przyjmie odprawę z kieszeni papy, prawda?

— O, tak. Jeżeli mu się to opłaci, rzuci każdą dziewczynę jak rozżarzony węgiel.

Mały Belg twierdząco skinął głową. Przypomniał sobie książeczkę czekową, którą Restarick otworzył, aby pokazać mu swój podpis. Poirot zdążył wtedy nie tylko odczytać podpis. Stwierdził także, iż czek opiewa na okazałą kwotę i jest imienny. Obecnie zadał sobie pytanie, czy Baker wzdragałby się z przyjęciem takiego czeku? Odpowiedź brzmiała: Nie. O żadnych oporach nie byłoby nawet mowy. Pan Goby bez wątpienia podzielał to zdanie. Ostatecznie nieodpowiedni wielbiciiele — nie inaczej niż nieodpowiednie wielbicielki — zawsze i wszędzie dostawali i brali odprawy. Porzuceni synowie klęli, porzucone córki szlochały, ale pieniądze to przecież pieniądze. Dawid proponował Normie małżeństwo. Nalegał na pośpiech. Czy był szczery? Czy rzeczywiście zależy mu na tej dziewczynie? Jeżeli tak, to pieniądze od papy mogłyby okazać się nieskuteczne. Może sprawę traktuje serio? Może Norma naprawdę mu wierzy? Andrew Restarick, pan Goby i Poirot byli odmiennego zdania i według wszelkiego prawdopodobieństwa oni mieli słuszość.

Pan Goby odchrząknął raz jeszcze i mówił dalej: — Panna Claudia Reece–Holland. Przeciwnie nie ma nic. Ojciec jest deputowanym do parlamentu, dobrze sytuowany. Nie słyhać o żadnej skandalicznej historii, inaczej niż rzecz ma się z niektórymi innymi deputowanymi, o których wiadomo to i owo. Panna Reece–Holland pobierała nauki w Roeden, Lady Margaret Hali. Później ukończyła kurs sekretarski i zaczęła pracować. Najprzód była sekretarką znanego lekarza z Harley Street. Następnie otrzymała posadę wysoko kwalifikowanej sekretarki w Ministerstwie Górnictwa. Od dwu miesięcy jest osobistą sekretarką pana Restaricka. Nie stwierdzono bliższych związków z żadnym mężczyzną, chociaż ma szereg, jak to się mówi, drobnych flircików. Starannie dobiera sobie towarzystwo. Brak danych, by sądzić, że łączy ją coś z panem Restarickiem. Jestem zdania, że istotnie nie ma nic pomiędzy nimi. Od paru lat wynajmuje apartament w Borodene Mansions. Czynn raczej wysoki. Zazwyczaj miewa dwie współlokatorki, raczej przygodne znajome niż bliskie przyjaciółki. Zmieniają się one sporadycznie. Frances Cary, druga lokatorka, mieszka tam od pewnego czasu. Była w Królewskiej Szkole Aktorskiej, później w Akademii Sztuk Pięknych. Obecnie jest zatrudniona w znanej galerii sztuki Wedderburn przy Bond Street. Specjalizuje się w urządzaniu wystaw poza Londynem. Wyjeżdża do Manchesteru, Birmingham, czasami za granicę. Była w Szwajcarii i Portugalii. Znana w kołach cyganerii artystycznej. Ma wielu przyjaciół wśród artystów i aktorów. — Pan Goby zrobił pauzę. Odkaslnął znowu i zajrzał do swojego notesu. — Jak dotąd, wiadomości z Afryki Południowej są skąpe. Myślę, że nie uzyskam wiele więcej. Restarick był w nieustannym ruchu. Kenia, Uganda, Złote Wybrzeże, nawet przez jakiś czas Ameryka Południowa. Wciąż się przenoślił. Niepokojny duch. Wygląda na to, że nikt nie znał go naprawdę dobrze. Zawsze miał dużo własnych pieniędzy, więc mógł podróżować, ile chciał. Zarabiał też i zrobił okazały majątek. Chętnie wybierał miejsca mało znane i odludne. Jak się wydaje, wszędzie potrafił zyskiwać sympatię. Sądzę, że był w tym czasie włóczęgą z zamiłowania i nie miał zwyczaju informować nikogo o swoich podróżach. Trzykrotnie rozeszły się pogłoski o jego zgonie. Ale za każdym razem pojawiał się nieoczekiwanie po kilku miesiącach w innej okolicy lub nawet w jakimś innym kraju. — Nastąpiła znów krótka przerwa. — W zeszłym roku jego brat umarł nagle w Londynie. Odnalezienie pana Restaricka nastreczyło wiele trudności. Ta śmierć stanowiła, że tak powiem, przełom. Może Andrew Restarick miał dosyć włóczęgowskiego życia albo trafił wreszcie

na swoją kobietę. Jest dużo młodsza niż on i, jak się dowiedziałem, była nauczycielką. Typ z usposobienia osiadły. W każdym razie wygląda na to, że pan Restarick ustatkował się wtedy. Postanowił dać spokój wędrówkom i powrócić do Anglii. Był już człowiekiem bardzo zamożnym, a ponadto spadkobiercą brata.

— Jednym słowem, sukcesy, a na tym tle nieszczęśliwa dziewczyna — powiedział Poirot. — Ja właśnie chciałbym poznać lepiej. Pan przekazał mi wszystko, co mógł na ten temat zdobyć: fakty, jakich było mi trzeba. Słyszałem o ludziach, którzy stanowią otoczenie tej dziewczyny i którzy mogli mieć na nią wpływ. Dowiedziałem się trochę o jej ojcu, macosze, chłopcu, w którym się kocha, osobach, z którymi mieszka i pracuje w Londynie. Jest pan pewien, że w związku z tą małą nie mówi się o czyjejś gwałtownej śmierci? To bardzo ważna kwestia.

— Nic w takim sensie nie zwęszyłem — odparł pan Goby. — Panna Restarick zarabia mało, bo pracuje w firmie Homebirds bliskiej bankructwa. Jej macocha była w szpitalu, na obserwacji, jak powiadają. Ma się rozumieć, w szpitalu na prowincji. Krążyły różne plotki, ale wygląda na to, że nie znalazły potwierdzenia.

— Pani Restarick nie umarła — wtrącił Poirot i dorzucił zdanie, które zabrzmiało nader krwiożerczo: — A mnie potrzeba śmierci.

Pan Goby odrzekł, iż przykro mu, ale śmiercią nie dysponuje, i wstał, by się pożegnać.

— Czym mógłbym panu jeszcze służyć? — zapytał.

— Chyba już nie informacjami.

— Rozumiem, proszę pana — zgodził się i podjął umieściwszy notes w kieszeni: — Bardzo przepraszam, bo to zapewne nie na temat, ale młoda osoba, która dopiero co tu była...

— Aha! Co z tą młodą osobą?

— Cóż, myślę, że to nie ma związku z naszą sprawą, ale niewykluczone, że zainteresuje pana...

— Słuchani? Podejrzewam, że już pan ją widział?

— Tak. Dwa miesiące temu.

— Gdzie?

— W Królewskim Ogrodzie Botanicznym... W Kew Gardens.

— W Kew Gardens? — Poirot zrobił nieco zdziwioną minę.

— Nie ją miałem pod obserwacją. Kogoś innego, kto się tam z nią spotkał.

— A mianowicie?

— To był ktoś z ambasady Królestwa Hergowiny.

Poirot uniósł brwi.

— Interesujące... Nad wyraz interesujące. Kew Gardens... Wymarzone miejsce na randkę, bardzo stosowne.

— To samo wtedy pomyślałem.

— Rozmawiali ze sobą?

— Nie, proszę pana. Wyglądało na to, że się wcale nie znają. Młoda osoba miała przy sobie książkę. Usiadła na ławce, czytała przez chwilę i książkę położyła obok siebie. Później przyszedł mój gość i usiadł na tej samej ławce. Nie zamienili jednego słowa, tylko młoda osoba wstała i odeszła. On posiedział parę minut, a później także wstał i odszedł, ale zabrał książkę, pozostawioną przez nią. To wszystko, proszę pana.

— Interesujące. Nad wyraz interesujące — powtórzył Poirot.

Pan Goby spojrział na szafę biblioteczną, powiedział jej do widzenia i opuścił gabinet.

— *Enfin!* — westchnął żałośnie detektyw. — Tego za wiele! Mamy już wywiad i kontrwywiad. A ja szukam jedynie najzwyczajniejszego morderstwa. Zaczynam podejrzewać, że miało ono miejsce tylko w rojeniach narkomanki.

XIV

— *Chere madame!* — Poirot skłonił się głęboko i wręczył pani Oliver bukiet stylizowany pięknie na wiktoriańską modłę.

— *Monsieur Poirot* zawsze niezawodny! — zawołała. — Miło mi pana widzieć. I bukiet śliczny. Moje kwiaty są zawsze w okropnym stanie — dodała przenosząc wzrok z przywiedłych chryzantem na wazon, gdzie włożono parę róż jeszcze w pączkach. — Cieszę się, że pan przyszedł.

— Chciałem złożyć pani szczerze gratulacje z okazji powrotu do zdrowia.

— Dziękuję. Chyba ze mną już wszystko w porządku. — Niezdecydowanie pokręciła głową. — Tylko głowa boli mnie czasami. Rozumie pan? Okropne migreny!

— A ostrzegałem! Przypomina sobie pani? Ostrzegałem...

— Żeby nie wychylać się bez potrzeby — podchwyciła. — A ja właśnie to zrobiłam, co? Ale od początku miałam niedobre przeczucia. I bałam się, proszę pana, chociaż mówiłam sobie, że skończona ze mnie idiotka, bo nie ma powodów do strachu. Przecież byłam w Londynie, w samym centrum Londynu. Dookoła było rojno. Skąd mój lęk, pytam? Przecież nie znalazłam się nagle w odludnym lesie ani na pustkowiu, prawda?

Poirot bacznie spoglądał na starszą panią. Zastanawiał się, czy rzeczywiście miała niedobre przeczucia. Czy odczuwała obawę, miała wrażenie, że coś lub ktoś jej zagraża? A może wszystko to narodziło się później, w wyobraźni i wspomnieniach pani Oliver? Doskonale zdawał sobie sprawę, jak się mówi o podobnych przeczuciach już *post factum*. Od niezliczonych klientów wysłuchiwał przecież zdań: “Wiedziałem, że coś się święci. Czulem w powietrzu grozę. Byłem pewien, że musi zdarzyć się coś strasznego”. A w istocie ci ludzie nie odczuwali niczego. Pani Oliver wyrażała się podobnie... Ariadna Oliver... Jakiego to pokroju osoba, tak naprawdę?

Jeszcze raz przyjrzał się jej bacznie. Według własnej opinii autorka powieści kryminalnych miała niebывałą intuicję i w rezultacie starsza dama reklamowała zazwyczaj to przeczucie, które okazało się trafne!

A przecież człowiek przejawia często nieuzasadniony niczym niepokój — niepokój psa lub kota przed burzą, która niczym się jeszcze nie zapowiada. Często wie, że nastąpi coś złego, choć z charakteru przewidywanego nieszczęścia nie zdaje sobie na razie sprawy.

— W jakim momencie nawiedziły panią niedobre przeczucia? — zapytał Poirot.

— Kiedy zboczyłam z głównej ulicy — brzmiała odpowiedź.

— Przedtem było całkiem zwyczajnie i, słowo daję, nawet zabawnie! Tak! Bawiłam się dobrze,

tylko irytowało mnie trochę odkrycie, że śledzenie kogoś jest bardzo trudną sprawą.

— Ariadna Oliver umilkła, zastanawiała się przez chwilę. — Do pewnego momentu to była zabawa, niezła zabawa. Ale później zmieniło się wszystko i wcale nie przypominało zabawy. Może dlatego, że dokoła widziałam jakieś dziwaczne małe uliczki i zaułki, rudery, szopy, puste place przygotowane pod budowę. Czy ja wiem? Może właśnie z tej racji strach mnie obleciał. Miałam wrażenie, że śnię. Pamięta pan, jak w snach czasami bywa? Coś niby się zaczyna: przyjęcie albo... coś w ten deseń... Następnie odmienia się wszystko. Jest okropnie, ponuro jak w dżungli...

— W dżungli? — powtórzył Poirot. — Interesujące. Ciekawie to pani sformułowała. A zatem odniosła pani wrażenie, że znajduje się w dżungli i bała się pani pawia?

— Nie wiem, czy istotnie jego się bałam. Ostatecznie paw jest stworzeniem nader bezpiecznym. Widzi pan... W myślach nazywałam go Pawiem, ponieważ jest bardzo dekoracyjny. Paw to istota bardzo dekoracyjna, prawda? I ten okropny chłopiec również.

— Nie podejrzewała pani, że ktoś idzie za panią do momentu, kiedy panią uderzono?

— Nie podejrzewałam... z pewnością. Ale jestem przekonana, że on wskazał mi niewłaściwy kierunek.

Poirot pokiwał w zamyśleniu głową.

— Ale z pewnością on musiał mnie uderzyć — podjęła pani Oliver. — Bo kto proszę pana? Ten brudas w zatłuszczonej skórzanej kurtce? Bardzo nieładnie pachniał, ale wcale nie miał zbrodniczej miny. Nie mogła to być również Frances... Jakże się nazywa? Siedziała upozowana na skrzyni, a te swoje długie czarne włosy miała rozrzucone po całym strychu... Przypominała jedną aktorkę, nie pamiętam jaką.

— Powiada pani, że pozowała?

— Tak. Nie Pawiowi. Malował ją ten brudas. Nie przypominam sobie, czy widział ją pan kiedy.

— Dotąd nie miałem przyjemności... jeżeli to przyjemność — powiedział mały Belg.

— Jest nawet przystojna na specyficzną modłę cyganerii... Jak gdyby rozmyślnie zaniedbana, niechlujna. Bardzo zrobiona. Rozumie pan? Trupioblada cera. Grubo tuszu w okolicach oczu... No i jak zwykle, proste, długie włosy prawie zasłaniające twarz. Pracuje w jakiejś galerii sztuki, więc nic dziwnego, że jako modelka kręci się pośród młodych pacykarzy. Co te dzisiejsze dziewczęta wyrabiają! Jak mogą? Może jest zakochana w Pawiu? A może w tym drugim, brudasie? W każdym razie trudno sobie wyobrazić, abym od niej dostała po głowie.

— Nasuwa mi się inne przypuszczenie — powiedział Poirot. — Ktoś zorientował się, że pani śledzi Dawida, i z kolei poszedł krok w krok za panią.

— Ktoś zorientował się, że śledzę Dawida, i mnie zaczął śledzić?

— Albo — ciągnął detektyw — ktoś miał już na oku to samo towarzystwo, które panią zainteresowało.

— Tak! To pomysł! — zgodziła się autorka. — Ciekawa jestem, co to mógł być za jeden?

Poirot westchnął głęboko.

— Niełatwa sprawa — bąknął. — Diabło niełatwa. Za dużo ludzi, za dużo wątków. Nic nie rysuje się jasno. Widzę tylko dziewczynę, która powiedziała, że prawdopodobnie popełniła morderstwo. Tym się muszę kierować, ale tak czy inaczej wciąż napotykam trudności.

— Jakie trudności?

— Proszę pomyśleć logicznie — zaproponował.

— Lubi pan zbijać mnie z tropu — obruszyła się starsza dama, której słabą stroną było logiczne myślenie.

— Wciąż mówię o morderstwie — podpowiedział detektyw.

— O jakim? Chyba macochy?

— Przecież macochy nikt nie uśmiercił. Mary Restarick żyje.

— Doprawdy! Z panem kręćka można dostać! — zawołała pani Oliver.

Poirot wyprostował się na krześle. Złożył koniuszki palców obu dłoni i — jak podejrzewała Ariadna Oliver — zamierzał z satysfakcją wygłosić dłuższe przemówienie.

— Nie chce pani myśleć logicznie — rozpoczął. — A to przecież nieodzowny warunek, by dojść do celu.

— Nie chcę myśleć logicznie — zirytowała się. — Natomiast chcę wiedzieć, gdzie się pan obracał i co robił przez cały czas, kiedy ja byłam w szpitalu. Coś musiał pan robić! Co?

Poirot puścił pytanie mimo uszu.

— Musimy zacząć od początku — podjął. — Pewnego dnia pani zatelefonowała do mnie. Byłem przygnębiony. Nie taję, byłem przygnębiony, bliski rozpacz. Usłyszałem niedawno słowa szczególnie przykre. Pani, *madame*, była samą dobrocią. Pocieszała mnie pani, dodawała ducha. Poczęstowała mnie pani filiżanką przewybornej czekolady. A co więcej nie tylko zaofiarowała mi pani pomoc, lecz pomogła naprawdę. Dzięki pani udało się zidentyfikować dziewczynę, która przyszła do mnie i powiedziała, że prawdopodobnie popełniła morderstwo! Obecnie, *madame*, postawmy parę pytań w kwestii tego morderstwa. Kto został zamordowany? Gdzie? Dla jakich powodów?

— Proszę dać spokój! — jęknęła Ariadna. — Głowa zaczyna mnie boleć, a to w obecnym stanie

mojego zdrowia szczególnie niewskazane.

Detektyw nie zareagował na zwróconą do siebie żalostną prośbę i mówił dalej:

— Czy w ogóle było morderstwo? Mówiła pani o macosze. Ale pani Restarick żyje, a więc jak dotąd nie stwierdziliśmy morderstwa. Lecz morderstwo być powinno, a zatem pytam przede wszystkim, kto rozstał się z życiem? Proszę uważać. Ktoś przychodzi do mnie i bredzi o morderstwie popełnionym nie wiadomo gdzie, jak i kiedy. A ja nie widzę morderstwa i jeszcze raz powtarzam, że pani może wystarczyć, iż usiłowano otruć Mary Restarick, ale mnie to nie zadowoli!

— Nie rozumiem, czego chce pan więcej — obruszyła się autorka.

— Chcę morderstwa! — zawołał.

— To brzmi okropnie krwiożerczo!

— Szukam morderstwa i nie mogę znaleźć — ciągnął detektyw. — Jestem znów bliski rozpacz, więc proszę panią, abyśmy razem pomyśleli logicznie.

— Mam wspaniałą koncepcję — oznajmiła starsza dama. — Przypuśćmy, że Andrew Restarick uśmiercił żonę przed swoją ucieczką do Afryki Południowej. Brał pan kiedy pod uwagę taką ewentualność?

— Nie, *madame*. Z całą pewnością nie brałem pod uwagę czegoś podobnego — zirytował się Poirot.

— A ja brałam. To bardzo interesujący pomysł. Restarick poznał tamtą kobietę, zakochał się i, jak Crippen, chciał dać drapaka. Wobec tego zamordował pierwszą żonę i nikt go nawet nigdy o to nie podejrzewał.

Poirot westchnął przeciągle.

— Jego żona umarła w jedenaście czy dwanaście lat po tej ucieczce do Afryki Południowej. No i trudno sobie wyobrazić, by pięcioletnia dziewczynka mogła brać jakiś udział w morderstwie rodzonej matki.

— Mogła podać jej niewłaściwe lekarstwo. A może Restarick opowiada tylko, że jego pierwsza żona nie żyje. Ostatecznie nie wiemy przecież, czy naprawdę umarła.

— Ja wiem — rzucił mały Belg. — Przeprowadziłem skrupulatne dochodzenie. Pierwsza żona Restaricka umarła czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

— Jakim cudem dowiaduje się pan takich rzeczy?

— Zlecam komuś zbieranie informacji. I, *madame*, błagam, niech pani nie wysnuwa pochopnie wniosków nie opartych na niczym.

— A według mnie jest to rozwiązanie wyjątkowo pomysłowe — podjęła z uporem. — Gdybym miała tę sprawę opisać w powieści, ustawiłabym ją tak właśnie. Zbrodni dokonałoby dziecko. Ma się rozumieć, nie z premedytacją. Po prostu ojciec powiedziałby małej, aby matce podała... no, na przykład napar z bukszpanu.

— *Nom d'un nom d'un nom!* — jęknął z rozpaczą Poirot.

— Niech będzie! — obruszyła się pani Oliver. — Teraz proszę powiedzieć swoje.

— Niestety nie mam nic do powiedzenia. Szukam morderstwa. Szukam i nie znajduję.

— Przecież Mary Restarick zachorowała, poszła do szpitala, poczuła się lepiej, a gdy wróciła do domu, zaczęła znów chorować. No i gdyby poszukać trochę, z pewnością znalazłby się arszenik lub coś podobnego, ukryty przez Normę.

— Tak się stało, *madame*, dokładnie tak się stało.

— Czegóż, u licha, więcej pan żąda?

— Żądam, aby pani zechciała zwrócić nieco uwagi na znaczenie słów. Norma Restarick powiedziała to samo mnie i mojemu służącemu. Nie mówiła, że usiłowała popełnić morderstwo czy też wyprawić na tamten świat swoją macochę. Mówiła o morderstwie niewątpliwie popełnionym. Posługiwała się czasem przeszłym.

— Kapituluję — odparła pani Oliver. — Przyjmuję do wiadomości, że nie wierzy pan, by Norma próbowała zabić swoją macochę.

— Nic podobnego! Uważam za wysoce prawdopodobne, że Norma mogła podejmować takie próby. Sądzę nawet, że stało się coś podobnego. Byłoby to psychologicznie uzasadnione wobec zakłócenia równowagi umysłowej tej dziewczyny. Ale nie udowodniono niczego i proszę nie zapominać, że każdy mógł ukryć arszenik między rzeczami Normy. Mógł to zrobić nawet mąż niedoszłej ofiary.

— A pan wciąż myśli, że to zazwyczaj mężowie mordują żony? — fuknęła autorka.

— Zazwyczaj mąż bywa najbardziej podejrzany — odrzekł Poirot — a więc jego osobę należy brać pod uwagę w pierwszej kolejności. W ogóle podejrzanych osób może być sporo. Mógł to być ktoś ze służby albo Norma, albo ta młoda dama do towarzystwa, albo sir Roderick Horsefield... Ba! Mogła to być sama Mary Restarick.

— Nonsens! Dlaczego ona?

— Mogła mieć swoje powody... Zapewne mocno naciągane, ale nie przekraczające granic możliwości.

— Słowo daję! Pan może podejrzewać wszystkich!

— Naturalnie! Tak zawsze postępuję. Najpierw podejrzewam. Później staram się znaleźć motyw.

— A jakim motywem mogłaby się kierować ta biedna mała cudzoziemka?

— Zależy to od odpowiedzi na szereg pytań. Co właściwie robi w tamtym domu? Po co przyjechała do Anglii? No i od wielu innych spraw.

— Myślę, że pan oszalał. Słowo daję!

— Mógłby to być również Dawid, którego pani przezwała pawiem.

— Mało prawdopodobne. On nie bywa u Restaricków. Nie pokazuje się w tamtym domu.

— Pokazuje się, pokazuje! — zaoponował Poirot. — Myszkował po korytarzach w dniu, kiedy ja tam byłem.

— Ale nie podrzucił trucizny do pokoju Normy.

— Skąd pani wie?

— Przecież Norma i ten okropny facet są w sobie bardzo zakochani.

— Na coś takiego wygląda. Przyznaję.

— Pan zawsze musi wszystko komplikować.

— Nic podobnego. Sprawy komplikują się same ku mojej udręce. Potrzebne mi są informacje, a udzielić ich może tylko jedna osoba: osoba, która zaginęła.

— Norma?

— Aha. Norma.

— Ona nie zaginęła. Odnaleźliśmy ją przecież: pan i ja.

— Tak. Ale wyszła z kawiarni i powtórnie przepadła.

— Pan pozwolił jej odejść — rzuciła pani Oliver tonem gorzkiej wymówki.

— Niestety!

— Pozwolił jej pan odejść. Nie szukał jej pan później.

— Nie powiedziałem, że nie szukałem jej później.

— Jak dotąd bez powodzenia — dorzuciła starsza dama. — Doprawdy, sprawił mi pan nie lada zawód.

— Istnieje tutaj jakiś schemat — podjął detektyw z niemal tragiczną nutą w głosie. — Istnieje schemat, ale nie ma w nim sensu, ponieważ brak jednego składnika. Rozumie pani, prawda?

— Nie! — rzuciła cierpko pani Oliver i poczuła, że głowa zaczyna znów ją boleć.

Poirot mówił dalej na użytek raczej własny niż słuchaczki — jeżeli wolno przyjąć, że pani Oliver słuchała. Była bardzo rozcieszona i oburzona. Przyznawała w duchu, że panna Restarick trafnie nazwała tego człowieka zbyt starym. Oto ona, Ariadna Oliver, odnalazła dlań zgubę, zatelefonowała, tak że Poirot mógł przybyć w porę, sama zaś ruszyła tropem drugiej osoby z tej pary. Normę pozostawiła jemu i cóż słynny detektyw uczynił? Pozwolił dziewczynie odejść! Właściwie od początku całej historii nie zrobił nic, co miałoby jakiś widoczny sens. Gorzko ją rozczarował i usłyszy to od niej, jak tylko skończy mówić.

Tymczasem Poirot chłodno i metodycznie szkicował to, co nazwał uprzednio “schematem”.

— Wszystko się zazębia — mówił — i dlatego właśnie jest piekielnie trudne. Coś pasuje do czegoś i nagle wynika jasno, że to coś ma również związek z inną sprawą, niezależną od schematu: na pozór niezależną, lecz również łączącą się z nim jakoś. W rezultacie coraz to więcej osób trafia do kręgu podejrzanych. Podejrzanych? O co? I znów nic nie wiadomo. Przede wszystkim chodzi o Normę. Z zawiłej gmatwaniny muszę wyłowić odpowiedź na zasadnicze pytanie: Czy ta mała jest ofiarą, czy zagraża jej niebezpieczeństwo? A może to osoba nad wyraz przebiegła, która celowo stwarza atmosferę potrzebną jej dla jakichś własnych celów? Obydwie hipotezy wydają się do przyjęcia. Potrzeba mi wskazówki, niezawodnej wskazówki. Ona musi gdzieś być, gdzieś blisko. To nie ulega wątpliwości.

Pani Oliver grzebała pilnie w swojej torebce.

— Nie wiem, u licha, czemu nie mogę nigdy znaleźć aspiryny, kiedy mi potrzebna — burczała gniewnie.

— Mamy rodzinę — rozprawiał dalej detektyw — ojca, córkę, macochę. Ich sprawy życiowe zazębiają się ściśle. Restarickowie mieszkają w domu starego wuja, trochę dzieciinniałego. Obok sir Rodericka znajduje się młoda cudzoziemka, Sonia, związana z nim, zatrudniona przez niego. Jest sympatyczna, pełna wdzięku. Nie ulega wątpliwości, że starszy pan ma do niej słabość, jest swoją sekretarką oczarowany. Jaką właściwie rolę odgrywa w jego domu ta dziewczyna?

— Pewno chce poduczyć się angielskiego? — wtrąciła pani Oliver.

— W Kew Gardens spotyka kogoś z ambasady swojego kraju. Spotyka, ale nie rozmawia z tym człowiekiem. Na ławce zostawia książkę, którą on zabiera i...

— A cóż to znowu za historia? — zainteresowała się.

— Czy to ma coś wspólnego z pierwotnym schematem? Chwilowo nie wiemy. Wniosek z pozoru mało prawdopodobny, ale nie pozbawiony sensu. Może Mary Restarick natknęła się przypadkiem na coś, co mogłoby być groźne dla Soni?

— Niechże mi pan nie wmawia, że to jakaś grubsza afera szpiegowska albo coś podobnego.

— Nic nie wmawiam pani. Zastanawiam się tylko.

— Sam pan powiedział, że stary sir Roderick jest trochę dziecięmiął.

— Nie w tym rzecz, jaki jest teraz. Podczas wojny zajmował stanowisko nie bez znaczenia. Ważne dokumenty trafiały do jego rąk. Mógł otrzymywać listy w poufnych sprawach i oczywiście miał prawo te listy także zatrzymać, zwłaszcza gdy sprawy przestały być poufne i straciły wagę.

— Mówi pan o wojnie, a to przecież zamierzchła przeszłość.

— Zgoda. Ale przeszłość nie zawsze bywa całkiem pogrzebana, jeżeli nawet jest zamierzchła. Powstają nowe sojusze. W publicznych wystąpieniach mężowie stanu wypierają się czegoś, coś podtrzymują, o czymś innym opowiadają przeróżne kłamstwa. Przypuśćmy, że istnieją dotąd jakieś listy lub dokumenty, w których świetle odmieniłby się wizerunek takiej czy innej osobistości na świeczniku. Proszę zrozumieć mnie właściwie. Ja nic nie twierdzę. Po prostu snuję rozważania w sposób, który usprawiedliwiają doświadczenia przeszłości. Kwestią pierwszorzędnej wagi mogłoby być zniszczenie podobnych papierów albo też przekazanie ich jakiemuś obcemu rządowi. A kto mógłby takie zadanie wypełnić lepiej niż urocza młoda pani, która pomaga byłemu dygnitarzowi przy gromadzeniu materiałów do wspomnień? Kto żyje, pisze dziś wspomnienia. Nie sposób zaradzić tej pladze. Przypuśćmy, że macocha podpatrzyła coś w dniu, kiedy solidna sekretarka czy też dama do towarzystwa wykonywała swoją robotę. Przypuśćmy, że to Sonia pokierowała biegiem wydarzeń tak, by podejrzenia padły na Normę.

— Pański sposób rozumowania nazwałabym zawitym — obruszyła się pani Oliver. — Wątpię, żeby mogły się wydarzyć podobnego rodzaju historie.

— W tym właśnie tkwi sedno sprawy! — zawołał Poirot. — Mamy zbyt wiele schematów. Który z nich odpowiada prawdzie? Norma wyprowadza się z domu, przenosi do Londynu. Zgodnie z informacjami, których mi pani dostarczyła, jest trzecią lokatorką w mieszkaniu zajmowanym przez dwie inne młode osoby. I stąd może wynikać pewien schemat. Na pozór współlokatorki są dla Normy obce. Czy istotnie? Claudia Reece–Holland jest osobistą sekretarką ojca panny Restarick. Mamy ogniwo łańcucha! Czy to zwykły zbieg okoliczności, czy też zapowiedź jakiegoś innego schematu? Ale nie na tym koniec. Dowiedziałem się od pani, że druga współlokatorka pozuje jako modelka i zna chłopca nazywanego przez panią Pawiem, w którym kocha się Norma. Jeszcze jedno ogniwo! Napotykamy ich i więcej. A co w tym wszystkim robi Dawid Baker: Paw, według pani nomenklatury? Czy jest zakochany w Normie? Na to wygląda. Rodzinie nie w smak ta historia, co wydaje się zrozumiałe i naturalne.

— To dziwne, że Claudia Reece–Holland jest sekretarką Restaricka — powiedziała pani Oliver. — Sądzę, że to dziewczyna wyjątkowo energiczna i zdolna. Może ona wypchnęła tamtą kobietę z okna na siódmym piętrze?

Poirot odwrócił się ku niej z wolna.

— Jaką kobietę? — zapytał. — O kim pani mówi?

— O osobie, która mieszkała w tamtych blokach. Nie znam nawet jej nazwiska. W każdym razie wypadła, a może rzuciła się z okna siódmego piętra i zginęła na miejscu.

— A pani nie powiedziała mi o tym? — rzucił detektyw surowym karcącym tonem.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi? — zdziwiła się pani Oliver.

— O co mi chodzi? Pytałem, czy nie wie pani czegoś o nagłej, gwałtownej śmierci. Rozumie pani? O śmierci! O to mi właśnie chodzi. Pani mówiła, że takiej śmierci nie było, i wciąż wracała pani do rzekomego usiłowania otrucia. A przecież śmierć była. Była śmierć w... Jak nazywają się te bloki?

— Borodene Mansions.

— Aha. Kiedy to się stało?

— Co? Aa... Tamto samobójstwo, jeżeli to było samobójstwo... Chyba mniej więcej tydzień przed moją pierwszą wizytą w Borodene Mansions.

— Pasuje! Skąd pani o tym wie?

— Powiedział mi mleczarz.

— Mleczarz! Dobry Boże!

— Bardzo rozmowny człowiek — podjęła starsza pani. — Żałosna historia, co? Wypadek zdarzył się w bardzo wczesnych godzinach rannych.

— Jak się tamta kobieta nazywała?

— Nie mam pojęcia. Nie przypominam sobie, by mleczarz wymienił nazwisko.

— Młoda była, w średnim wieku, stara? Pani Oliver zastanowiła się przez moment.

— Nic dokładnego nie powiedział — odparła wreszcie. — O ile sobie przypominam, wyraził się, że miała pięćdziesiątkę na karku.

— Ciekawa historia... Czy znały tę osobę nasze dziewczęta?

— Nie wiem. Nigdy nie rozmawiałam z nimi na ten temat. — I mnie nic pani nie powiedziała — westchnął Herkules Poirot.

— Nie rozumiem, proszę pana, co ta historia mogłaby mieć wspólnego z naszą sprawą? Chociaż, kto wie... Tyle, że nikt nie mówił o tym i chyba nic nie podejrzewał.

— Ależ tak! Tak! Mamy kolejne ogniwo. Norma mieszka w Borodene Mansions, gdzie pewnego

dnia ktoś popełnił samobójstwo... Bo, jak sądzić należy, śmierć tamtej osoby uznano powszechnie za samobójstwo. Jakaś kobieta wypadła lub rzuciła się z okna siódmego piętra i zginęła na miejscu. Co dalej, proszę pani? W kilka dni później, podczas zebrania towarzyskiego, Norma usłyszała pani powiastki na mój temat, a następnie zgłosiła się do mnie, aby wyznać, że prawdopodobnie popełniła morderstwo. Nie rozumie pani? Była nagła gwałtowna śmierć i w niewiele dni później Norma mówiła o morderstwie, które prawdopodobnie popełniła. Tak! To musiało być to morderstwo.

Pani Oliver omal nie powiedziała: “nonsens”. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, ale tak w każdym razie pomyślała.

— Oto mamy wiadomość, która dawniej nie dotarła do mnie — ciągnął Poirot. — Ona powinna łączyć cały schemat. Powinna, mówię pani, chociaż nie mam jeszcze pojęcia, w jaki sposób! Muszę się zastanowić. Tak! Muszę się zastanowić. Wrócę do domu i będę myślał, póki nie dopasuje się wszystko... To przecież szczegół, który spaja cały schemat, a w każdym razie... W każdym razie odnajdę właściwą drogę. *Adieu, chere madame!* — zawołał i powstawszy z fotel wyszedł szybko.

Pani Oliver doznała ulgi.

— Nonsens! Zupełny nonsens — powiedziała głośno do samej siebie i dodała tonem zastanowienia: — Myślę, że cztery aspiryny na raz to nie za duża dawka?

Koło Herkulesa Poirot stały ziółka naparzone dlań przez George'a. Od czasu do czasu pociągał łyk i medytował. Medytował w szczególny, właściwy mu sposób. Selekcjonował i dobierał myśli tak, jak selekcjonuje się 'i dobiera fragmenty łamigłówki obrazkowej. W stosownym czasie ułoży je, otrzyma przejrzysty, dorzeczny obraz. W danym momencie jednak sprawą istotną jest odpowiednia selekcja, dobór. Napił się ziółek, odstawił filiżankę, dłonie wsparł na poręczach fotela i począł przypominać sobie jedne po drugich fragmenty swojej łamigłówki. Starał się rozpoznawać je, porządkować... Fragmenty nieba... Fragmenty zielonego brzegu rzeki... A oto coś prążkowanego: być może fragment tygrysa...?

Jego stopy, obolałe w ciasnych lakierkach. Od tego zaczął. Spacer po drodze wskazanej mu przez wierną przyjaciółkę, Ariadnę Oliver. Macocha. Detektyw zobaczył siebie z ręką wspartą na furtce ogrodu. Kobieta zajęta podwiązywaniem dalii prostuje się, odwraca głowę, spogląda na niespodziewanego gościa. Co może mu to dać obecnie? Nic, absolutnie nic. Złocista głowa, jasna niby łan pszenicy. Głowa w lokach i puklach przypominających nieco kształtem fryzurę pani Oliver. Poirot uśmiechnął się mętnie. Cóż, uczesanie pani Restarick było staranne, nieporównanie staranniejsze niż uczesanie starszej damy. Pozłacana, może cokolwiek za szeroka rama dla ładnej twarzy. Mały Belg przypomniał sobie słowa sir Rodericka o peruce, którą Mary Restarick nosi z powodu dawno przebytej choroby. To przykra sprawa dla młodej osoby. Uprzytomnił sobie, że głowa tej młodej osoby wydaje się zbyt ciężka, zanadto statyczna, zbyt troskliwie uczesana. Przez chwilę zastanawiał się nad tą peruką — jeżeli rzeczywiście była to peruka, gdyż nie mógł polegać na zdaniu starego ramola. Medytował, jakie istotne dla sprawy okoliczności mogłyby stąd wynikać. Odświeżał w myśli rozmowę z tą kobietą. Czy padły wtedy jakieś ważne słowa? Zdawało mu się, że nie. Przypomniał sobie pokój, do którego weszli. Był pozbawiony cech indywidualnych — typowy pokój, w którym niedawno zamieszkało. Na ścianach dwa portrety. Wizerunek kobiety w jasno-popielatej sukni — kobiety o cienkich, mocno zaciśniętych wargach i siwiejących, kasztanowych włosach. Pierwsza pani Restarick sprawiała wrażenie osoby starszej od męża. Jego podobizna spoglądała ku żonie z przeciwległej ściany. Dobre portrety. Lansberger był znakomitym portrecistą. Myśli detektywa poczęły krążyć wokół męskiego portretu. W Crosshedges nie widział go tak dobrze, jak później podczas odwiedzin w biurze Restaricka...

Restarick i panna Reece-Holland. Czy jest coś między nimi? Coś więcej niż normalne kontakty szefa z sekretarką? Nic na to nie wskazuje. Restarick niedawno wrócił po latach do kraju, gdzie nie zastał nikogo — bliskich krewnych ani przyjaciół. Od początku zaniepokoił go i zdziwił charakter jego córki, jej sposób bycia. Cóż dziwnego, że zwrócił się do swojej nowej, godnej zaufania sekretarki z prośbą o radę w sprawie londyńskiego mieszkania dla Normy? Cóż dziwnego, że Claudia przez zwykłą uprzejmość powiedziała, że właśnie szuka trzeciej lokatorki... Trzecia lokatorka... Ten zwrot zapożyczony od Ariadny Oliver niepokoił detektywa, jak gdyby zawierał jakiś sens ukryty, lecz dotychczas jemu nie znany.

George wkroczył do gabinetu pracodawcy i dyskretnie zamknął za sobą drzwi.

— Przyszła młoda pani — oznajmił. — Raz już tu była. Poirot drgnął, wyprostował się w fotelu, gdyż słowa służącego zdawały się pasować zbyt dobrze do jego własnych myśli.

— Była tu w porze śniadania? — zapytał.

— Nie. Mówię o młodej pani, która przyszła po sir Rodericka Horsefielda.

— Aa... Rozumiem. Poproś ją zaraz. Gdzie jest teraz?

— Zaprowadziłem ją do pokoju panny Lemon.

— Dobrze. Poproś ją.

Sonia nie czekała na zaanonsowanie jej przez George'a. Do pokoju weszła przed nim, krokiem szybkim i stanowczym.

— Niełatwo było mi się wyrwać — rozpoczęła — ale przyszłam, bo musiałam powiedzieć panu, że tamtych papierów nie wzięłam. Ja nie jestem złodziejką. Rozumie pan?

— Czy ktoś panią tak nazwał? — zdziwił się mały Belg. — Zechce pani usiąść, *mademoiselle*?

— Nie zechcę. Mam czas wyliczony. Przyszłam tylko po to, by powiedzieć panu, że to nieprawda. Jestem bardzo uczciwa i robię tylko to, co mi się poleca.

— Rozumiem, do czego pani zmierza. Jest to dla mnie najzupełniej jasne. Ma to być oświadczenie, że z domu sir Rodericka Horsefielda nie wynosiła pani nigdy papierów, informacji, listów ani żadnych dokumentów. Nie mylę się, prawda?

— Słusznie się pan domyślił. I przyszłam tutaj, aby panu to oznajmić. On mi wierzy. On wie, że za nic nie zrobiłabym czegoś takiego.

— W porządku. Pani złożyła oświadczenie, a ja przyjąłem je do wiadomości.

— Spodziewa się pan odnaleźć tamte papiery?

— Chwilowo jestem zajęty innymi sprawami — odparł detektyw. — Dokumenty sir Rodericka muszą poczekać, aż przyjdzie na nie kolej.

— On martwi się i niepokoi. Bardzo niepokoi... Widzi pan, jest coś, czego jemu powiedzieć nie mogę, lecz panu powiem. On gubi różne rzeczy, chowa nie tam, gdzie powinny "się znajdować, ale w jakieś dziwne miejsca... Wiem, o co chodzi. Pan mnie podejrzewa. Wszyscy podejrzewają mnie tylko dlatego, że jestem cudzoziemką. Pochodzę z obcego kraju, a więc wszyscy wyobrażają sobie, że kradnę tajne papiery, jak to się dzieje w idiotycznych angielskich powieściach szpiegowskich. Ale ja nie jestem taka. Jestem intelektualistką.

— Aa... Miło mi to słyszeć — uśmiechnął się Poirot i dodał szybko: — Czy pragnie pani powiedzieć mi coś więcej?

— Ja? Dlaczego?

— Po prostu pytam.

— Jakie to inne sprawy, którymi jest pan chwilowo zajęty?

— Nie chciałbym zajmować nimi pani cennego czasu. Sądzę, że ma pani dziś wolny dzień, prawda?

— Tak. Przez jeden dzień w tygodniu mogę robić, co mi się podoba. Mogę przyjechać do Londynu, odwiedzić British Museum...

— Rozumiem... Albo wybrać się do Muzeum Wiktorii i Alberta.

— Oczywiście.

— Może też pani obejrzyć słynne obrazy w National Galery albo w pogodny dzień pójść do jednego z parków miejskich lub nawet do ogrodu botanicznego, Kew Gardens.

Dziewczyna zeszywniała. Rzuciła detektywowi złe, pytające spojrzenie.

— Skąd panu przyszedł na myśl ogród botaniczny?

— Ponieważ są tam bardzo ładne kwiaty, krzewy, drzewa. Koniecznie musi pani zwiedzić Kew Gardens. Wstęp prawie nic nie kosztuje: o ile dobrze pamiętam, pensa lub dwa. No i może pani oglądać tropikalną florę albo, dajmy na to, usiąść na ławce i poczytać książkę. — Detektyw uśmiechnął się rozbijając i z zainteresowaniem spostrzegł, że dziewczyna zeszywniała jeszcze bardziej. — Cóż, nie będę zabierał pani cennego czasu. Zapewne chciałaby pani odwiedzić znajomych... może w którejś z ambasad...

— Czemu pan o tym mówi?

— Tak sobie. Bez szczególnego powodu. Jest pani cudzoziemką, jak sama pani mówiła. Rzecz zrozumiała, że może pani mieć przyjaciół w ambasadzie swojego kraju.

— Ktoś panu głupstw naopowiadał. Ktoś mnie oczernił! Mówiłam przecież, że sir Roderick to pocieszny starowina, który wciąż coś gubi. To cały sekret! Nie ma żadnych wiadomości, żadnych tajnych dokumentów. Nie ma i nigdy nie miał.

— Bez zastanowienia mówi pani o nie znanych sobie sprawach. Czasy się zmieniają, *mademoiselle*. Sir Roderick Horsefield zajmował niegdyś wybitne stanowisko, znał wiele tajemnic niepośledniej wagi.

— Próbuje mnie pan straszyć?

— Nic podobnego. Nie posunąłbym się aż do tak melodramatycznego chwytu.

— Pani Restarick. Już wiem. Mary Restarick naopowiadała panu głupstw. Ona mnie nie lubi.

— Nic mi takiego nie mówiła.

— W każdym razie ja jej nie lubię. Kobieta takiego pokroju musi budzić nieufność. Podejrzewam, że właśnie ona ma swoje tajemnice.

— Czyżby, *mademoiselle*?

— Tak. Podejrzewam, że ma sekrety przed mężem, a do Londynu, czy licho wie dokąd, wyjeżdża, by spotykać się z mężczyznami... Albo przynajmniej, by spotykać się z jednym mężczyzną.

— Czyżby? — zdziwił się Poirot. — To bardzo, bardzo interesujące. Podejrzewa pani, że pani Restarick miewa spotkania z jakimś mężczyzną?

— Tak. Ona bardzo często wyjeżdża do Londynu i chyba nie zawsze przyznaje się do tego mężowi. Albo też mówi, że ma coś do załatwienia czy też jakieś sprawunki. Wykręt zawsze, się znajdzie, prawda? On jest zajęty w biurze, więc nie ma czasu myśleć o tym, co robi żona. A ona więcej czasu spędza w Londynie niż na wsi, chociaż podobno uwielbia pracę w ogrodzie.

— Nie wie pani przypadkiem, z jakim to mężczyzną miewa spotkania pani Restarick?

— Skąd mogłabym wiedzieć? Przecież jej nie śledzę. Pan Restarick to mąż mało podejrzliwy. Wierzy pewno we wszystko, co ona mu mówi. A może pochłaniają go sprawy firmy... no i kłopoty z córką.

— Słusznie. Andrew Restarick ma sporo kłopotów z córką — przyznał mały Belg. — Co pani wie o córce? Zna ją pani bliżej?

— Nie. Nie znam bliżej. Ale jeżeli zapyta mnie pan o zdanie, odpowiem krótko: to wariatka.

— Wariatka? Czemu pani tak sądzi?

— Czemu? Ta dziewczyna bredzi czasami albo miewa przywidzenia.

— Miewa przywidzenia?

— Aha. Wydaje jej się, że widzi rzeczy czy też ludzi, których nie ma w pobliżu. Chwilami jest gwałtownie podniecona, chwilami sprawia wrażenie, jak gdyby spała. Nie słyszy, co się do niej mówi, nie odpowiada na zadawane pytania. Myślę, że niektórym osobom życzy śmierci.

— Pani Restarick?

— I swojemu ojcu. Czasami spogląda na niego z wyraźną nienawiścią.

— Pewno dlatego, że obydwójce starają się nie dopuścić do małżeństwa z chłopcem, którego sobie wybrała?

— Aha. Nie życzą sobie tego małżeństwa. Oczywiście mają słuszość, ale ją doprowadza to do furii. Podejrzewam, że pewnego pięknego dnia Norma odbierze sobie życie — ciągnęła z pogodą Sonia. — Myślę, że nie popełni może takiego głupstwa, ale należy tego oczekiwać, gdy ktoś jest tak zakochany bez pamięci. No, czas już na mnie — dodała wzruszając ramionami.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pani Restarick nosi perukę?

— Perukę? Nie mam pojęcia. — Zastanawiała się przez chwilę. — Tak, to możliwe. Peruka jest wygodna w podróży i bardzo modna. Sama noszę czasami albo raczej nosiłam perukę. Zieloną! No, czas już na mnie — powtórzyła młoda cudzoziemka i szybko wyszła.

XVI

Następnego rana Herkules Poirot wstał od śniadania i przeszedł do pokoju panny Lemon.

— Mam dzisiaj moc roboty — powiedział. — Muszę zebrać informacje. Przygotowała pani grunt, prawda? Nawiązała właściwe kontakty?

— Oczywiście. Wszystko znajdzie pan tutaj — odparła sekretarka wręczając szefowi teczkę, której zawartość przejrzał pobieżnie i z aprobatą skinął głową.

— Na panią zawsze mogę liczyć — podjął. — *C'est fantastique!*

— Nic fantastycznego, proszę pana — rzuciła zwięźle panna Lemon. — Pan daje polecenia, ja ich przestrzegam. Rzecz naturalna.

— Nie taka znów naturalna. Często daję polecenia ludziom z gazowni, elektrowni, rzemieślnikom, którzy przychodzą reperować to i owo. I co? Czy oni tych poleceń przestrzegają? Zdarza się coś takiego, ale rzadko, bardzo rzadko — zakończył detektyw wychodząc do hallu, gdzie zwrócił się do George'a: — Podaj mi, proszę, trochę cieplejszy płaszcz. Zaczynają się jesienne chłody.

Ubrany już zajrzał do pokoju panny Lemon.

— Aha. Co pani myśli o młodej osobie, która była tu wczoraj?

Sekretarka znieruchomiała z palcami nad klawiaturą maszyny do pisania.

— Cudzoziemka — odrzekła krótko.

— Niewątpliwie — przyznał Poirot.

— Od razu widać, że cudzoziemka.

— Nic więcej nie powie pani na jej temat?

— Brak mi podstaw do wydania jakiegokolwiek sądu — odpowiedziała po namyśle sekretarka i dodała raczej niepewnie: — Robi wrażenie osoby wytrąconej z równowagi.

— Słusznie. Jest podejrzana o kradzież. Nie pieniędzy, lecz papierów swojego pracodawcy.

— Mój Boże! Czy to ważne papiery?

— Zapewne tak. Ale równie prawdopodobna jest hipoteza, że w ogóle nic nie zginęło.

— Aha... — bąknęła panna Lemon i zmierzyła szefa często mu rzucanym spojrzeniem, które

znaczyło, iż powinien odejść jak najprędzej, a jej pozwolić na przystąpienie do pracy z właściwym rozmachem. — Aha... Moim zdaniem najlepiej zatrudniać osoby, o których wiadomo, że są pewne, i kupować brytyjskie towary.

Mały Belg wyszedł, by pierwszą tego dnia wizytę złożyć w Borodene Mansions. Wziął taksówkę i kiedy wysiadł na dziedzińcu, ciekawie rozejrzał się dokoła. Po chwili ruszył w stronę portiera w liberii, który stał w drzwiach jednej z klatek schodowych i pogwizdywał jakąś smętną melodyjkę.

— Słucham, proszę pana? — zagadnął go portier.

— Czy mógłbym dowiedzieć się od pana o tragicznym wypadku, który zdarzył się tu niedawno? — zapytał.

— Jaki to tragiczny wypadek? Ja tam nic nie wiem.

— Lokatorka rzuciła się czy też, powiedzmy, wypadła z okna na którymś z górnych pięter i poniosła śmierć.

— Aa... O to chodzi. Ja tam nic nie wiem, bo jestem tutaj dopiero od tygodnia. Hej, Joe!

Drugi człowiek w liberii wyszedł z przeciwległego bloku i zbliżył się przecinając dziedziniec.

— Ty musisz coś wiedzieć o tej pani, która wypadła z okna na siódmym piętrze — zwrócił się doń portier. — Zdarzyło się to miesiąc temu, co?

— Niespełna miesiąc — odparł Joe, powolny starszy mężczyzna. — Nieprzyjemna historia.

— Zabiła się na miejscu? — Wtrącił Poirot.

— Tak.

— Jak się nazywała? Widzi pan, podejrzewam, że to mogła być moja krewna — wyjaśnił Poirot, który nie miał skrupułów wobec rozmijania się z prawdą.

— Krewna szanownego pana? Wyrazy współczucia... Nazywała się pani Charpentier.

— Mieszkała tu od dawna?

— Zaraz... Niech no sobie przypomnę... Rok, może półtora... Nie. To będzie raczej dwa lata. Zajmowała numer siedemdziesiąt sześć, na siódmym.

— Czy to najwyższe piętro?

— Tak, proszę pana.

Poirot nie dopytywał o dalsze szczegóły, wychodząc z założenia, że powinien wiedzieć coś niecoś o swojej krewnej.

— Musiało wyniknąć wiele zamieszania i oczywiście śledztwo — powiedział. — O jakiej porze zdarzył się ten wypadek?

— Tak między piątą a szóstą rano. Nic go nie zapowiadało, nic, proszę pana. Po prostu kobieta zleciała z góry na dół i tyle. Wcześniej było, ale tłum zebrał się w jednej chwili. Zaczął napierać na ogrodzenie. O, tam, proszę pana. Wie pan, jacy są ludzie.

— Naturalnie zjawiała się policja?

— Tak. Bardzo szybko. Był także doktor i karetka pogotowia, jak zwykle w podobnych razach — mówił Joe sennym tonem kogoś, kto miewa do czynienia z ludźmi skaczącymi z siódmego piętra co najmniej dwa albo trzy razy na miesiąc.

— Przypuszczam — podjął Poirot — że inni lokatorzy zbiegli na dół, gdy usłyszeli, co się stało?

— Mało kto, proszę pana, wyszedł z mieszkania. Na ulicy hałas, ruch, więc niewiele było słychać i lokatorzy przeważnie nie wiedzieli, że coś się stało. Ktoś mówił, że ta pani krzyknęła, jak spadała. Ale czy to można było usłyszeć? Wypadek zauważyli tylko przechodnie i zaczęli tłoczyć się przy ogrodzeniu, a inni nadbiegali, bo wiedzieli, że tamci się tłoczą. Wie pan, jak to bywa w takich razach.

Poirot zapewnił go, że wie, jak to bywa.

— Mieszkała sama? — zaczął znów tonem, w którym brzmiało ledwo uchwytnie pytanie.

— Aha... Sama...

— Myślę jednak, że miała przyjaciół wśród innych lokatorów.

Joe wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Może i miała. Czy ja wiem? W naszej restauracji nie widywałem jej nigdy z innymi lokatorami. Od czasu do czasu jadała obiad lub kolację ze znajomymi, ale nie stąd. Hm... Myślę, że z nikim z naszych lokatorów nie była bliżej. Jeżeli chce pan dowiedzieć się więcej o tej pani, najlepiej będzie pogadać z administratorem, panem McFarlane.

— O tym właśnie myślałem. Dziękuję panu.

— Administracja, proszę pana, mieści się w tamtym bloku, na parterze. Na drzwiach zobaczy pan szyldzik.

Zmierzając we wskazanym kierunku Poirot dobył z teczki list włożony tam przez pannę Lemon, a opatrzony adresem: "Pan McFarlane". Administrator okazał się postawnym, czterdziestokilkuletnim mężczyzną o bystrym spojrzeniu. Podany mu przez detektywa list otworzył i przebiegł wzrokiem.

— Aa... Rozumiem — powiedział. — Rozumiem. — Położył list na biurku i spojrzał na gościa. — Właściciele domu polecają, abym udzielił panu wszelkich możliwych informacji w sprawie

tragicznej śmierci pani Luizy Charpentier. Służę. Czego dokładnie chciałby się pan dowiedzieć?

— Ma się rozumieć, sprawa jest ściśle poufna — odparł Poirot. — Policja i adwokat nieboszczki nawiązali kontakt z jej rodziną. To oczywiste. Ale, widzi pan, wybierałem się właśnie do Anglii, więc rodzina poleciła mi zebranie trochę bardziej osobistych informacji. To przykra sprawa mieć jedynie oficjalne raporty.

— Tak... Zapewne — przyznał administrator. — Chętnie powiem panu o wszystkim, co mi wiadomo.

— Ile czasu mieszkała tutaj pani Charpentier i jak trafiła do Borodene Mansions?

— Mieszkała tutaj... mógłbym to sprawdzić dokładnie... około dwu lat. Zwalniał się u nas lokal, a pani, która go opuszczała, znajoma pani Charpentier, zapewne powiedziała jej o tym. To była pani Wilder, zatrudniona w BBC. Przez pewien czas mieszkała w Londynie, ale wybierała się do Kanady. Bardzo sympatyczna lokatorka. Myślę, że nie znała bliżej pani Charpentier, a o zamierzonej wyprawie wspomniała mimochodem. Pani Charpentier spodobał się apartament.

— Czy także okazała się sympatyczną lokatorką? — zapytał Poirot.

— Tak... Nienajgorszą — odrzekł McFarlane, jak gdyby z pewnym wahaniem.

— Ze mną może pan rozmawiać śmiało — podchwycił mały Belg. — Bywały tam huczne przyjęcia, trochę... powiedzmy... za wesołe, prawda?

Administrator stał się mniej dyskretny.

— Cóż, od czasu do czasu otrzymywałem skargi... przeważnie od osób w starszym wieku — powiedział i dodał, gdy Poirot rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie. — Lubiła popić, rozumie pan. I towarzystwo dobierała sobie też takie. Od czasu do czasu miewałem z nią kłopoty.

— No i lubiła mężczyzn, prawda?

— Nie posunąłbym się aż do takiego sformułowania.

— Rzecz oczywista. Ale i słabość do mężczyzn można zrozumieć, prawda?

— Zapewne... Pani Charpentier nie była pierwszej młodości.

— Pozory często mylą. Hę mogła mieć lat? Jak pan sądzi?

— Trudno powiedzieć... Czterdzieści... Czterdzieści pięć — odparł administrator i dodał po chwili: — Ostatnio nie dopisywało jej zdrowie.

— Aha... O tym słyszałem.

— Piła za dużo. To niewątpliwe. No i zaczęła odczuwać stany depresyjne, histeryzować, bojąc się

o swoje zdrowie. Nieustannie chodziła do lekarzy i nie wierzyła w to, co jej mówili. Coś podobnego często zdarza się paniom... szczególnie paniom w pewnym wieku. Pani Charpentier wbiła sobie do głowy, że musi mieć raka. Była o tym przekonana i nie ufała zapewnieniom, że jest zdrowa. Podczas śledztwa jej lekarz zeznał, że nieboszczce nic nie dolegało. Cóż, o podobnych historiach słyszy się co dzień. Załamanie nerwowe pogłębia się i wreszcie, pewnego dnia... — pan McFarlane rozłożył ręce wymownym gestem.

— Smutna historia — westchnął detektyw. — Czy nieboszczka miała bliskich znajomych pośród lokatorów Borodene Mansions?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nasz dom, proszę pana, nie sprzyja zażyłym stosunkom towarzyskim. Mieszkają tu przeważnie ludzie zapracowani: handlowcy, urzędnicy.

— Miałem na myśli pannę Claudię Reece–Holland. Ciekaw jestem, czy one się znały?

— Pani Charpentier i panna Reece–Holland? Nie... Nie sądzę. To znaczy, znały się na pewno w tym sensie, że rozmawiały przy spotkaniach na przykład w windzie. Ale nie mogły utrzymywać bliższych kontaktów. Przecież to inne pokolenie... Inne pokolenie — powtórzył pan McFarlane z zakłopotaniem, które zdziwiło nieco małego Belga.

— Jedną ze współlokatorek panny Reece–Holland, panna Norma Restarick, była, zdaje się, znajomą nieboszczki?

— Czyżby? Nic mi o tym nie wiadomo. Panna Restarick wprowadziła się bardzo niedawno. Znam ją ledwie z widzenia. Robi wrażenie młodej osoby niezbyt pewnej siebie, która niedawno pożegnała szkołę. Czym więcej mógłbym panu służyć?

— Dziękuję. To byłoby wszystko... Chyba, że mógłby mi pan pokazać mieszkanie nieboszczki, abym był w stanie opowiedzieć... — Poirot urwał nie precyzując, co właściwie i komu chciałby opowiedzieć.

— Momencik... Obecnie lokal zajmuje pan Travers. Całe dni spędza w City. Tak. Możemy tam pójść, jeżeli pan sobie życzy.

Windą pojechali na siódme piętro, gdzie administrator wsunął klucz do zamka właściwych drzwi. W tym momencie jedna z cyfr oznaczających numer mieszkania odpadła i omal nie trafiła w lakierok małego Belga. Poirot uskoczył zwinnie, następnie zaś podniósł metalową cyfrę i jej bolce osadził starannie na dawnym miejscu.

— Słabo trzymają się te numery — powiedział.

— Aha. Stokrotnie przepraszam. Zaraz wydam stosowne polecenie. To już zdarza się nie pierwszy raz. No, jesteśmy u celu.

Poirot wszedł do bawialni pozbawionej cech indywidualnych. Tapety imitowały surowe drewno. Meble były wygodne i standardowe. O lokatorze świadczyły jedynie nieliczne książki oraz telewizor.

— Wszystkie apartamenty są, jak pan widzi, częściowo umeblowane — podjął administrator. — Lokatorzy nie muszą sprowadzać własnych mebli, chyba że życzą sobie tego. Pod każdym względem zaspokajamy potrzeby naszej klienteli.

— Czy dekoracje są wszędzie takie same? — zapytał mały Belg.

— Niezupełnie. Na ogół odpowiadają lokatorom tapety imitujące surowe drewno. Stanowią dobre tło dla obrazków. Apartamenty różnią się tylko ścianą naprzeciw drzwi. Posiadamy bogaty asortyment fresków. Nasz komplet liczy dziesięć odmian — ciągnął z dumą pan McFarlane. — Tutaj mamy malowidło w japońskim stylu. Wysoce artystyczne, prawda? Jest również ogród angielski, bardzo efektowna kompozycja ptaków, las, arlekin, a także oryginalne abstrakcyjne figury geometryczne w kontrastowych barwach. Są to dzieła wybitnych malarzy. Natomiast meble różnią się jedynie kolorem obić. No i, rzecz zrozumiała, lokatorzy mogą wprowadzać własne rzeczy. Ale zwykle nie robią tego.

— Przeważnie nie są domatorami, prawda? — wtrącił detektyw.

— W większości przypadków. To raczej przelotne ptaki, ludzie zapracowani, którzy chcą mieć wygody, solidne meble i wszelkie udogodnienia, lecz o dekorację wewnątrz nie dbają. Chociaż mamy paru pomysłowych majsterkowiczów, z naszego punktu widzenia bardzo niepożądanych. W kontrakcie musieliśmy zamieścić klauzulę, która zobowiązuje lokatora do przywrócenia pierwotnego stanu apartamentu lub też pokrycia związanych z tym kosztów.

Rozmowa odbiegła daleko od tragicznego zgonu pani Charpentier. Poirot podszedł do okna.

— Stąd? — zapytał cicho.

— Tak. Z okna po lewej stronie.

Mały Belg spojrzał w dół.

— Siedem pięter — powiedział. — Daleka droga.

— Tak. Na szczęście śmierć nastąpiła momentalnie. Być może, był to wypadek...

— Chyba nie mówi pan poważnie. To musiało być celowe.

— Cóż — podjął administrator — człowiek rad szuka mniej bolesnych rozwiązań. Myślę, że nieboszczka nie była w życiu szczęśliwa...

— Bardzo dziękuję. Był pan dla mnie nad wyraz uprzejmy — powiedział detektyw. — Jej krewnym we Francji będę mógł teraz naświetlić właściwie sytuację.

Niestety sam nie miał jasnego obrazu tych wydarzeń. Jak dotąd nic nie zdawało się świadczyć, aby gwałtowna śmierć Luizy Charpentier mogła mieć istotną wagę. Luiza... Poirot powtarzał w myśli to imię. Coś mu przypomina. Dlaczego? Niepewnie pokręcił głową, jeszcze raz podziękował sympatycznemu rozmówcy i wyszedł.

XVII

Nadinspektor Neele siedział za biurkiem. Minę miał urzędową, nad wyraz godną. Małego Belga powitał uprzejmie i gestem ręki wskazał mu krzesło. Kiedy jednak wyszedł z gabinetu młody człowiek, który wprowadził tam gościa, nadinspektor odmienił się nagle.

— No i co, stary koniu? — zapytał. — Czego znów szukasz?

— O tym już ci wiadomo — powiedział Poirot.

— Aha... tak. Widzisz, kazałem przeszukać to i owo, ale nie wiem, czy coś pożądanego będzie w tej norce.

— W norce? Dlaczego w norce?

— Bo ty, stary, jesteś jak łowny kocur, który siedzi cierpliwie nad norką i oczekuje myszy. Tyle że na mój rozum mysz nie wyskoczy z tej właśnie norki. Kapujesz? Nie twierdzę, że nie uda ci się wygrzebać jakiejś podejrzananej transakcji. Nic podobnego! Dobrze znamy finansistów i ich brzydko pachnące interesy: rozmaite koncesje górnicze, manipulacje z naftą, takie rzeczy. Ale spółka Joshua Restarick ma dobrą reputację. To firma rodzinna, rozumiesz? Albo raczej była rodzinna, bo obecnie trudno ją tak nazwać. Simon Restarick zmarł bezpotomnie, a jego brat, Andrew, ma tylko jedną córkę. Była też stara ciotka z macierzystej strony. Norma zamieszkała u niej po śmierci matki, kiedy skończyła szkołę. Jakieś pół roku temu ciotka umarła na wylew w mózgu. Podejrzewam, że miała nieszkodliwego bzika. Należała do kilku bardzo dziwacznych stowarzyszeń religijnych. Nic podejrzanego. Simon Restarick był typem przeciętnego handlowca. Kapujesz? Facet zdolny, ale bez polotu. Jego żonę pochłaniało życie towarzyskie i dobroczynność. Pobrali się stosunkowo późno.

— A jego brat, Andrew? — zapytał mały Belg.

— Andrew robi wrażenie niespokojnego ducha, urodzonego wędrowca. Ale nie ma nic konkretnego przeciwko niemu. Nigdzie nie zagrzebał dłuższej miejsca. Dużo podróżował. Był w Afryce Południowej, Ameryce Południowej, Kenii, w wielu innych krajach. Brat nieraz zachęcał go do powrotu, ale on się wzbraniał. Nie odpowiadał mu Londyn ani tutejszy świat interesów, choć niewątpliwie miał rodzinną żyłkę do robienia pieniędzy. Interesowały go koncesje górnicze, takie rzeczy. Nigdy nie występował w roli łowcy słoni, archeologa, plantatora. Robił interesy i to interesy, z reguły korzystne.

— A więc to typ w pewnym sensie przeciętny — wtrącił Poirot.

— Na to wygląda. Nie wiem, dlaczego zdecydował się wrócić do Anglii po śmierci brata. Może skłoniła go nowa żona, bo ożenił się powtórnie z ładną kobietą, znacznie od siebie młodszą. Obecnie Restarickowie mieszkają u starego Rodericka Horsefielda, którego siostra wyszła niegdyś za stryja Andrew Restaricka. Sądzę, że jest to sytuacja przejściowa. No i co? Usłyszałeś ode mnie coś

nowego? Czy też są to znane ci historie?

— Przeważnie znane — odparł detektyw. — Czy w rodzinie nie było chorób umysłowych?

— Chyba nie, z wyjątkiem nieszkodliwej manii religijnej ciotki, o której już mówiłem. Ale to nic nadzwyczajnego w przypadku starszej pani żyjącej samotnie.

— A zatem możesz mi powiedzieć tylko tyle, że Restarickowie mają huk pieniędzy?

— Właśnie. Huk pieniędzy — potwierdził nadinspektor. — I zwróć uwagę, są to pieniądze zdobyte uczciwie. Część z nich Andrew Restarick wniósł do firmy w postaci aktywów południowo — afrykańskich, terenów i koncesji górniczych. Realizacja tych wartości lub odpowiednie ich wykorzystanie musi przynieść naprawdę bardzo wielkie sumy.

— A kto te sumy odziedziczy? — zapytał Poirot.

— To będzie zależało od dyspozycji testamentowych Restaricka. Ma pod tym względem wolną rękę. Ale, otwarcie mówiąc, nie widzę spadkobierców, prócz żony i córki.

— Innymi słowy, obydwu paniom wolno żywić nadzieję, że kiedyś odziedziczą pokaźny majątek?

— Niewątpliwie. Chociaż testament może zawierać różne klauzule powiernicze, jak to najczęściej bywa w rodzinach związanych z City.

— Jak ci się zdaje, nie ma innej kobiety, którą interesowałby się Restarick?

— Nic na ten temat nie wiem... Hm... Nie sędzę. Przecież on ma młodą, bardzo ładną żonę.

— O tym wszystkim mógłby się łatwo dowiedzieć jakiś młody człowiek — wtrącił mały Belg tonem zastanowienia.

— I ożenić się z córką, co? — podchwycił Neele. — Nic nie mogłoby stanąć temu na przeszkodzie, chociażby nawet córka znalazła się pod opieką sądu. Ma się rozumieć, ojciec miałby prawo wydziedziczyć ją w takim przypadku, gdyby zechciał.

Poirot zerknął na pedantycznie napisaną kartkę, którą trzymał w palcach.

— Co możesz mi powiedzieć o galerii sztuki Wedderburn?

— A skąd ci to przyszło do głowy? Czy jakiś klient zwrócił się do ciebie w sprawie fałszerstwa obrazów?

— Czy ta galeria handluje falsyfikatami?

— Nikt nie handluje falsyfikatami — odparł tonem przygany nadinspektor. — Raz miała tam miejsce dosyć niemiła historia. W Londynie pojawił się pewien milioner z Teksasu. Kupował obrazy i płacił horrendalne ceny. Panowie z galerii sztuki Wedderburn sprzedali mu jednego Renoira i

jednego Van Gogha. Renoir — małych rozmiarów główka dziewczęca — wywołał trochę zamieszania. Nie było podstaw, by twierdzić, że galeria sztuki nie kupiła go z solidnego źródła i w absolutnie dobrej wierze. Ale wynikło dochodzenie. Liczni eksperci badali obraz i wyrażali swe opinie. W rezultacie, jak to najczęściej bywa w takich razach, wszyscy wszystkiemu przeczyli. Galeria zaproponowała zwrot obrazu, ale milioner postanowił go zatrzymać, ponieważ najbardziej wówczas modny rzeczoznawca wyraził pogląd, że to dzieło oryginalne. Tak czy inaczej galeria Wedderburn uchodzi od tej pory za przedsiębiorstwo cokolwiek podejrzane.

Poirot zerknął znów na swoje notatki.

— A Dawid Baker? Przewentylowałeś go dla mnie?

— To facet, jakich wielu. Nic osobliwego. Tacy wałęsają się gromadnie, urządzają awantury w nocnych lokalach. Wesołe towarzystwo, alkohol, narkotyki... Dziewczęta szaleją za nimi... Baker należy do chłopców, nad którymi młode osoby lamentują. Mówią, że miał piekielnie trudne życie i jest geniuszem. Jego malarstwo jest na ogół niedoceniane, a jeżeli mnie zapytasz, odpowiem, że w grę wchodzi tylko seks, stary poczciwy seks.

Mały Belg jeszcze raz spojrzął na kartkę, którą trzymał w palcach.

— Co ci wiadomo o panu Reece–Holland, deputowanym do parlamentu?

— Politycznie ustawiony bez zarzutu. Ma nosa do interesów. Mówiono o jakichś niezupełnie czystych transakcjach giełdowych, ale facet gładko wywinął się z tarapatów. Spryciarz. Zrobił grube pieniądze w sposób nie zawsze najuczciwszy.

— A sir Roderick Horsefield? — zapytał detektyw zgodnie z ostatnią pozycją swojej notatki.

— Sympatyczny dziadzio, chociaż trochę zdiecinniały. Ale ty, Poirot, masz nosa! Wszystko musisz zwietrzyć! Wydział Polityczny miał z nim trochę kłopotu. Nic szczególnie szkodliwego. Widzisz, wszyscy starsi panowie, wojskowi i cywilni, dostają teraz fioła na temat pisania wspomnień. Robią to jeden przez drugiego, a każdemu zależy, by w miarę możliwości i na własną modłę wykorzystywać niedyskrecje innych. Zazwyczaj są to historie bez znaczenia, czasami jednak... Rozumiesz? Zmienia się polityka rządu... W pewnych przypadkach nieporęcznie budzić podejrzenia albo coś rozgłaszać... Niekiedy chodzi o przyciszenie starsuszków... Ale tymi sprawami trudni się Wydział Polityczny, więc po bardziej szczegółowe informacje należałoby tam się zgłosić. Główne zmartwienie polega na tym, że starsi panowie nie niszczą papierów. Skąd znowu! Przechowują je masowo. W interesującym cię przypadku nie było istotnych kłopotów, lecz bądź co bądź mamy dowody, że pewne obce mocarstwo pilnie wietrzy.

Poirot westchnął ciężko.

— Niewiele ci pomogłem, co? — zapytał nadinspektor.

— Zadowolony jestem, że uzyskałem autorytatywne informacje z oficjalnego źródła. Ale, otwarcie mówiąc, niewiele mi pomogło to, co usłyszałem od ciebie — westchnął raz jeszcze i dodał

nieoczekiwanie: — O czym byś w pierwszym momencie pomyślał, gdyby ktoś powiedział ci od niechcenia, że kobieta, młoda przystojna kobieta nosi perukę?

— O niczym bym nie pomyślał — odparł dość szorstko Neele. — Cóż dziwnego? Moja żona nosi perukę, ilekroć jesteśmy w podróży. Peruka zapobiega wielu kłopotom.

— Bardzo przepraszam — bąknął mały Belg.

Zanim się pożegnali, nadinspektor poruszył jeszcze jedną sprawę.

— Mam nadzieję, że otrzymałeś szczegóły dotyczące samobójstwa w tamtych blokach? Prosiłeś o informacje i w swoim czasie poleciłem ci je wysłać.

— Dziękuję. Otrzymałem zestawienie faktów: suche, rzeczowe sprawozdanie.

— Coś, co mówiłeś przed chwilą, skojarzyło mi się z tamtą historią. Zaraz sobie przypomnę... Wydarzenie było z pewnością smutne, lecz wcale nie wyjątkowe. Wesoła kobieta interesująca się mężczyznami, miała dosyć pieniędzy i brakło jej istotnych powodów do zmartwień, ale piła za dużo i staczała się coraz niżej. Ostatecznie zaczęła dostawać bzika na punkcie własnego zdrowia. Wiesz, jak to bywa. Takie panie wmawiają sobie, że mają na przykład raka. Zasięgają porady lekarskiej, a kiedy usłyszą, że nic im nie dolega, wracają do domu i lekarzowi nie wierzą. Według mnie powód jest zawsze jeden. Takie panie stwierdzają, że są coraz mniej pociągające dla mężczyzn i wpadają w depresję. Coś podobnego zdarza się ustawicznie biednym, starzejącym się, samotnym kobietom. Taka musiała być pani Charpentier. Wydaje mi się... — Neele urwał raptownie. — Mam! Przypomniałem sobie! Pytałeś o pana Reece–Holland, deputowanego do parlamentu. To też jegomość ogólnie mówiąc wesolutki. W każdym razie Luiza Charpentier była w swoim czasie jego kochanką. Interesujące, co?

— Czy to był związek na serio?

— Chyba nie. Chodzili razem do kilku lekko podejrzanych klubów. Rozumiesz? Takie sprawy mamy dyskretnie na oku. Ale nie dowiedzieliśmy się nigdy o żadnym skandalu. Prasa nic o nich nie pisała.

— Rozumiem.

— Romans trwał dosyć długo. Widywali się co najmniej przez pół roku, nie sędzę jednak, by ona była wtedy jedna i by on był jeden. Chyba ta wiadomość niewiele ci pomoże?

— Tak... niewiele mi pomoże — przyznał Poirot.

Na schodach myślał, że to mimo wszystko ogniwo, które wyjaśnia chociażby zakłopotanie administratora Borodene Mansions. Nikłe ogniwo łączące pana Reece–Holland, deputowanego do parlamentu, z panią Charpentier. Najprawdopodobniej nie ma istotnego znaczenia. Skąd by miało mieć?

A przecież...

— Wiem za dużo — mamrotał gniewnie detektyw. — Stanowczo za dużo! Wiem coś niecoś o wszystkim i o wszystkich, ale nie mogę zbudować schematu. Lekko licząc, połowa znanych mi faktów nie ma najmniejszego znaczenia. Potrzebny mi schemat. Schemat. Królestwo za schemat! — powiedział na głos.

— Słucham, proszę pana? — zwrócił się doń zdumiony windziarz.

— Co? Ja nic nie mówiłem.

XVIII

Poirot przystanął przy drzwiach galerii sztuki Wedderburn, aby popatrzeć na obraz przedstawiający trzy krowy o dziwacznie wydłużonych tułowjach na tle zawilego deseni wiatraków. Krowy nie pasowały do wiatraków, wiatraki do krów, a osobliwie purpurowy koloryt nie harmonizował z niczym.

— Interesujące, prawda? — dobiegł go przytłumiony aksamitny głos.

Obok detektywa stał mężczyzna w średnim wieku. Uśmiechał się i przy sposobności demonstrował przesadną na pozór ilość olśniewająco białych, pięknych zębów.

— Zadziwiająca świeżość.

Mężczyzna miał pulchne, białe dłonie i gestykułował nimi tak, jak gdyby kreślił arabeski.

— W zeszłym tygodniu — ciągnął — zamknęliśmy wystawę Clevera. Przedwczoraj było otwarcie wystawy dzieł Claude'a Raphaela. Dobrze się zapowiada, bardzo dobrze.

— Aha — powiedział mały Belg i został wprowadzony do długiego pokoju za kotarą z popielatego welwetu.

Od czasu do czasu zdobywał się na nieokreślone, ostrożne uwagi, a zażywny jegomość wiódł go w pewnym sensie za rękę. Niewątpliwie był zdania, że tego kogoś nie należy spłoszyć. Miał rozległe doświadczenie w sztuce sprzedawania. Z miejsca dawał do zrozumienia, że klient będzie mile widziany w galerii przez cały dzień, jeżeli nawet nic ostatecznie nie kupi. Niech sobie chodzi, niech patrzy na uroczę malowidła, których z początku mógł wcale nie uważać za uroczę. Ale nim zdąży wyjść, nabierze przekonania, że "uroczę" to przymiotnik najstosowniejszy w danym wypadku. Otrzyma nieco fachowych, artystycznych wskazówek, zaryzykuje parę uwag z normalnego repertuaru dyletanta. Powie na przykład: "Osobiście odpowiada mi to płótno", na co pan Boscombe wystąpi z taką ośmielającą tyradą:

"Interesujące, doprawdy interesujące, że był pan łaskaw wyrazić takie zdanie. Świadczy ono, że się tak wyrażę, o nieprzeciętnej wrażliwości artystycznej. To niecodzienna reakcja, bynajmniej niecodzienna. Ludzie na ogół wolą coś bardziej wyrazistego, rzucającego się w oczy, coś w takim stylu... — szerokim gestem wskaże obraz ozdobiony w narożniku kompozycją zielonych i błękitnych pasów. — Tak... Ale pan od razu zauważył rzecz naprawdę wartościową. Powiedziałbym, wyrażając oczywiście tylko moją prywatną opinię, iż jest to jedno z najlepszych dzieł Raphaela, być może jego arcydzieło".

Poirot i pan Boscombe stali z głowami pochylonymi w bok i patrzyli na pomarańczowy, ukośny romb, z którego dwoje ludzkich oczu zwisało na czymś przypominającym nieć pajęczą. Nawiazali już przyjazny kontakt, a że czasu nie brakowało, więc mały Belg zaryzykował pytanie:

— Słyszałem, że u pana pracuje panna Frances Cary. Nie mylę się, prawda?

— Frances. Tak. Dziewczyna z głową na karku. Zna się na sztuce i sama ma wybitne zdolności artystyczne. Niedawno wróciła z Portugalii, gdzie organizowała naszą wystawę. Odniosła wielki sukces. Jest dobrą malarką, ale brak jej, rozumie pan, rozmachu twórczego. Sprawy handlowe to, powiedziałbym, najmocniejsza strona Frances. Myślę, że sama zdaje sobie z tego sprawę.

— Podobno jest dobrą protektorką młodych artystów.

— O tak! Żywo interesuje się młodzieżą. Wyszukuje i popiera prawdziwe talenty. Ubiegłej jesieni skłoniła mnie do zorganizowania wystawy kilku początkujących malarzy. Udało się to w skromnym, rozumie pan, zakresie. Nawet prasa zwróciła uwagę na naszą imprezę. Ma się rozumieć, Frances ma swoich protegowanych.

— Nie zdziwi się pan chyba, kiedy powiem, że jestem trochę staroświecki. Niektórzy dzisiejsi młodzi ludzie to... *vraiment!* — Poirot rozpostarł ręce.

— Ach, nie należy sądzić ich z pozorów — odparł wyrozumiale pan Boscombe. — Moda, łaskawy panie, tylko moda. Brody, dżinsy, kamizelki z brokatu, długie włosy... To wszystko minie.

— Mówiono mi o jakimś Dawidzie... Nie pamiętam nazwiska. Podobno panna Cary ma o nim wysokie mniemanie.

— Hm... To nie może być Peter Cardiff, jej aktualny protegowany. Osobiście, proszę pana, wierzę w jego talent mniej niezachwianie niż ona. Peter jest nie tyle awangardowy, ile zdecydowanie zacofany, powiedziałbym reakcyjny. Niekiedy do złudzenia przypomina Burne-Jonesa. Ale co to wiadomo z młodymi artystami? Różnie bywa. Frances pozuje mu czasami jako modelka.

— Przypomniałem sobie! Dawid Baker! — wykrzyknął detektyw.

— Niezły, wcale niezły — odrzekł pan Boscombe bez szczególnego entuzjazmu. — Moim zdaniem brak mu oryginalności. Należał do grupy początkujących malarzy, o których dopiero co mówiłem, ale nie wywarł szczególnego wrażenia. Dobry fachowiec, ale nie zadziwiający. Posiada raczej skłonności do naśladownictwa.

Kiedy Poirot znalazł się w domu, panna Lemon podsunęła mu korespondencję i poczekawszy aż podpisze, wyszła z pokoju. George miał trochę współczującą minę, gdy podawał pracodawcy *omelette fines herbes* z dodatkami. Po obiedzie detektyw zasiadł w ulubionym fotelu nad filiżanką kawy. W tym momencie zadzwonił telefon.

— Pani Oliver, proszę pana — oznajmił George ustawiając aparat w dogodnej pozycji.

Poirot niechętnie sięgnął po słuchawkę. Nie nęciła go ta rozmowa. Przeczynał, że dawna znajoma będzie nakłaniać go do czegoś, na co wcale nie miał ochoty.

— Monsieur Poirot?

— Tak. Słuchani.

— No i co pan robi? Co pan już zrobił?

— Siedzę obecnie w fotelu — odrzekł i dodał szybko: — Myślę.

— Nic więcej? — obruszyła się.

— Myślenie to sprawa nad wyraz istotna. Ale jak dotąd nie jestem w stanie przewidzieć, czy osiągnę sukces w tym zakresie.

— Musi pan przecież znaleźć tę małą. Z pewnością ktoś ją uprowadził.

— Na to wygląda — przyznał Poirot. — Nawiasem mówiąc, popołudniową pocztą nadszedł list od jej ojca. Pan Restarick prosi, abym się zgłosił i zdał sprawę z postępów, jakie uczyniłem.

— A uczynił pan postępy, co?

— Jak dotąd żadnych — odparł niemrawo mały Belg.

— Słowo daję! Musi pan wziąć się w garść!

— Pani również.

— Jak to, ja również?

— Musi pani wziąć się w garść i popędzać mnie z mniejszą energią.

— Czemu nie wybrał się pan do Chelsea, gdzie dostałam po głowie?

— Aby też dostać po głowie?

— Zupełnie pana nie pojmuję! Ja naprowadziłam pana na właściwy trop. Ja znalazłam tę małą w kawiarni. Sam pan przyznał, że to cenna przysługa.

— Tak. Wiem, wiem.

— A pan ją zgubił.

— Tak. Wiem, wiem.

— Na, a kobieta, która wyskoczyła z okna? Wycisnął pan coś z tego?

— Aha. Dowiedziałem się, ile było można.

— I co?

— Nic. Kobieta nie różniła się od wielu innych. Takie osoby są interesujące, póki młode,

romansują na prawo i lewo, wyżywają się jak mogą. Z czasem stają się mniej interesujące, są nieszczęśliwe, piją za dużo, wmawiają sobie raka lub jakąś inną nieuleczalną chorobę i ostatecznie samotne, zdesperowane rzucają się na bruk z okna.

— Mówił pan przecież, że ta śmierć jest ważna, że o czymś świadczy — natarła znowu pani Oliver.

— Bo tak być powinno.

— Słowo daję! — zawołała i nie doczekawszy się odpowiedzi przerwała połączenie.

Poirot odchylił się jak najdalej do tyłu, na tyle, na ile pozwalało proste oparcie fotela. Gestem polecił, by George sprzątnął dzbanek z kawą oraz telefon, i w skupieniu począł medytować o sprawach wiadomych sobie i niewiadomych. Aby uporządkować myśli, począł mówić głośno i powtarzać trzy filozoficzne pytania:

— Co wiem? Na co mogę liczyć? Co powinienem robić?

Nie był pewien, czy pytania umieścił w odpowiedniej kolejności. Nie był pewien, czy brzmienie ich winno być akurat takie. Bądź co bądź jednak obrał je za podstawę swoich rozważań.

— Może jestem za stary — stwierdził Poirot, coraz bardziej zniechęcony i zrozpaczony. — Co wiem?

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, iż bez wątpienia wie za dużo, i nad pytaniem ostatnim postanowił jeszcze pomyśleć.

— Na co mogę liczyć?

Cóż, liczyć wolno na wiele. Można na przykład mieć nadzieję, że jego umysł, o tyle doskonalszy od wszelkich innych umysłów, znajdzie nagle rozwiązanie problemu, który (Poirot przyznawał opornie) na razie był dlań całkiem niezrozumiały.

— Co powinienem robić?

W danym przypadku odpowiedź nie nastroczała wątpliwości. Powinien wybrać się do pana Restaricka, który z pewnością jest niespokojny o losy córki i niezadowolony, że znakomity detektyw nie odszukał jej dotąd i nie dostarczył stroskanemu ojcu. Poirot rozumiał to, ale nie miał ochoty na zaprezentowanie się w niekorzystnym świetle. Co więcej mógł zrobić? Tylko zatelefonować pod pewien numer i sprawdzić, jakie postępy uczyniono.

Zanim jednak zdecydował się na tę alternatywę, ponownie wrócił do pytania: Co wiem?

Wie, iż galeria sztuki Wedderburn budzi niejakię podejrzenia. Dotychczas nie wchodzi w wyraźne kolizje z prawem, ale bez wahania sprzedaje łatwowiernym milionerom obrazy wątpliwego pochodzenia.

Przypomniał sobie pulchne, białe dłonie oraz zadziwiająco obfitość zębów i orzekł, że pan Boscombe nie przypadł mu do gustu. Z pewnością należy do ludzi, którzy robią nieładne rzeczy i umieją się doskonale zabezpieczać. Taka informacja może być przydatna, bo w pewnym sensie łączy się z Dawidem Bakerem. No, a sam Baker, ów Paw? Co wiadomo o nim? Poirot poznał go, przeprowadził z nim rozmowę, wyrobił sobie jakieś takie zdanie. Był przekonany, że to człowiek, który z ochotą podejmie się zrobienia każdego świństwa za stosowną zapłatą. Chętnie ożeniłby się z bogatą panną nie z miłości, lecz dla pieniędzy. Równie chętnie zrezygnowałby z małżeństwa biorąc pieniądze w formie rekompensaty. Tak! Zrezygnowałby na pewno. Podobnego zdania musiał być pan Restarick i według wszelkiego prawdopodobieństwa miał słuszość. Chyba, że...

Detektyw zaczął się zastanawiać nad panem Restarickiem, myśląc nie o nim samym, lecz raczej o jego portrecie, który wisi nad fotelem w biurze. Przypomniał sobie rysy twarzy, wyraz stanowczości i energii, mocno zarysowany podbródek... A nieżyjąca pierwsza pani Restarick? Te zaciśnięte, wyrażające gorycz usta... Czy nie warto wybrać się ponownie do Crosshedges, aby dokładniej obejrzeć tamten portret? Może w jakiś sposób pomoże on rozwiązać zagadkę Normy... Norma? Nie! O niej nie należy jeszcze myśleć. Co więcej pozostaje? Kto więcej?

Mary Restarick, która zdaniem tej cudzoziemki, Soni, musi mieć kochanka, ponieważ bardzo często wyjeżdża do Londynu. Poirot rozważył tę kwestię i orzekł, iż Sonia myli się zapewne. Znacznie prawdopodobniejsze wydało mu się to, że pani Restarick bywa w Londynie, aby oglądać wystawione na sprzedaż domy, luksusowe apartamenty, konferować z dekoratorami wnętrz, szukać tam tego, co bogata stolica może dać za pieniądze.

Pieniądze... Poirot odniósł wrażenie, że wszelkie jego rozważania wiążą się z pieniędzmi. Tak! W całej tej historii czuje się pieniądze, czuje się ich niepoślednią wagę. Pieniądze nie wszędzie są widoczne, ale wszędzie i zawsze odgrywają jakąś poczesną rolę. Co dalej? Jak dotychczas nic nie wskazuje, by tragiczna śmierć Luizy Charpentier mogła być dziełem Normy. Brak jakiegokolwiek dowodu. Brak motywów. A przecież ta śmierć stanowi niewątpliwie ogniwo. Norma mówiła o morderstwie, które "prawdopodobnie popełniła". Luiza zginęła parę dni wcześniej. Zginęła w Borodene Mansions, gdzie mieszkała Norma. Brak jakiegokolwiek związku między tą śmiercią a słowami Normy byłby zbyt osobliwym zbiegiem okoliczności. Detektyw przypomniał sobie zagadkowe niedomagania pani Restarick: przypadek niemal klasyczny w swej prostocie. Bez wątplenia było to usiłowanie otrucia przez kogoś z domowników. Ofiara mogła truć się sama. Mógł robić to mąż, mogła robić Sonia... A może Norma próbowała popełnić tę zbrodnię? Logika rozumowania musi wskazywać na nią. Poirot nie mógł temu przeczyć.

— Logika! — powiedział głośno. — Cóż, nic innego nie mogę znaleźć, a więc przyznać należy, że logika kark skrzyła.

Westchnął, dźwignął się z fotela i kazał służącemu sprowadzić taksówkę. Musiał pojechać na spotkanie z Restarickiem.

XIX

Claudii Reece–Holland nie było tego dnia w biurze. Pani w średnim wieku przyjęła detektywa i oznajmiwszy, że szef czeka, wprowadziła go do gabinetu.

— No i co? — zawołał Restarick, nim drzwi zamknęły się za gościem. — Co z moją córką?

Poirot rozłożył ręce bezradnym gestem.

— Jak dotąd, nic.

— Nic! Przecież na jakiś ślad musiał pan trafić. Dziewczyna nie mogła zniknąć jak kamfora.

— Zdarzało się to, zdarza i będzie zdarzać.

— Pamiętaj pan, że koszty w grę nie wchodzi. Żadne koszty! Ja... Ja dłużej nie wytrzymam!

Restarick był kompletnie roztrzęsiony. Zmizerniał, a czerwone obwódki wokół oczu świadczyły o bezsennych nocach.

— Rozumiem pański niepokój — powiedział Poirot — ale, proszę mi wierzyć, robię wszystko, by ją odnaleźć. Takich spraw nie da się, niestety, przyspieszyć.

— Norma mogła utracić pamięć albo może... może zasłabła... jest chora.

Mały Belg odgadł sens niedokończonego zdania. Restarick miał na ustach słowa: “może nie żyje”.

— Proszę mi wierzyć — podjął detektyw siadając po drugiej stronie biurka — że w pełni doceniam pański niepokój. Wobec tego muszę powtórzyć raz jeszcze, że rezultaty byłyby o wiele szybsze, gdyby pan zwrócił się do policji.

— Nie! — wybuchnął gwałtownie Restarick.

— Policja ma bardziej rozległe możliwości, dużo więcej źródeł informacji. W takim wypadku w grę wchodzi nie tylko pieniądze.

— Nie ma co mnie przekonywać. Norma to moja córka. Rozumie pan? Moja jedyna córka. Nikogo bliższego nie mam na świecie.

— Jest pan pewien, że powiedział mi pan o niej wszystko, absolutnie wszystko?

— Co więcej mógłbym mieć do powiedzenia?

— To tylko pan sam może wiedzieć. Czy na przykład nie wiadomo panu o jakimś zakłóceniu

równowagi umysłowej, które wydarzyło się w rodzinie?

— Równowagi umysłowej? Do czego właściwie pan zmierza?

— Mam na myśli rozpoznane objawy choroby umysłowej.

— Podejrzewa pan, że... że...

— Ja nic nie podejrzewam. Skąd mógłbym wiedzieć?

— A skąd ja mógłbym wiedzieć? — podchwycił Restarick rozgoryczonym tonem. — Co ja wiem o niej? Po tylu latach! Grace była surowa, zawzięta. Należała do kobiet, które zapominają i wybaczą niełatwo. Czasami myślę... myślę, że nie była osobą najwłaściwszą, by wychowywać Normę. — Wstał i przemierzywszy pokój tam i z powrotem, usiadł znowu za biurkiem. — Ma się rozumieć — ciągnął — że nie należało porzucić żony. Z tego zdaję sobie sprawę. Odszedłem i dziecko zostawiłem pod jej opieką. Ale wówczas znajdowałem usprawiedliwienie dla siebie. Byłem zdania, że Grace ma nieskazitelną charakter, jest przywiązana do córki i doskonale nadaje się na opiekunkę. Ale czy tak było istotnie? Listy Grace do mnie... nieliczne listy... dyszały gniewem i pragnieniem zemsty. Trudno się temu dziwić, prawda? W każdym razie przez lata, długie lata nie wracałem do Anglii. A należało zaglądać tu od czasu do czasu, sprawdzać, jak się wiedzie małej. Nieraz odczuwałem wyrzuty sumienia... Mniejsza o to. Nie czas teraz, aby się usprawiedliwiać.

Restarick wyprostował się, uważnie spojrzał na detektywa.

— Tak! Kiedy po latach zobaczyłem Normę, pomyślałem, że cała jej postawa jest neurasteniczna, nie zrównoważona. Miałem nadzieję, że z biegiem czasu stosunki pomiędzy Normą a... moją żoną ułożą się korzystniej, ale muszę przyznać, iż moje pierwsze wrażenie było, że jest niezupełnie normalna. Sądziłem, że będzie lepiej, jeżeli zacznie pracować w Londynie, a do domu będzie przyjeżdżała tylko na weekendy, zamiast cały czas spędzać w towarzystwie mojej żony. Do licha! Wygląda na to, że wszystko fatalnie pokręciłem. Ale gdzie ona jest? Gdzie Norma może podziewać się teraz? Jak pan sądzi? Może to utrata pamięci? Czasami słyszy się o czymś takim.

— Nie wykluczam tej możliwości — odrzekł mały Belg. — Dziewczyna może wędrować, nie zdając sobie sprawy, kim jest właściwie. Mogła też mieć jakiś wypadek. Ale to mniej prawdopodobna hipoteza. Nie wątpi pan chyba, że skierowałem odpowiednie zapytania do szpitali oraz innych zakładów, które mogłyby wchodzić w rachubę.

— Ale nie podejrzewa pan, że... że ona nie żyje?

— Z pewnością zmarłą łatwiej byłoby odnaleźć niż żywą. Proszę się nie denerwować. Niech pan pamięta, że ona może być gdzieś u przyjaciół, o których panu nic nie wiadomo. Mogą to być znajomi z czasów, kiedy mieszkała u matki czy też u ciotki albo krewni jednej z jej koleżanek szkolnych. No i powinien pan pogodzić się z możliwością, że ona jest u... u jakiegoś wielbiciela.

— Dawida Bakera? Kiedy pomyślę o tym...

— Nie. To sprawdziłem w pierwszej kolejności — przerwał mu chłodno Poirot.

— Skąd mógłbym wiedzieć coś o jej przyjaciółach? — westchnął Restarick. — Jeżeli ją odnajdę... Należałoby raczej powiedzieć, kiedy ją odnajdę, odseparuję ją od tego wszystkiego.

— Od czego, proszę pana?

— Wywiozę Normę z Anglii. Już od pierwszego dnia po powrocie fatalnie się czuję. Nigdy nie lubiłem City, nudnej rutyny biurowej, nieustannych narad z prawnikami i finansistami. Odpowiadał mi i odpowiada tylko jeden styl życia: podróże, częste przenoszenie się z miejsca na miejsce, wyprawy do pustkowi zabitymi deskami od świata. To coś dla mnie, proszę pana! Nie trzeba było przyjeżdżać do Anglii. Powiniennem raczej sprowadzić Normę i zrobię to, jeżeli... to znaczy kiedy ją odnajdę. Pertraktuję już z rozmaitymi ewentualnymi nabywcami. Gotów jestem sprzedać wszystko, nawet na niepomysłnych dla siebie warunkach, zebrać gotówkę i wrócić do świata, który znaczy coś dla mnie, do prawdziwego świata.

— Rozumiem. A co na to pańska żona?

— Mary przywykła do takiego życia. Sama przecież pochodzi stamtąd.

— Dla dam z grubymi pieniędzmi Londyn posiada siłę przyciągania — bąknął Poirot.

— Mary zgodzi się z tym, co będę chciał.

Na biurku zabrzczał telefon. Restarick sięgnął po słuchawkę.

— Aha. Z Manchesteru? Tak. Proszę mnie połączyć, jeżeli to Claudia Reece–Holland.

Na moment zapadła cisza.

— Tak. Słucham? Claudia? Proszę mówić głośniej. Bardzo źle słyszę... Co? Akceptują warunki? ... Szkoda... Nie, nie! Doskonale się pani spisała... Słusznie... Zupełnie słusznie. Proszę wrócić wieczornym pociągiem. Jutro omówimy sprawę szczegółowo. Udana dziewczyna — powiedział odłożywszy słuchawkę.

— Panna Reece–Holland? — zapytał Poirot.

— Wyjątkowo udana! Dzięki niej wiele kłopotów mam z głowy. Teraz na przykład dałem jej absolutnie wolną rękę. Powiedziałem, aby ubiła tę sprawę w Manchesterze sama podając warunki. Rzeczywiście nie byłem w stanie skupić myśli. No i dziewczyna spisała się doskonale. Niejeden mężczyzna nie potrafiłby lepiej. — Restarick spojrzał na gościa. Raptownie wrócił do rzeczywistości. — Obawiam się, proszę pana, że istotnie straciłem trochę głowę. Czy potrzeba panu pieniędzy na koszty?

— Nie, dziękuję. I niech pan będzie pewien, że zrobię wszystko by odnaleźć Normę całą i zdrową. Podjąłem wszelkie możliwe kroki dla zapewnienia jej bezpieczeństwa — zakończył rozmowę Poirot.

Z gabinetu wyszedł przez pokój sekretarki, a kiedy znalazł się na ulicy, zadarł głowę, by spojrzeć

w niebo.

— Definitywna odpowiedź na jedno pytanie — bąknął. — Oto, czego mi trzeba.

Poirot popatrzał na fasadę szacownego georgiańskiego domu przy cichej do niedawna, pryncypalnej ulicy małego miasteczka. Miejscowość rozbudowywała się w ogromnym tempie, lecz nowoczesne przedsiębiorstwa — supermarket, dom towarowy, kawiarnia, bank usytuowany w pałacowym gmachu lokowały się przy Croft Road unikając skwapliwie bardzo wąskiej High Street.

Mosiężna kołatka była wyczyszczona do połysku. Mały Belg zauważył to z zadowoleniem, lecz skorzystał z dzwonka umieszczonego na futrynie.

Drzwi otworzyła dama w starszym wieku o dystygowanych manierach, stanowczym wyrazie twarzy i wysoko upiętych siwych włosach.

— *Monsieur* Poirot? Bardzo pan punktualny. Proszę.

— Panna Battersby?

— Oczywiście.

Detektyw wszedł do przedpokoju. Gospodyni ulokowała jego kapelusz na wieszaku i poprowadziła gościa do bawialni z widokiem na mały, otoczony murem ogródek. Tam wskazała mu krzesło, sama zaś usiadła w wyczekującej pozie. Widać było od razu, że nie należy do osób tracących czas na konwencjonalne grzeczności.

Poirot zagał rozmowę.

— Łaskawa pani jest byłą przełożoną szkoły dla dziewcząt w Meadowfield, prawda?

— Tak. Rok temu przeszłam na emeryturę. Pan życzył sobie rozmawiać ze mną w sprawie jednej z dawnych wychowanek, Normy Restarick?

— Tak jest, *madame*.

— W liście do mnie — podjęła sędziwa dama — nie podał pan bliższych szczegółów. Wiem już, kim pan jest, ale pragnęłabym dowiedzieć się czegoś więcej. Czy, na przykład, ma pan zamiar zatrudnić Normę Restarick?

— Nie, proszę pani. Nie mam takiego zamiaru.

— Znam pański zawód, więc rozumie pan chyba, czemu zależy mi na bardziej szczegółowych informacjach. Czy nie posiada pan skierowanego do mnie listu polecającego od kogoś z rodziny Normy?

— I tym razem, proszę pani, odpowiem: nie. Pozwolę sobie wyjaśnić bliżej sytuację.

— Dziękuję panu i słucham.

— Zleceniodawcą moim jest ojciec panny Normy, pan Andrew Restarick.

— Aha... Pan Restarick niedawno wrócił do kraju po, o ile mi wiadomo, wielu latach pobytu za granicą.

— Tak, proszę pani.

— Ale nie ma pan skierowanego do mnie listu polecającego od swojego zleceniodawcy?

— Nawet go o taki list nie prosiłem.

Panna Battersby spojrzała nań ze zdziwieniem, więc Poirot mówił dalej:

— Pan Restarick mógłby zaproponować wspólną wyprawę do pani, narzucić mi swoje towarzystwo i w ten sposób utrudnić zadawanie pytań, które uważam za niezbędne. Odpowiedzi na te pytania mogłyby być dla niego przykre i kłopotliwe, a nie widziałem potrzeby zwiększania jego trosk — i tak już niemałych.

— Czy Normie stało się coś złego?

— Miejmy nadzieję, że nie... Ale należy brać pod uwagę taką możliwość. Pamięta pani tę dziewczynę?

— Ja pamiętam wszystkie moje wychowanki. Mam znakomitą pamięć. Zresztą szkoła w Meadowfield jest nieduża. Liczba dziewcząt nie przekracza dwustu.

— Dlaczego postanowiła pani przejść na emeryturę?

— To chyba nie należy do rzeczy i nie powinno pana interesować.

— Słusznie. Po prostu dałem wyraz zupełnie zrozumiałej ciekawości.

— Mam siedemdziesiąt lat. To wystarczający powód, prawda?

— Nie dla łaskawej pani. Od razu widać, że jest pani w pełni sił i energii i jeszcze wiele lat mogłaby pani z powodzeniem prowadzić szkołę.

— Czasy się zmieniają, proszę pana, nie zawsze tak, jak byśmy sobie życzyli. Zaspokoje pańską ciekawość. Przekonałam się, że coraz bardziej denerwują mnie rodzice, którzy dla swoich córek snują plany krótkowzroczne i, otwarcie mówiąc, idiotyczne.

Detektyw przewertował uprzednio personalia panny Battersby, wiedział więc, że to uzdolniona i dość znana matematyczka.

— Ale niech pan nie wyobraża sobie, że wiodę próżniaczy żywot — ciągnęła dama. — Pracuję

ciężko, w sposób bardziej odpowiadający moim gustom. Udzielam korepetycji uczniom starszych klas i... i czy mogłabym się dowiedzieć, jakim okolicznościom przypisać należy pańskie zainteresowanie Normą Restarick?

— Istnieją pewne podstawy do niepokoju o jej losy. Mówiąc zwięźle, Norma zaginęła.

Wyraz twarzy sędziwej damy zdawał się świadczyć, że wiadomość nie wywarła na niej silnego wrażenia.

— Czyżby? — odparła. — Użyty przez pana zwrot: “zaginęła”, znaczy, jak przypuszczam, że opuściła dom nie informując rodziców, dokąd się wybiera. Prawda! Jej matka nie żyje. A zatem opuściła dom nie informując ojca, dokąd się wybiera. W obecnych czasach nie jest to wypadek wyjątkowy. Czy pan Restarick nawiązał kontakt z policją?

— Nie i stanowczo nie chce tego zrobić. Jest uparty.

— Zapewniam pana, że nie mam pojęcia, gdzie Norma może przebywać. Nie zwracała się do mnie, a prawdę mówiąc, to nic o niej nie wiem od czasu, gdy ukończyła szkołę w Meadowfield. Obawiam się zatem, że nie potrafię panu pomóc.

— Nie chodzi mi, madame, o bieżące informacje. Pragnąłbym usłyszeć, jaką dziewczyną jest Norma, jak mogłaby ją pani opisać... I znów nie chodzi mi o jej powierzchowność, lecz o charakter i, że się tak wyrażę, osobowość.

— W szkole Norma była bardzo przeciętną uczennicą. Nie przejawiała wybitnych zdolności, ale praca jej przedstawiała się zadowalająco.

— Nie spostrzegła w niej pani cech neurastenicznych?

Panna Battersby zawahała się na moment.

— Nie powiedziałabym tego. Cech neurastenicznych miała nie więcej, niż należało tego oczekiwać biorąc pod uwagę jej warunki domowe.

— Ma pani na myśli ciężko chorą matkę?

— Tak. Norma pochodziła z rozbitej rodziny. Ojciec, do którego była, zdaje się, bardzo przywiązana, wyjechał niespodziewanie z jakąś inną kobietą. Matka odczuła to dotkliwie i najprawdopodobniej zakłócała równowagę duchową małej, bo użalała się na swój los bardziej niż powinna.

— Zapewne bardziej celowe będzie pytanie o pani opinię na temat nieboszczki, pani Restarick.

— O moją prywatną opinię?

— Tak. Jeżeli pani nie ma w tym względzie jakichś zastrzeżeń.

— Nie. Nie mam żadnych zastrzeżeń. Warunki domowe to kwestia bardzo istotna dla uczennicy, więc miałam zwyczaj badać je skrupulatnie na podstawie skąpych informacji, jakie mnie dochodziły. Pani Restarick była osobą zacną i prostolinijną. Uczciwa bez zastrzeżeń i surowa dla samej siebie: jej życiowe trudności wynikały z jej wyjątkowej głupoty.

— Aha — bąknął z należytych uznaniem detektyw.

— Ponadto była typem chorej z urojenia, kobietą skłoną do przesady we własnych dolegliwościach, która wiele czasu spędza w rozmaitych zakładach leczniczych i szpitalach. Taki stan stwarza warunki domowe niefortunne dla młodej dziewczyny, zwłaszcza dziewczyny nie będącej silną osobowością. Norma nie przejawiała wybitnych zdolności, brakło jej wiary we własne siły, nie należała do dziewcząt, którym mogłabym zalecać karierę zawodową lub naukową. Najlepiej pasowałaby do niej niewielka posiadka w jakimś biurze, a następnie małżeństwo i wychowywanie dzieci. Tak właśnie wyobrażałam sobie jej losy.

— Czy... Przepraszam za szczere pytanie. Czy zauważyła pani u niej oznaki zakłócenia równowagi umysłowej?

— Równowagi umysłowej? — obruszyła się sędziwa dama.

— Brednie!

— I mnie się tak zdawało. A stany neurasteniczne?

— Większość dziewcząt zdradza objawy neurastenii w okresie dojrzewania i wówczas, gdy wchodzi w świat. Taka istota jest jeszcze niedojrzała, więc wymaga doświadczonego przewodnictwa, gdy staje wobec zagadnień płci. Często pociągają ją chłopcy kompletnie nieodpowiedni, nawet wręcz groźni. Ale obecnie rzadko trafiają się rodzice o sile charakteru wystarczającej, by zapobiec złu. Stąd rozmaite neurastenie, histerie i fatalne małżeństwa, które wkrótce kończą się rozwodem.

— A zatem Norma nie zdradzała objawów zakłócenia równowagi umysłowej? — powtórzył swoje pytanie Poirot.

— Nie. To dziewczyna wrażliwa i nerwowa, ale najzupełniej normalna. Zakłócenia równowagi umysłowej? Powiedziałam już swoje na ten temat: Brednie! Najprawdopodobniej uciekła z domu, aby wziąć ślub z jakimś młodym człowiekiem. Nie widzę w tym nic odbiegającego od przeciętności.

Poirot siedział w swoim ulubionym fotelu. Dłonie oparł o poręcze. Niewidzącymi oczyma spoglądał na kominek. Obok fotela znajdował się stolik, na którym leżały pospinałe porządnie rozmaite dokumenty: raporty pana Goby'ego, informacje uzyskane od starego przyjaciela, nadinspektora Neele'a, oraz luźne kartki opatrzone nagłówkami: "Plotki, pogłoski, rzeczy zasłyszane" i uwagami na temat źródeł pochodzenia owych wiadomości.

Detektyw nie potrzebował czytać tych papierów. W swoim czasie przewertował je dokładnie, a obecnie archiwum umieścił pod ręką tylko na wszelki wypadek — gdyby miał ochotę powrócić do jakiejś szczególnie go interesującej sprawy. Na razie chciał uporządkować w myślach to, o czym wiedział od dawna albo dowiedział się ostatnio, ponieważ nie wątpił, że cały ten kram tworzy jakiś schemat. Schemat istnieć musi. Teraz należy jedynie rozstrzygnąć, z której strony doń podejść. Mały Belg nie był entuzjastą odkryć intuicyjnych. Nie ufał intuicji, ale wierzył w odczucia. Uważał jednak, iż same odczucia znaczą mniej niż wywołujące je przyczyny. Oczywiście najbardziej interesujący jest sam problem — problem, który rzadko przedstawia się tak, jak należałoby oczekiwać. Niekiedy trzeba rozpracowywać go żmudnie posługując się logiką, zdrowym rozsądkiem, zgromadzonymi wiadomościami.

Poirot zadał sobie pytania: Co czuje w tej sprawie? Jakiego to pokroju sprawa? Zacząć należy od kwestii ogólnych, później przejść do szczegółów. Jak wyglądają najbardziej istotne czynniki problemu?

Jeden z nich to pieniądze. Detektyw nie wątpił, że pieniądze odgrywają znamienne rolę, ale nie miał pojęcia, jaka to może być rola. Tak lub inaczej w grę wchodzi pieniądze. "Pieniądze i groźba czegoś niedobrego" — myślał Poirot z coraz to większym przekonaniem. Znał zło. Spotykał się już z nim niejednokrotnie. Potrafił odczuć jego powiew, bliskość. Całe zmartwienie, że w danym przypadku niepodobna odgadnąć, co zagraża. Ma się rozumieć, podjął pewne kroki, aby złu zapobiec. Ufał, że kroki te okażą się skuteczne. Nie wątpił, iż coś się szykuje. Jakies niebezpieczeństwo czyha nie wiadomo gdzie, zagraża nie wiedzieć komu.

Niestety sytuację można było oceniać z dwu przeciwstawnych punktów. Jeżeli osobie, którą Poirot uważa za zagrożoną, rzeczywiście zagraża niebezpieczeństwo, trudno zrozumieć, dlaczego tak jest. Czemu niebezpieczeństwo ma grozić tej właśnie osobie? Nie nasuwają się logiczne motywy. Jeżeli jest odwrotnie, jeżeli tej osobie nic nie grozi, całe rozumowanie należałoby odwrócić i wszelkie jego aspekty ocenić pod kompletnie różnym kątem widzenia.

Detektyw przestał snuć rozważania ogólne, aby zająć się osobami dramatu — poszczególnymi ludźmi. Jaki wzór tworzą te figury? Jakie odgrywają role?

Przede wszystkim: Andrew Restarick. Poirot zdążył zgromadzić spory zasób wiadomości o nim. Miał dość dokładny obraz jego życia przed wyjazdem z kraju i po tej ucieczce. Niespokojny duch, który nigdy nie trzyma się dłużej jednego miejsca lub jednego celu, ale człowiek na ogół lubiany. Nie

ma w sobie nic z utracjusza, nie jest kanciarzem ani kombinatorem. Może brak mu cokolwiek siły charakteru? Może jest trochę słaby?

Mały Belg zrobił niezadowoloną minę. Taki wizerunek nie pasował do pana Restaricka znanego mu teraz osobiście. Mężczyzna o tak zdecydowanym wyrazie twarzy, bystrym spojrzeniu, mocno zarysowanym podbródku, z pewnością nie może być słaby. Bez wątpienia to człowiek interesu, któremu powodzenie sprzyjało. Dobrze pracował w młodości, a następnie przeprowadzał wiele korzystnych interesów w Afryce Południowej i Ameryce Południowej. Systematycznie pomnażał majątek i do kraju wrócił mając za sobą sukcesy, nie rozczarowania. A więc nie mogło mu braknąć siły charakteru. Nie mógł być słaby. Może te niedociągnięcia występowały jedynie w stosunkach z kobietami? Może popełnił błąd, za żonę wziął kobietę absolutnie dlań nieodpowiednią? Albo do małżeństwa skłoniła go rodzina...? Później spotkał inną kobietę — kobietę swojego życia. A może było więcej takich kobiet? Po latach trudno zebrać informacje o podobnych sprawach. W każdym razie Andrew Restarick nie był mężem z natury wiarołomnym. Miał normalny dom. Wszystko wskazuje na jego tkliwe uczucia wobec małej córeczki. I co? Nagle zakochał się tak gwałtownie, że postanowił kraj porzucić. Przeżył prawdziwą wielką miłość.

Czy nie działały jednak jakieś inne motywy? Odraza do stylu życia londyńskiego City i codziennej rutyny biurowej? Poirot osądził, iż jest to hipoteza do przyjęcia, odpowiadała układowi logicznemu. Co dalej? Restarick sprawia wrażenie samotnika. Wygląda na to, że nie miał bliższych przyjaciół, chociaż w Anglii i na szerokim świecie na ogół był lubiany. Cóż, za granicą trudno byłoby mu zawierać przyjaźnie, skoro nigdy i nigdzie nie zagrzał miejsca. Z reguły przystępował do takiego czy innego interesu, odnosił sukces i znudzony przenosił się gdzie indziej. Koczownik. Urodzony włóczęga.

Ale to wszystko nie bardzo pasuje do obrazu, jaki Poirot stworzył sobie na podstawie osobistych spostrzeżeń... Obraz? Wyraz ów skojarzył się detektywowi z portretem, który wisiał w gabinecie Restaricka — z podobizną tego samego człowieka sprzed lat piętnastu. Jakie przemiany nastąpiły w tym okresie? Zdziwiająco małe. Żywy model miał nieco więcej siwych włosów, trochę bardziej pochyłe ramiona, lecz świadczące o silnym charakterze rysy twarzy pozostały właściwie takie same. Znamionowały one człowieka stanowczego, który wie, czego chce, i jest zdecydowany cel osiągnąć — człowieka nie przebierającego w środkach i bez wątpienia skłonnego do ryzyka.

Dlaczego — medytował dalej mały Belg — Restarick przewiózł swoją podobiznę do Londynu? Przecież dwa portrety stanowiły parę, przedstawiającą żonę i męża, a zatem winny raczej wisieć razem, jako jedna kompozycja artystyczna. Czy psycholog powiedziałby, że Andrew Restarick podświadomie pragnął odciąć się od swojej pierwszej żony, jeszcze raz zerwać wszelkie z nią więzy? Może uciekał od jej silniejszej osobowości, chociaż zdawał sobie sprawę, że ta kobieta nie żyje? Ciekawe zagadnienie...

Zapewne portrety spoczywały gdzieś na składzie, wraz z innymi rodzinnymi ruchomościami. Pani Restarick musiała wybrać stamtąd to i owo, by przyozdobić pokoje, które sir Roderick Horsefield, właściciel Crosshedges, ustąpił przybyszom z zagranicy. Poirot zadał sobie pytanie, czy Mary Restarick, nowa żona, miała ochotę zawiesić na ścianie właśnie tę parę? Bardziej naturalna wydałaby się chęć złożenia na strychu portretu pierwszej pani Restarick. Może nie miała strychu? Może pobyt w Crosshedges uważała za stan przejściowy, do czasu, kiedy znajdzie odpowiedni dom

w Londynie? Może zawieszenie obydwu portretów było spowodowane pójściem po linii najmniejszego oporu? Zresztą to kwestia o mniejszym ubocznym znaczeniu. Poza tym pani Restarick sprawia wrażenie osoby rozumnej — niezbyt skłonnej do silnych wzruszeń lub zazdrości.

“A jednak — myślał mały Belg — na zazdrość potrafi się zdobyć niemal każda kobieta, nawet taka, którą najtrudniej podejrzewać o to uczucie”.

W swoich rozważaniach zajął się Mary Restarick i na początek stwierdził ze zdziwieniem, iż dotąd poświęcił jej mało uwagi. Widział ją tylko raz i nie wywarła nań silniejszego wrażenia. “Znamionuje ją — pomyślał pewna energia... zaradność i, jak by się wyrazić...? dajmy na to, sztuczność... Sztuczność? Czy, *mon ami*, nie sugerujesz się peruką...? To zastanawiające, niedorzeczne, że wiem tak niewiele o kobiecie, która nosi perukę, jest zaradna, przystojna i potrafi się gniewać. I to jak potrafi! Była bardzo zła, gdy zobaczyła Pawia wałęsającego się po jej domu. Irytacji dała wyraz mocny i nieposkromiony. A on? On zdawał się zadowolony, rozbawiony, nic sobie nie robił z jej złości... Trudno się nawet dziwić, że była niezadowolona. Podobny typ nie może odpowiadać wymaganiom żadnej matki...”

Poirot drgnął, z dezaprobatą pokręcił głową. Mary nie jest matką Normy. Nie powinna się niepokoić fatalnie dobranym małżeństwem córki czy też losem jej nieślubnego dziecka z najbardziej nieodpowiednim ojcem. Jakie są jej uczucia wobec Normy? Uczucia i myśli? Zapewne jest zdania, że to nieznośna dziewczyna, która znalazła sobie okropnego wielbiciela i która stanowi źródło zmartwień i kłopotów dla jej męża. I co więcej? Jak ta kobieta może odnosić się do pasierbicy, która według wszelkiego prawdopodobieństwa usiłowała otruć ją z całą premedytacją?

Postępowanie jej wskazuje na zdrowy rozsądek. Postarała się o wyprawienie Normy z domu i uniknąwszy w ten sposób niebezpieczeństwa, lojalnie współpracowała z mężem, by nie dopuścić do skandalu. Dla zachowania pozorów dziewczyna przyjeżdżała od czasu do czasu na weekendy, ale całe jej życie koncentrowało się ostatnio w Londynie. Zapewne Norma nie zamieszka z Restarickami, nawet gdy ci znajdą poszukiwany od dawna, odpowiedni dom w stolicy. To żaden problem, bo w obecnych czasach wiele dziewcząt ma własne mieszkania.

Ale kto właściwie usiłował podawać truciznę Mary? Poirot sądził, że to niełatwe do rozwiązania. Restarick podejrzewał swoją córkę... Poirot nie był o tym przekonany...

Myślami począł krążyć wokół Soni... Co ona robi w Crosshedges? W jakim celu tam przebywa? Nie ulega wątpliwości, że oswoiła starego sir Rodericka — oswoiła i osiodłała. Może nie nęci jej powrót do rodzinnego kraju? Może ma plany wyłącznie matrymonialne? Panowie w podeszłym wieku często żenią się z urodziwymi młodymi osobami. Sonia mogłaby zrobić karierę: zyskać solidną pozycję towarzyską, a w niedalekiej perspektywie zamożne wdowieństwo... A może jej cele są diametralnie różne...? Czy pomiędzy kartkami książki, którą zostawiła w Kew Gardens, nie tkwiły żadne dokumenty sir Rodericka?

Żona Restaricka mogła coś zauważyć, zacząć coś podejrzewać, zainteresować się, gdzie i jak spędza wolne dni zaufana sekretarka starszego pana. Czy w takim przypadku Sonia podałaby jej truciznę, której nieznaczące dozy o kumulującym się działaniu nasuwałyby podejrzenia jedynie zaburzeń gastrycznych?

Detektyw postanowił sobie przemyśleć później sprawy domowników Crosshedges.

Pośpieszył śladem Normy i przeniósłszy się myślami do Londynu, zaczął studiować sylwetki trzech współlokatorek z Borodene Mansions.

Claudia Reece–Holland. Frances Cary. Norma Restarick. Pierwsza z nich to córka znanego deputowanego do parlamentu; dziewczyna niezależna materialnie, zdołała, wykształcona, urodziwa i sekretarka o wysokich kwalifikacjach. Frances Cary, córka prowincjonalnego adwokata, jest niewątpliwie artystyczną duszą; przez jakiś czas studiowała w szkole aktorskiej, później uczęszczała do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie też zrezygnowała z nauki; następnie pracowała dorywczo tu i ówdzie, by wreszcie znaleźć posadę w galerii sztuki. Obecnie zarabia dobrze, wyżywa się artystycznie i przebywa w towarzystwie cyganerii. Zna Dawida Bakera, ale wszystko wskazuje, że jest to znajomość raczej przelotna. A może kocha się w tym młodzieńcu? To typ z reguły nie lubiany przez rodziców młodych dziewcząt, solidnych obywateli oraz władze policyjne. Detektyw nie potrafił odgadnąć, na czym polega fascynujący urok, jaki dla dziewcząt posiadają tacy młodzi ludzie. Ale urok posiadają — to fakt bezsporny. Ale co on sam, Poirot, myśli o Pawiu?

Po raz pierwszy zobaczył go na schodach domu w Crosshedges. Wydał mu się wtedy przystojnym chłopcem o beczelnym, trochę ironicznym wyrazie twarzy. Czy wypełniał jakieś polecenie Normy? A może przeprowadzał rozpoznanie na własną rękę? Niepodobna udzielić odpowiedzi na te pytania... Drugi raz zetknął się z nim w samochodzie, kiedy podwoził go do Londynu. Odniósł wówczas wrażenie, że to zdolny, wyrobiony życiowo młody człowiek, w którym jednak wyczuwa się coś niedobrego, budzącego wątpliwości. Detektyw sięgnął po leżący na stoliku papier i począł go przeglądać... Był to rejestr bezspornie zły, chociaż nie kryminalny w ścisłym tego słowa znaczeniu. Drobne kradzieże w garażach, chuligańskie wybryki, awantury, dwa śledztwa, które nic nie wykazały. Według Poirota takie sprawy są przecież na porządku dziennym, nie mieszczą się w kategoriach zła. Dawid Baker...? Obiecujący malarz, który przestał malować, zdeklarowany przeciwnik systematycznej pracy, Paw rozmiłowany we własnej urodzie. Może coś więcej? Mały Belg nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Sięgnął po ćwiartkę papieru, na której streścił rozmowę przeprowadzoną w kawiarni przez Normę i Dawida. Ile z tej rozmowy zapamiętała pani Oliver? Ile i jak dokładnie? Detektyw z powątpiewaniem pokręcił głową. Nigdy nie wiadomo, w którym momencie wyobraźnia autorki zaczyna grać pierwsze skrzypce. Czy ten chłopak rzeczywiście kocha Normę i serio myśli się z nią żenić? Co do jej uczuć dla niego nie należy żywić wątpliwości. Małżeństwo proponował — to fakt bezsporny. Czy Norma dysponuje majątkiem osobistym? Jest córką bardzo bogatego człowieka, ale to nie znaczy, że sama jest też bardzo bogata... Poirot syknął gniewnie. Jak mógł zapomnieć o zapoznaniu się z treścią ostatniej woli nieboszczki Grace Restarick! Nerwowo począł przerzucać notatki. Nie! Pan Goby miał widać lepszą pamięć. Pierwsza pani Restarick była wysoko alimentowana przez męża, ponadto miała niewielki własny majątek, przynoszący mniej więcej tysiąc funtów rocznie. Wszystko pozostawiła córce, lecz to “wszystko” nie mogło stanowić pokusy małżeństwa z wyrachowania. Zapewne Norma, jako jedynaczka, odziedziczy kiedyś fortunę po ojcu, ale to sprawa jeszcze wątpliwa. Ojciec może przecież wydziedziczyć córkę, która wybrała sobie męża nie po jego myśli.

A zatem należałoby sądzić, że Dawid rzeczywiście kocha tę małą, skoro chce się z nią żenić! Czy

rzeczywiście...? Poirot z powątpiewaniem pokręcił głową — chyba czwarty lub piąty raz w trakcie tych medytacji. Wszystkie rozważane sprawy nie pasują do siebie, nie tworzą zadowolającego schematu. Detektyw przypomniał sobie ów świeżo podpisany czek, który leżał na biurku Restaricka... Najwidoczniej Restarick dawał okazałą sumę niepożądanemu wielbicielowi. Najwidoczniej niepożądany wielbiciel gotów był tę sumę przyjąć. I znowu jedno nie godzi się z drugim. Czek opiewał na nazwisko Dawida Bakera i dużą — nawet niewiarygodnie dużą — kwotę. Pieniądze te mogły skusić każdego niezamożnego młodzieńca o niezbyt czystym charakterze. A przecież zaledwie wczoraj ten młody człowiek proponował małżeństwo Normie. Czy grał, próbował podbić cenę, której się domagał? Poirot przypomniał sobie twarde, zawzięty wyraz twarzy Restaricka. Ten człowiek musi bardzo dbać o losy córki, skoro zapłacił tak okazałą kwotę. A poza tym był bez wątpienia przekonany, że Norma chce naprawdę poślubić Dawida.

Rozważania na temat ojca Normy przypomniały detektywowi Claudię. Claudia i jej szef. Czy przypadkowo, jedynie przypadkowo została jego sekretarką? Może łączy ich coś? Claudia. Poirot poważnie zastanowił się nad nią. Trzy dziewczyny zajmują wspólnie apartament, którego główną lokatorką jest Claudia Reece–Holland. Najpierw mieszkała tam jakaś jej znajoma czy przyjaciółka, później inna trzecia lokatorka. “Trzecia lokatorka” — powtórzył w myśli. Ostatecznie do trzeciej lokatorki wracają wszystkie sprawy niezgodne z takim czy innym schematem. Do trzeciej lokatorki — Normy Restarick.

Kiedy zgłosiła się doń po radę, siedział przy śniadaniu. Następnie on przysiadł się do jej stolika w kawiarni, przy którym dopiero co jadła wraz z ukochanym fasolkę zapiekaną na grzankach. Poirot pomyślał mimochodem, że tę dziewczynę widywał tylko w porze posiłków. Co sądzi o niej? A przede wszystkim, co sądzą o niej inni ludzie? Restarick kocha córkę, jest o nią niespokojny, przestraszony. Podejrzewa, że systematycznie truła jego niedawno poślubioną żonę. Więcej — jest nieomal pewien słuszności tych podejrzeń. W sprawie Normy zasięgał porady lekarskiej... Poirot chętnie porozmawiałby z tym doktorem, zapewne jednak uzyskałby niewiele. Lekarze mają zwyczaj udzielać informacji jedynie właściwym osobom, na przykład rodzicom pacjenta. Ale nietrudno wyobrazić sobie, co doktor mógł mówić w danym przypadku. Bez wątpienia był ostrożny, powściągliwy jak każdy lekarz. Bąkał coś, pokasływał, zalecał być może taką czy inną kurację. Nie stwierdzał wyraźnie choroby umysłowej, ale z pewnością napomykał o niej. Może sam nie wątpił o istnieniu takiej właśnie choroby, zarazem jednak wiedział bardzo wiele o histeryzujących dziewczętach, których postępowanie bywa niekiedy wynikiem nie zaburzeń równowagi umysłowej, ale zazdrości, neurastenii, zbyt silnej pobudliwości czy jakiegoś urazu.

Co inne osoby mogą myśleć o Normie? Na przykład Claudia Reece–Holland? Tego Poirot nie wiedział, gdyż ogólnie biorąc bardzo niewiele wiedział o głównej lokatorce mieszkania w Borodene Mansions. Z pewnością to osoba zdolna do zachowania tajemnicy, która w żadnym wypadku nie powie nic, czego powiedzieć nie zamierza. Nie widać, by chciała pozbyć się współlokatorki, do czego bez wątpienia musiałyby zmierzać, gdyby podejrzewała Normę o zaburzenia umysłowe. Zapewne mało rozmawiała na ów temat z Frances Cary, gdyż ta ostatnia wyznała beztrósco, że panna Restarick nie wróciła do domu po weekendzie spędzonym u rodziny. Claudię zirytowała ta niedyskrecja. Dlaczego? Może Claudia pasuje do schematu bardziej, niż się to na pozór wydaje? “Ta dziewczyna ma głowę na karku, ma niespożytą energię” — pomyślał Poirot i wrócił do osoby Normy. Jakie miejsce w schemacie zajmuje trzecia lokatorka? Może to pozycja kluczowa, spajająca

wszystko w jedną logiczną całość? Ofelia? Cóż, w tej sprawie istnieją dwa poglądy, podobnie jak są różne opinie co do równowagi psychicznej Normy Restarick. Czy Ofelia istotnie była obłąkana, czy też symulowała obłąd? Rolę tę interpretowały aktorki w dwojaki sposób — albo raczej interpretowali ją reżyserzy. Czy Hamlet był szalony, czy normalny? Kwestia do dyskusji. Czy Ofelia była szalona, czy normalna?

Restarick nie posługiwał się wyrazem “szalona” — w odniesieniu do córki. Mówił o zaburzeniach równowagi umysłowej. Inni też stosowali różną terminologię: nie wszystko po kolei w głowie, brak piątej klepki, wspominali także o lekkim fiole lub bziku. Czy na przykład dochodząca sprzątaczką może być miarodajna w takich sprawach? Nie ulega wątpliwości, że Norma jest dziwna, ale to może przecież wynikać z innych przyczyn. Herkules Poirot przypomniał sobie osóbkę, która niedbałym krokiem weszła do jego pokoju. Uznał ją za nowoczesną dziewczynę, uderzająco podobną do bardzo wielu rówieśnic. Włosy opadające na ramiona, charakterystyczny ubiór, odsłonięte kościste kolana — to wszystko w oczach starszego pana robiło wrażenie, że dorosła osoba udaje dziecko.

“Nie chciałabym być nieuprzejma, ale pan jest za stary” — przypomniał sobie jej słowa.

Może to prawda? Przecież patrzył wtedy na Normę i jej osoba nie wywarła na nim wrażenia. Była dlań dziewczyną pozbawioną kobiecości, chęci podobania się, kokieterii — dziewczyną bez wdzięku, tajemniczości, siły przyciągania, która ma do zaofiarowania zapewne tylko płęć w czysto biologicznym rozumieniu. A więc być może Norma miała rację, iż Poirot jest za stary. Nie mógł jej pomóc, ponieważ nie był w stanie zrozumieć osoby takiego pokroju — zrozumieć ani właściwie ocenić. Zrobił wszystko, co było możliwe, ale czy się to zda na wiele? Co właściwie uczynił od chwili pierwszego spotkania? Co dał Normie? Zapewnił jej tylko bezpieczeństwo. Ale czy bezpieczeństwo jest jej istotnie potrzebne? W tym sedno sprawy! Przypomniał sobie jej zadziwiające wyznanie lub raczej proste oznajmienie: “Prawdopodobnie popełniłam morderstwo”.

Oto coś, czego należy się trzymać: klucz zagadnienia, wątek zgodny z jego powołaniem. Poirot zajmuje się morderstwami, tropi morderstwa, zapobiega morderstwom, jest psem gończym, który ściga morderstwa. Powiedziano mu o morderstwie gdzieś, kiedyś popełnionym. Szuka go do tej pory i znaleźć nie może. Zupa przyprawiana arsenikiem? Banda młodych chuliganów dżgających się nożami? Ponury i cokolwiek komiczny zwrot: plamy krwi na dziedzińcu. Rewolwerowy wystrzał — do kogo oddany, dlaczego?

Wszystko to nie odpowiada zbrodni, do której mogłoby pasować zdanie: “Prawdopodobnie popełniłam morderstwo”. Poirot błędził w mrokach, usiłował dostrzec schemat zbrodni, rozstrzygnąć, w jaki sposób trzecia lokatorka kojarzy się z tym schematem. Błędził i raz po raz wracał do stwierdzenia, że najpierw musi poznać prawdziwą osobowość tej dziewczyny.

W pewnym momencie dociekań Ariadna Oliver wskazała mu światło dzięki zdaniu rzuconemu od niechcena. Domniemane samobójstwo w Borodene Mansions. To coś, co się nareszcie zgadza. Tam mieszka trzecia lokatorka. Mówiła o morderstwie — zapewne o tym właśnie morderstwie. Drugie, popełnione niemal równocześnie, byłoby zbyt nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. A zresztą nic nie świadczyło o jakimkolwiek innym morderstwie, które mogłoby skłonić Normę do nagłej wizyty zaraz po wysłuchaniu opowieści pani Oliver o jej przyjacielu, znakomitym detektywie. A zatem, gdy Ariadna Oliver napomknęła mimochodem o kobiecie, która rzuciła się z okna, Poirot

pomyślał z ulgą, iż wreszcie znalazł to, czego szuka.

Miał wrażenie, że znalazł klucz do zagadki i odpowie gładko na wszystkie: Gdzie? Kiedy? Dlaczego?

— *Quelle deception!* — westchnął głośno mały Belg.

Wyciągnął rękę po starannie wypisane na maszynie dzieje życia kobiety — rejestr suchych faktów dotyczących pani Luizy Charpentier. Czterdzieści trzy lata... Ugruntowana pozycja materialna i towarzyska... W młodości uchodziła podobno za niesforną dziewczynę... Dwa małżeństwa... Dwa rozwody... Bardzo wyraźne zainteresowanie mężczyznami... Ostatnimi laty pani Charpentier piła więcej, niż mogło wyjść jej na zdrowie... Częste, huczne przyjęcia... Kontakty z mężczyznami znacznie od niej młodszymi... Apartament w Borodene Mansions... Poirot doskonale rozumiał kobietę, jaką była Luiza Charpentier. Wiedział, dlaczego osoba takiego pokroju mogła wyskoczyć z okna, gdy pewnego dnia o brzasku obudziła się pełna rozpacz.

Czy powodem był rak rzeczywisty, czy urojony? Podczas śledztwa lekarz zeznał stanowczo, iż ta choroba nie wchodziła w rachubę.

Potrzebne, nieodzowne wydaje się ogniwo łączące zmarłą i Normę. Poirot szukał takiego ogniwa — szukał i nie potrafił znaleźć. Jeszcze raz odczytał rejestr suchych faktów.

Podczas śledztwa zwłoki zidentyfikował adwokat zmarłej. Luiza Charpentier... Czemu używała nazwiska o zmienionym, francuskim brzmieniu: Charpentier? Czy lepiej pasowało do imienia Luiza? Z czym się to kojarzy? Z jakąś przypadkową wzmianką? Z potocznym zwrotem? Poirot zaczął przeglądać posegregowane troskliwie notatki. Aha! Jest! Dziewczyna, dla której Restarick rzucił żonę, nazywała się Luiza Birell. Ale to przecież postać bez znaczenia w jego późniejszej historii. Nim upłynął rok, para pokłóciła się i rozstała. To mogłoby się zgadzać. Podobny układ zdarzeń wracający przez całe życie tej kobiety. Gorąca miłość, chęć rozbicia domu i rodziny, krótki romans, a następnie kłótnia i rozstanie. Poirot nabrał przekonania, całkowitego przekonania, iż Luiza Charpentier i Luiza Birell to jedna i ta sama osoba.

Ale nawet w takim przypadku, jak całą historię powiązać z Normą? Czy Restarick i ta kobieta spotkali się znów po jego powrocie do kraju? Należy wątpić. Rozstali się przed wieloma laty. Powtórny romans wydaje się nieprawdopodobny, graniczy z niepodobieństwem. Nawet pierwszy związek tej pary był przecież krótki, pozbawiony istotnego znaczenia. Mary Restarick...? Nie! Nie robi wrażenia niewiasty tak zazdrosnej, by wypchnąć z okna od dawna zapomnianą kochankę męża. Pomysł zgoła niedorzeczny! Jediną osobą od wielu lat nienawidzącą i szukającą zemsty nad kobietą, która ukradła jej męża, mogła być tylko pierwsza pani Restarick. Ale to również założenie bezsensowne... No i pierwsza pani Restarick nie żyje.

Telefon zaczął dzwonić. Poirot nie drgnął nawet. Właśnie w tym momencie nie chciał, aby mu przeszkadzano... Miał wrażenie, iż znalazł się na jakimś tropie... Pragnął śledzić go dalej.

Telefon umilkł... To dobrze. Panna Lemon poradzi sobie z pewnością.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich sekretarka.

— Pani Oliver życzy sobie mówić z panem — powiedziała.

— Później — rzucił szorstko detektyw. — Nie teraz. W tej chwili nie będę z nikim mówić.

— Pani Oliver twierdzi, że ma ważną informację... coś, o czym zapomniała panu powiedzieć... To jakaś kartka, która wypadła z szuflady biurka ładowanego do wozu meblowego... Historia nad wyraz mętna — dodała panna Lemon pozwalając sobie na ton dezaprobaty.

Detektyw gwałtownie machnął ręką.

— Nie teraz... Błagam panią! Nie teraz! — zawołał.

— Powiem jej, że pan bardzo zajęty — odrzekła i wycofała się z pokoju.

Znowu zapadła cisza i mały Belg wyraźnie odczuł ogarniające go znużenie. Zbyt długo myślał. Musi odpocząć... Tak, koniecznie musi odpocząć. Schemat objawi się, gdy nastąpi odprężenie... Nie wątpił o tym. Niczego więcej nie zdoła się już dowiedzieć... Sam musi znaleźć właściwe rozwiązanie...

Nagle, w momencie kiedy Poirot opuszczał powieki, zaczynał drzemać, nastąpiło jakieś olśnienie, tak jak gdyby od dawna czekało...! Trzeba to jeszcze opracować, ale jest na pewno. Wszystko dopasowało się, utworzyło logiczny schemat. Wszystko! Peruka, portret, piąta nad ranem, kobiety w peniuarach, kobiety o długich zwisających włosach, chłopiec przypominający pawia! Wszystko wiedzie prosto do trzeciej lokatorki.

“Prawdopodobnie popełniłam morderstwo”.

— Ma się rozumieć! — zawołał, a panna Lemon, która zjawiła się powtórnie, spojrzała nań z wyraźnym zaniepokojeniem.

— Doktor Stillingfleet chce natychmiast z panem mówić. Powiada, że to bardzo pilna sprawa — zabrzmiał głos sekretarki.

— Proszę mu powiedzieć, żeby... — Poirot urwał nagle. — Kto? Doktor Stillingfleet? — Raptownie chwycił słuchawkę. — Słucham? Poirot przy telefonie. Co się stało?

— Norma wyszła.

— Jak to wyszła?

— Zwyczajnie. Główną bramą.

— A pan pozwolił?

— Co miałem zrobić?

— Mógł ją pan zatrzymać.

— Nie mogłem.

— Pozwolił jej pan wyjść. To szaleństwo!

— Nie.

— Czy pan nic nie rozumie?

— Taka była umowa. Dziewczyna miała pełną swobodę działania.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, co może grozić!

— Dobrze. Nie zdaję sobie z tego sprawy. Ale wiem, co sam powinienem robić. Gdybym jej nie wypuścił, cała moja dotychczasowa praca poszłaby na marne. A pracowałem ciężko. Pańska robota i moja to dwie całkiem odmienne sprawy. Muszą się czymś różnić. No i, powiadam panu, miałem rezultaty. Już byłem pewien, że mi dziewczyna nie zwieje.

— Aha... Był pan pewien... Ale ostatecznie zwiąła!

— Otwarcie mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego... Co wywołało załamanie?

— Coś musiałyby być.

— Tak. Ale co?

— Może zobaczyła kogoś albo porozumiała się z kimś, kto jakimś cudem odkrył, gdzie jej szukać?

— Nie rozumiem, jak mogło się to stać... A pan nie rozumie, zdaje się, że dziewczyna miała swobodę działania. Musiała mieć swobodę działania!

— Ktoś ją odnalazł. Ktoś wywęszył, gdzie należy jej szukać. Dostała list, depezę? Wzywano ją do telefonu?

— Jestem pewny, że nie wzywano.

— Więc jakim cudem... Ma się rozumieć! Ogłoszenia! Gazety w pańskim zakładzie są dostępne, prawda?

— Naturalnie. W moim zakładzie życie płynie całkiem normalnie, jak wszędzie.

— Aha! Całkiem normalnie, jak wszędzie... Tak ją odnaleziono. Jakie dzienniki przychodzą do zakładu? Ile?

Stillingfleet wymienił pięć tytułów gazet.

— Kiedy Norma wyszła? — zapytał Poirot.

— Dzisiaj. O pół do jedenastej przed południem.

— Zgadza się. Po przeczytaniu prasy. Wiemy już, jak ruszyć z miejsca. Którą gazetę czytywała zwykle?

— Czy ja wiem? Nie miała ulubionej. Raz przeglądała taką, raz inną. Czasami wertowała wszystkie. Czasami ledwie rzuciła na nie okiem.

— Dziękuję. Teraz nie mogę tracić czasu.

— Sądzi pan, że znalazła jakieś ogłoszenie?

— Innej możliwości nie widzę. Do widzenia, doktorze. Muszę znaleźć to ogłoszenie i wziąć się do roboty. Niezwłocznie! — rzucił detektyw i odłożył słuchawkę. — Panno Lemon! Panno Lemon! Proszę mi podać dwie nasze gazety: “Morning News” i “Daily Comet”. Niech George skoczy po resztę porannej prasy. Prędko!

Przeglądając ogłoszenia w rubryce “Różne” snuł swoje rozważania.

Zdaży na czas. Musi zdażyć. Jedno morderstwo już było. Drugie wisi w powietrzu... Ale zapobiegnie temu on, Herkules Poirot... Zapobiegnie, jeżeli zdaży na czas... Jest przecież sobą, mścicielem krzywd niewinnych. Często powtarza zdanie, które śmieszy niektórych: “Ja nie pochwalam morderstwa”. Czy to istotnie śmieszne zestawienie czasownika z rzeczownikiem? Nie! To stwierdzenie proste, bez melodramatycznej nuty! On rzeczywiście nie pochwała morderstwa.

George przyniósł okazały plik gazet.

— Cała poranna prasa, proszę pana — zameldował. Poirot spojrzał na sekretarkę, która stała pod ścianą oczekując jego poleceń.

— Proszę przeglądać gazety, po mnie. Mogę coś przegapić.

— Chodzi o ogłoszenie w rubryce “Różne”?

— Aha. Może tam być imię Dawid... Albo imię tej dziewczyny... Nie! Raczej jakieś zdrobnienie czy spieszczenie... Nikt nie napisałby wyraźnie: Norma. Może tam być prośba o pomoc czy propozycja spotkania.

Panna Lemon zaczęła przeglądać prasę bez przekonania. Nie było to zajęcie, przy którym mogłaby wykazać swoją zaradność i rutynę, chwilowo jednak nie miała nic innego do roboty. Poirot pochylił się nad “Morning Chronicle”, gdzie było najwięcej ogłoszeń... Trzy kolumny w rubryce “Różne”!

Ktoś chce sprzedać płaszcz futrzany... Ktoś udaje się samochodem w zagraniczną podróż i szuka pasażerów... Piękny stylowy dom do sprzedania... Renomowany pensjonat... Ktoś chce się zająć trudnymi dziećmi... Czekoladki domowej roboty... “Julio! Nie zapomnę nigdy. Zawsze twój...” Poirot pomyślał, że to powinno być coś w tym stylu, i dalej wertował ogłoszenia... Komplet mebli Ludwik XV... Poszukiwana zarządzająca hotelem, osoba w średnim wieku... “Sytuacja rozpaczliwa.

Muszę cię zobaczyć. Bądź w mieszkaniu o czwartej trzydzieści po południu. Koniecznie! Nasz kryptonim Goliat”.

— George! Taksówka! — krzyknął Poirot i w tym momencie usłyszał dzwonek.

Płaszcz naciągnął wybiegając do hallu, gdzie zderzył się z panią Oliver oraz George’em, który właśnie otworzył drzwi. Przez chwilę cała trójka stłoczona w ciasnym przejściu szamotała się bezradnie.

Frances Cary z torbą podróżną w ręku szła przez Madeville Road w kierunku masywnej bryły Borodene Mansions. Po drodze gawędziła ze znajomą, którą spotkała na skrzyżowaniu ulic.

— Słowo daję, Frances! Jak można mieszkać w takich blokach? Przypominają więzienie, Wormwood Scrubs czy coś podobnego.

— Zawracanie głowy. Mówię ci, Eileen, że mieszkanie mamy diabelnie wygodne. Jestem zadowolona, a Claudia to idealna współlokatorka. Nigdy nie wtrąca się do niczego. No i ma świetną dochodzącą sprzątaczkę.

— We dwie mieszkanie? A mnie się zdawało, że była trzecia lokatorka.

— Była, ale wygląda na to, że nas wykiwała.

— Nie zapłaciła czynszu, co?

— Nie. Z czynszem chyba była w porządku. Pewno coś się jej przytrafiło z jakimś facetem.

Eileen przestała się interesować. Przygody z facetami uważała za sprawy aż nazbyt codzienne.

— Skąd wracasz teraz, Frances?

— Z Manchesteru. Bardzo udała się tam wystawa obrazów.

— A w przyszłym miesiącu naprawdę wybierasz się do Wiednia?

— Tak. Wszystko prawie załatwione. Spodziewam się, że będzie zabawnie.

— A gdyby jakieś obrazy zginęły? Byłaby okropna historia?

— Wszystkie są ubezpieczone — odparła Frances. — Przynajmniej te naprawdę wartościowe.

— Jak się miewa twój przyjaciel, Peter? Co z jego wystawą?

— Nie najlepiej. Ale krytyk z "The Artist" zdobył się na bardzo przychylną recenzję. To niezwykle ważne.

Frances skrzyła do Borodene Mansions. Jej znajoma poszła dalej, w stronę małego, staroświeckiego domku, w którym mieszkała. Frances powiedziała portierowi "dobry wieczór", windą wjechała na szóste piętro i nucąc coś z cicha przeszła korytarzem.

Drzwi mieszkania otworzyła własnym kluczem. W przedpokoju było ciemno. Nic dziwnego.

Claudia powinna wrócić z pracy dopiero za półtorej godziny. Ale w bawialni, której drzwi były uchylone, świeciło się.

— A to co? — powiedziała na głos panna Cary. — Ktoś nie zgasił lampy?

Zrzuciła płaszcz, postawiła torbę na podłodze i pchnąwszy półotwarte drzwi weszła do bawialni... Weszła i zmartwiała.

Otworzyła i wnet zamknęła usta. Jak złodowaciała wpatrywała się w rozciągniętą na podłodze postać... Później spojrzała w lustro wiszące na ścianie... Zobaczyła odbicie własnej wykrzywionej grozą twarzy...

Z trudnością chwyciła oddech i gdy minęło chwilowe odrętwienie, odrzuciła w tył głowę i zaczęła okropnie krzyczeć... W przedpokoju potknęła się o swoją torbę podróżną, kopnięciem usunęła ją z drogi, wybiegła na korytarz i jak oszalała jęła szturmować drzwi sąsiedniego mieszkania. Otworzyła je kobieta w starszym wieku.

— Co u Boga Ojca...

— Tam ktoś leży...! Nie żyje...! To chyba ktoś znajomy...! Dawid Baker... Nie żyje...! Leży na podłodze... Nożem... Chyba zakłuty nożem...! Krew...! Wszędzie pełno krwi!

Zaczęła się dławić histerycznym łkaniem. Panna Jacobs potrząsnęła ją za ramiona, później objęła w pół i usadowiwszy na kanapie przemówiła stanowczo:

— Proszę się uspokoić. Zaraz podam pani koniak — wcisnęła jej w rękę kieliszek. — Proszę to wypić i nie ruszać się z miejsca.

Frances była posłuszna. Panna Jacobs wyszła szybko na korytarz i ruszyła w kierunku nie zamkniętych drzwi oświetlonego mieszkania. Drzwi bawialni były również szeroko otwarte, więc wkroczyła tam bez wahania.

Nie była osobą skłoną do hysterii. Przystanęła w progu. Mocno zacisnęła usta. Miała przed sobą obraz przypominający koszmarne sny. Na podłodze leżał młody mężczyzna. Jego ręce były rozkrzyżowane, długie kasztanowate włosy opadały na ramiona. Pod marynarką z karminowego welwetu krew plamiła białą koszulę.

Panna Jacobs doznała wstrząsu, gdy uprzytomniła sobie nagle, że w pokoju jest ktoś jeszcze. O ścianę stała oparta młoda dziewczyna, a nad nią na tle malowanego nieba zdawał się podskakiwać arlekin z fresku.

Dziewczyna była ubrana w biały kostium. Długie, proste włosy zwisały ciemnymi pasmami po obu stronach twarzy. W dłoni mocno ścisnęła kuchenny nóż.

Przez moment panna Jacobs patrzyła na nią. Ona patrzyła na pannę Jacobs. Następnie przemówiła cicho, beznamiętnie — jak gdyby odpowiadała na zadane pytanie:

— Tak. Ja go zabiłam... Krew z noża poplamiała mi ręce... Chciałam je umyć. Poszłam do łazienki... Ale takiej krwi zmyć niepodobna, prawda...? Później wróciłam tutaj, bo myślałam, że to wszystko nieprawda... Ale prawda... Biedny Dawid... Widocznie musiałam go zabić.

Pod wpływem pierwszego wrażenia starsza dama wygłosiła zdanie, które w jej własnych uszach zabrzmiało nedorzeczenie, prawie śmiesznie:

— Musiała pani? Czemu musiała pani tak postąpić? — Nie wiem... Nie...! Raczej wiem... Tak mi się zdaje...

Był w rozpaczliwej sytuacji... Wezwał mnie... Przyjechałam... Ale pragnęłam uwolnić się od niego. Nie kochałam go przecież.

Ostrożnie położyła nóż na stole i usiadła w fotelu.

— To niebezpieczne — podjęła — nienawidzić kogoś... Bardzo niebezpieczne, prawda...? Nie wiadomo nigdy, co człowiek może zrobić... Jak z Luizą... — urwała nagle i dokończyła innym tonem: — Powinna chyba pani zatelefonować na policję.

Panna Jacobs posłusznie wykręciła trzy dziewiątki.

W pokoju z arlekinem na ścianie było obecnie sześć osób. Upłynęło wiele czasu. Policja zdążyła przyjechać i odjechać.

Andrew Restarick siedział jak ogłuszony. Parę razy powtórzył: “Nie mogę w to uwierzyć...” Wezwany telefonicznie przyjechał prosto z biura. Towarzyszyła mu sekretarka, Claudia Reece-Holland. Jak zwykle energiczna, starała się być pomocna nie narzucając się. Telefonowała do prawników. Dzwoniła do Crosshedges i kilku biur pośrednictwa, aby odnaleźć Mary Restarick. Ona też dała Frances Cary środki uspokajające i kazała jej się położyć.

Poirot i pani Oliver siedzieli ramię w ramię na sofie. Przyjechali do Borodene Mansions jednocześnie z policją.

Ostatni przybył na miejsce spokojny, opanowany mężczyzna o siwiejących włosach — nadinspektor Neele ze Scotland Yardu. Kiedy się zjawił, nie zastał już prawie nikogo z policji. Dyskretnym skinieniem głowy powitał małego Belga i został przedstawiony ojcu Normy.

Wysoki, rudowłosy młody człowiek stał na tle okna, przez które spoglądał na dziedziniec.

“Na co właściwie czekamy? — zastanawiała się autorka powieści kryminalnych. — Zwłoki zostały zabrane, fotografowie oraz inni funkcjonariusze policji zrobili już, co do nich należało, całe towarzystwo zapędzone na pewien czas do pokoju Claudii wróciło już do bawialni. Na co czekają jeszcze?” Ariadna Oliver sądziła, że może na kogoś ze Scotland Yardu.

— Zapewne nie będę panu potrzebna? — powiedziała bez przekonania, gdy nadinspektor usiadł.

— Pani Ariadna Oliver, jeżeli się nie mylę? Wolałbym, aby pani zechciała zostać chwilę. Rozumiem, że to bardzo niemiła historia...

— A rzeczywiście! — przyznała starsza dama.

Opuściła powieki, by jeszcze raz zobaczyć całą niemiłą historię oczyma wyobraźni. Paw niezwywy, tak malowniczy, że przypominał postać sceniczną... I ta dziewczyna... W tak zmienionej postaci. Nie załęczona Norma z Crosshedges — Ofelia pozbawiona urody, jak ją określił Poirot — ale opanowana, spokojna kobieta, która zły los przyjmuje z tragiczną godnością.

Zaraz po przyjeździe Poirot zapytał, czy może zadzwonić do Scotland Yardu i jeszcze w jedno miejsce. Po chwili wahania i po porozumieniu telefonicznym sierżant wyraził zgodę i wskazał aparat w pokoju Claudii Reece-Holland. Detektyw poszedł tam i rozmawiał przy zamkniętych drzwiach.

Sierżant miał nadal podejrzliwą minę.

— Powiedziano, że facet może dzwonić — mamrotał do swojego podwładnego. — Ciekawe, co to za jeden? Jakiś dziwaczny facet!

— Na pewno cudzoziemiec... Może z Wydziału Politycznego?

— Ee... Wątpię. Chciał gadać tylko z nadinspektorem Neele'em.

Policjant uniósł brwi i omal nie zagwizdał.

Skończywszy rozmowę telefoniczną Poirot otworzył drzwi pokoju Claudii i gestem przywołał panią Oliver, która stała w kuchni i nie bardzo wiedziała, co robić. Obydwoje usiedli na łóżku.

— Powinniśmy coś zrobić — odezwała się, gotowa do działania, jak zawsze.

— Cierpliwości, droga pani, cierpliwości.

— Ale pan z pewnością może coś zrobić, prawda?

— Już zrobiłem. Porozmawiałem przez telefon, z kim należało. Teraz musimy czekać na zakończenie dochodzenia wstępnego.

— Dzwonił pan do nadinspektora. Do kogo jeszcze? Do jej ojca? Czy Andrew Restarick powinien się tu zjawić, złożyć kaucję?

— Trudno mówić o kaucji, gdy w grę wchodzi zabójstwo — wyjaśnił detektyw. — Policja zawiadomiła już Restaricka. Panna Cary podała jego numer.

— Co się z nią teraz dzieje?

— Podobno ma atak hysterii w sąsiednim mieszkaniu należącym do jakiejś panny Jacobs. Ona znalazła zwłoki i załamała się kompletnie. Z krzykiem wybiegła na korytarz.

— Zrozumiałe: artystka! Claudia na pewno nie straciłaby głowy.

— Na pewno. To osoba wyjątkowo zrównowazona.

— Ale do kogo pan dzwonił?

— Najpierw, jak już pani wiadomo, do nadinspektora Neele'a ze Scotland Yardu.

— Czy ci policjanci będą zadowoleni, jeżeli inspektor przyjedzie i zacznie się wtrącać?

— Nie przyjedzie po to, by się wtrącać. Ostatnio zbierał dla mnie informacje, które mogą rzucić znamienne światło na całą sprawę.

— Aa... Rozumiem. Kto był drugi?

— Doktor John Stillingfleet.

— Cóż to za jeden? Powie, że Norma ma kręćka i musi zabijać ludzi?

— Stillingfleet posiada kwalifikacje wystarczające, by w razie potrzeby złożyć w sądzie odpowiednie oświadczenie.

— A wie coś o niej?

— Z pewnością bardzo dużo. Norma pozostawała w jego zakładzie leczniczym od czasu, kiedy pani znalazła ją w kawiarni.

— Kto ją tam wyprawił?

— Ja! — uśmiechnął się Poirot. — Wszystko obgadałem przez telefon, nim pojechałem na spotkanie w kawiarni.

— Co takiego? Byłam rozczarowana, niezadowolona z pana. Raz po raz powtarzałam, że musi pan coś robić. A pan przez cały czas działał. Działał i mnie nic o tym nie mówił! Doprawdy, *monsieur* Poirot! Ani jednego słówka. Jak mógł pan postępować tak... tak... brzydko?

— Błagam, niech się pani nie irytuje, *chere madame*.

Chciałem jak najlepiej.

— Wszyscy zawsze tak mówią, jak zrobią coś wyjątkowo obrzydliwego. Czego pan jeszcze dokazał?

— Sprawami pokierowałem tak, że ojciec tej małej zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Dzięki temu mogłem zapewnić jej bezpieczeństwo.

— W zakładzie doktora Stillngwatera?

— Stillingfleeta.

— Jak pan to, u licha, zorganizował? Nigdy nie sądziłabym, że ojciec Normy właśnie panu powierzy podobne zadanie. Robi wrażenie faceta szczególnie nieufnego wobec cudzoziemców.

— Sam narzuciłem się Restarickowi. Jak zawodowy magik wyczarowałem coś, co było mi potrzebne. Przyszedłem do niego twierdząc, że listownie prosił mnie o złożenie wizyty.

— A on panu uwierzył?

— Ma się rozumieć. Pokazałem mu list: jego blankiet firmowy, tekst napisany na maszynie, pod tekstem jego nazwisko. Oczywiście zauważył z miejsca różnicę charakterów pisma i powiedział mi o tym.

— To znaczy, że pan ten list sfabrykował?

— Aha. Rozumowałem słusznie, że obudzę ciekawość Restaricka i skłonię go do rozmowy. O to mi chodziło. Wierzyłem poza tym we własne uzdolnienia.

— Wtajemniczył go pan w plany związane z doktorem Stillingfleetem?

— Skądże znowu! Byłoby to niebezpieczne.

— Dla Normy?

— Dla Normy. Albo też Norma mogłaby zagrażać komuś innemu. Od początku brałem pod uwagę te dwie możliwości. Fakty można było interpretować dwojako. Usiłowanie otrucia Mary Restarick przedstawiało się nieprzekonywająco. Próby za długo trwały, były zbyt nieporadne, by rzeczywiście miały zmierzać do morderstwa. Później opowiadano wydumane historie o jakimś rewolwerowym wystrzale, o sprężynowych nożach i plamach krwi. Działy się różne rzeczy, a Norma z reguły nic nie wiedziała, nie przypominała sobie i tak dalej. Znajduje arszenik w swojej szufladzie, lecz nie pamięta, by go tam schowała. Twierdzi, iż cierpi na okresowe zaniki pamięci, miewa luki w życiorysie, długie godziny, o których nic powiedzieć nie umie. W takich warunkach muszą się nasuwać pytania: Czy ta dziewczyna mówi prawdę, czy też dla jakiś własnych celów zmyśla? Czy jest potencjalną ofiarą jakiegoś potwornego spisku, czy sama działa jako *spiritus movens*? Czy cierpi na zaburzenia równowagi umysłowej, czy obmyśla morderstwa i usiłuje stworzyć pozory, że jest osobą o ograniczonej odpowiedzialności?

— Dziś była inna — zauważyła z namysłem pani Oliver. — Spostrzegł to pan? Zupełnie inna. Nie sprawiała wrażenia pomyłonej... O nie!

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Już nie Ofelia. Ifigenia — powiedział.

W tym momencie ruch na korytarzu i w bawialni zwrócił uwagę obydwójga.

— Czy... — zaczęła starsza pani i umilkła.

Poirot podeszedł do okna. Na dziedzińcu zobaczył karetkę sanitarną.

— Czy będą zabierać... zabierać... — podjęła rozdygotanym głosem i dodała z niespodziewanym przyływem współczucia: — Biedny Paw... Biedny...

— Nie był to typ sympatyczny.

— Ale nad wyraz dekoracyjny i... I taki młody.

— To wystarczy kobietom! — obruszył się Poirot otwierając drzwi do pokoju Claudii. — Przepraszam na momencik.

— Dokąd pan idzie? — zapytała podejrzliwie autorka powieści kryminalnych.

— Te sprawy uchodzą w waszym kraju za dyskretne — odparł tonem wyrzutu detektyw.

— Aa... Stokrotnie przepraszam — bąknęła i wyglądając przez szparę w nie domkniętych drzwiach dodała półgłosem: — Do toalety nie tędy droga.

Podeszła do okna, aby zobaczyć, co dzieje się na podwórzu.

— Przed chwilą pan Restarick przyjechał taksówką — poinformowała małego Belga, gdy ten po upływie paru minut wszedł cicho do pokoju. — Jest z nim Claudia. No i co? Wtargnął pan do pokoju Normy czy też poszedł pan tam, gdzie się pan rzekomo wybierał?

— Pokój Normy jest pod policyjną okupacją.

— Niewygodnie dla pana, prawda? Co pan ma w tej czarnej firmowej torbie?

Poirot odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Co pani ma w tym płóciennym worku w perskie rumaki?

— W moim woreczku na sprawunki? Tylko kilka gruszek, które kupiłam po drodze.

— A zatem, jeżeli wolno, powierzę pani opiece tę czarną torbę. Tylko ostrożnie. Proszę jej nie ścisnąć.

— Co tam jest?

— Coś, co spodziewałem się znaleźć i znalazłem. Wydarzenia postępują teraz szybciej — dodał Poirot czyniąc aluzję do wzmożonego gwaru w bawialni.

Istotnie Restarick mówił coś donośnym głosem. Claudia co chwila korzystała z telefonu. Za drzwiami przeniknął policyjny stenograf, zmierzający do sąsiedniego mieszkania, aby przesłuchać

Frances Cary oraz tajemniczą osobistość, o której mówiono “panna Jacobs”. Po odejściu dwóch policyjnych fotografów dochodzenie toczyło się dalej.

Następnie do pokoju Claudii wszedł szybko wysoki młody człowiek o rudej czuprynie.

— Co się stało? — zapytał małego Belga ignorując obecność damy. — Zabiła, he? Kogo? Swojego chłopaka?

— Tak.

— Przyznała się do zabójstwa?

— Na to wygląda.

— Paskudna sprawa. Przyznała się wyraźnie?

— Tego nie słyszałem. Nie miałem okazji, aby pytać ją o cokolwiek.

Mundurowy policjant wsunął głowę do pokoju.

— Pan doktor Stillingfleet? — zapytał. — Nasz lekarz chciałby zamienić z panem kilka słów.

— Aa... Więc to jest doktor Stillingfleet — odezwała się pani Oliver, gdy rudzielec wyszedł z policjantem. — Od razu widać, że to naprawdę ktoś — dodała po krótkim zastanowieniu.

Nadinspektor Neele sięgnął po arkusz papieru i skreśliwszy na nim kilka słów, zmierzył wzrokiem garstkę osób zgromadzonych w bawialni. Ton głosu miał stanowczy, urzędowy.

— Panna Jacobs? — odezwał się. — Wiem, że sierżant Conolly przyjął od niej zeznania. Ale chciałbym sam zadać jej parę pytań.

Po chwili starsza dama została wprowadzona do pokoju.

Neele wstał uprzejmie na powitanie.

— Jestem nadinspektor Neele — przedstawił się podając jej rękę. — Przykro mi, że trudzę panią po raz drugi. Obecnie jednak chodzi o rozmowę nieoficjalną. Pragnąłbym sprawdzić dokładnie, co pani widziała i słyszała. Zdaję sobie sprawę, że to może być przykre...

— Nie, panie nadinspektorze — powiedziała panna Jacobs siadając na wskazanym jej krześle. — Przeżyłam wstrząs, rzecz zrozumiała. Ale uczuciowo nie jestem w to zaangażowana. Jak widzę, doprowadzono tu wszystko do porządku.

Neele domyślił się, że starsza dama mówi o uprzątnięciu zwłok.

Spojrzeniem przebiegła zebrane w pokoju osoby i w jej czujnych rozumnych oczach odmalowywały się uczucia, jakich doznawała. Poirot obudził szczere zdumienie (a to co, u licha?), pani Oliver umiarkowane zainteresowanie, doktor Stillingfleet przypuszczenie, że warto mu zaufać, Claudia, którą panna Jacobs pozdrowiła skinieniem głowy, sąsiedzką solidarność, a wreszcie Andrew Restarick współczucie.

— Pan jest zapewne ojcem tej małej — powiedziała. — Cóż, wyrazy ubolewania osoby nieznanym mogą być tylko bolesne. Postąpię słusznie, jeżeli panu ich nie wyrażę. Smutny ten świat... Lub przynajmniej mnie wydaje się smutny. — Przeniosła wzrok na Neele'a. — Słucham panie nadinspektorze.

— Może zechciałaby pani opowiedzieć o wszystkim, co pani widziała i słyszała.

— Podejrzewam — odparła starsza dama — że będzie to nieco różne od moich dotychczasowych zeznań. Tak się zazwyczaj dzieje. Człowiek chce dać możliwie dokładny obraz, rzuca więcej słów. I chyba opis nie jest bardziej ścisły. Po prostu człowiek dodaje szczegóły, które jak sobie wyobraża, mógł lub powinien widzieć i słyszeć. Ale postaram się w miarę sił i możliwości. Wszystko zaczęło się od krzyku. Byłam zdziwiona, przerażona. Myślałam, że ktoś zrobił sobie coś złego. Ruszyłam w stronę drzwi w momencie, kiedy ktoś zaczął dobijać się gwałtownie i wrzeszczeć. Otworzyłam i zobaczyłam lokatorkę sąsiedniego mieszkania, jedną z trzech dziewcząt, które zajmują apartament sześćdziesiąty siódmy. Nie znam jej nazwiska, chociaż młoda osoba jest mi znana z widzenia.

— Frances Cary — odpowiedziała Claudia.

— Była półprzytomna — ciągnęła panna Jacobs. Jąkała bez związku, że ktoś znajomy nie żyje... jakiś Dawid, nazwiska nie dosłyszałam. Trzęsa się i szlochała histerycznie. Wprowadziłam ją do swojego pokoju, poczęstowałam koniakiem i wyszłam na korytarz, by zobaczyć, co się stało.

Wszyscy obecni odczuli, że właśnie tak winna zachować się kobieta pokroju panny Jacobs.

— Wie pan, co zobaczyłam. Czy mam to opisać?

— Może pokrótce.

— Młody mężczyzna... Młody mężczyzna o długich włosach, modnie i kolorowo ubrany, leżał na podłodze. Od razu zorientowałam się, że nie żyje. Koszulę miał sztywną od krwi.

Stillingfleet drgnął. Bystro, przenikliwie spojrzął na pannę Jacobs.

— Później uprzytomniłam sobie, że w pokoju jest również młoda dziewczyna. W ręku trzymała kuchenny nóż. Sprawiała wrażenie opanowanej i chłodnej, co wydało mi się dziwne.

— Mówiła coś? — zapytał doktor.

— Powiedziała, że poszła do łazienki, by umyć ręce. Później dodała: “Ale takiej krwi zmyć niepodobna, prawda?”

— Niemal, jak lady Makbet, co?

— Nie skojarzyłam jej wówczas z lady Makbet. Była... Jak by to wyrazić...? Kompletnie zrównoważona. Położyła nóż na stole. Usiadła na krześle.

— Powiedziała coś jeszcze? — zapytał nadinspektor zerkając na swoje notatki.

— Tak. O nienawiści. “Niebezpiecznie nienawidzić kogoś”.

— Mówiła podobno o “biednym Dawidzie”. Tak przynajmniej poinformowała pani sierżanta Conolly’ego. I że pragnęła uwolnić się od niego.

— Tak. Zapomniałam. Mówiła, że on ją wezwał... czy zażądał, by przyjechała tutaj. Mówiła też o Luizie...

— Co? — rzucił ostro Poirot, a panna Jacobs spojrzała nań podejrzliwie.

— Nic specjalnego. Wymieniła tylko imię. Dokładnie powiedziała: “Jak z Luizą”. I umilkła nagle. Bezpośrednio przedtem powiedziała, że niebezpiecznie nienawidzić kogoś.

— A później?

— Później oznajmiła chłodno, że powinnam chyba zatelefonować na policję. Zrobiłam to i czekałyśmy obie na przyjazd policji. Sądziłam, że nie należy zostawiać jej samej. Nie rozmawiałyśmy wcale. Ona była, zdaje się, pogrążona we własnych myślach, a ja... Cóż, nie potrafiłam wymyślić nic rozumnego.

— Ale zdawała sobie pani sprawę, że to istota o zachwianej równowadze umysłowej? — zabrał głos Restarick. — Zdawała sobie pani sprawę, że biedna mała nie wie, co zrobiła i dlaczego?

Jego głos brzmiał nutą nadziei, prośby.

— Zgodzę się z panem, jeżeli chłód i opanowanie po dokonaniu morderstwa uznamy za objaw zachwiania równowagi umysłowej — odrzekła panna Jacobs tonem świadczącym dobitnie, że się nie zgadza.

— Czy ona powiedziała wyraźnie, że zabiła tego młodego człowieka? — zapytał Stillingfleet.

— Naturalnie. Trzeba było od tego zacząć. Kiedy weszłam do pokoju, przemówiła, jak gdyby odpowiadając na moje pytanie: “Tak. Ja go zabiłam”. Dopiero później była mowa o myciu rąk.

Restarick jęknął, ukrył twarz w dłoniach. Claudia dotknęła lekko jego ramienia.

— Mówiła pani — zabrał znów głos Poirot — że ta dziewczyna położyła na stole nóż. Pani była zupełnie blisko, prawda? Widziała pani nóż? Czy odniosła pani wrażenie, że został też umyty?

Starsza dama spojrzała z powątpiewaniem na Neele’a. Uważała zapewne, że dziwny cudzoziemiec wprowadza do oficjalnego śledztwa ton raczej nieoficjalny.

— Zechce pani udzielić odpowiedzi — wtrącił nadinspektor.

— Nie, proszę pana. Nie odniosłam wrażenia, że nóż został umyty albo wytarty. Był poplamiony gęstą, lepką substancją.

— Aha! — detektyw rozsiadł się wygodniej na krześle. Panna Jacobs spojrzała z wyrzutem na Neele’a.

— Sądziłam, że panowie wiedzą już wszystko o nożu. Czy nie badano go szczegółowo? To byłoby rażące zaniedbanie obowiązków.

— Nóż badano szczegółowo... Ma się rozumieć — stropił się nadinspektor. — Ale... Widzi pani... Wolimy zawsze mieć potwierdzenie paru osób.

Panna Jacobs rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie.

— A szczerze mówiąc — podjęła — wolicie skontrolować ścisłość zeznań świadka. Chcecie się przekonać, co widział naprawdę, a co tylko wyobraża sobie, że mógłby widzieć.

— Co do pani zeznań nie mamy wątpliwości — uśmiechnął się Neele. — W sądzie będzie pani

cudownym świadkiem.

— Bez szczególnej przyjemności — podchwyciła. — Ale trudno. To obowiązek, od którego nie wolno mi się uchylać.

— Niestety, proszę pani. I bardzo dziękuję. — Nadinspektor Neele rozejrzał się dokoła. — Czy są jakieś pytania?

Poirot podniósł rękę. Panna Jacobs — wyraźnie niekontenta — zatrzymała się w pobliżu drzwi.

— Słucham? — rzuciła.

— Chodzi o wzmiankę na temat Luizy. Nie wie pani, kogo ta dziewczyna miała na myśli?

— Skąd mogłabym wiedzieć?

— Może mówiła o Luizie Charpentier...? Znała pani panią Charpentier, prawda?

— Nie znałam.

— Ale wie pani, że niedawno wyskoczyła z okna w tym domu?

— Tak. Oczywiście. Nie wiedziałam jednak, że miała na imię Luiza. Nie była moją bliską znajomą.

— I zapewne nie życzyłaby pani sobie takiej znajomości?

— Tego nie powiem. Pani Charpentier nie żyje. Przyznam jednak, że jest pan niedaleki od prawdy. Była uciążliwą sąsiadką. Nieraz skarżyłam się na nią... Ja oraz inni lokatorzy.

— Co stanowiło powód skarg?

— Otwarciem mówiąc, ta kobieta piła. Zajmowała apartament nad moim, o piętro wyżej. Nieustannie odbywały się tam huczne przyjęcia z tłuczeniem szkła, wywracaniem mebli, krzykami, śpiewem.

— Być może dolegała jej samotność — podsunął detektyw.

— Bynajmniej na to nie wyglądało — odparła cierpko. — W czasie śledztwa mówiono o stanach depresyjnych na tle nieuleczalnej choroby. Czysta imaginacja! Nic jej naprawdę nie dolegało.

Rozprawiwszy się tak niemiłosiernie z nieboszczką panna Jacobs z godnością opuściła pokój.

Poirot zainteresował się Restarickiem.

— O ile mi wiadomo — zagadnął go delikatnie — bardzo bliska znajomość łączyła pana niegdyś z Luizą Charpentier?

Restarick milczał chwilę. Następnie westchnął głęboko i spojrzął na Poirota.

— Tak — przyznał. — Przed wieloma laty znaliśmy się istotnie. Ona nazywała się wtedy Luiza Birell.

— A pan był... Kochał się pan w niej, prawda?

— Tak. Byłem zakochany po uszy. Dla niej porzuciłem żonę. Wyjechaliśmy do Afryki Południowej. W rok później wszystko się rozleciało. Ona wróciła do Anglii. Nigdy już nie słyszałem o niej. Nie miałem nawet pojęcia, co się z nią dzieje.

— Czy pańska córka знаła Luizę Birell?

— Z całą pewnością nie mogła jej pamiętać. Pięcioletnie dziecko!

— Ale czy ją znała?

— Tak — odparł z wolna Restarick. — Znała... Widzi pan, Luiza bywała w naszym domu. Bawiła się z małą.

— A zatem pańska córka mogła przypomnieć ją sobie, nawet po upływie wielu lat?

— Nie wiem. Rozumie pan? Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, jak Luiza wyglądała ostatnio, o ile się zmieniła. Jak pan słyszał, od lat jej nie widziałem.

— Ale otrzymał pan od niej wiadomość. Prawda, panie Restarick? Twierdzę, że otrzymał pan od niej wiadomość już po przyjeździe do Anglii.

Znów nastąpiła pauza, po chwili Restarick ciężko westchnął.

— Tak... Miałem od niej wiadomość — przyznał zapytany i zaraz dodał szorstko: — A pan skąd o tym wie?

Poirot wyjął z kieszeni porządnie złożoną ćwiartkę papieru, rozprostował i wręczył Restarickowi, który popatrzał na arkusik ze zdumieniem.

Mój Andy!

W prasie wyczytałam, że powróciłeś do kraju. Musimy się spotkać, pogawędzić o dawnych czasach...

W tym miejscu tekst się urywał, by zacząć od początku.

Mój *Andy!*

Nagłówek tego listu powie Ci, że mieszkam tam, gdzie Twoja sekretarka. Jaki ten świat mały! Koniecznie musimy się spotkać. Mógłbyś wpaść do mnie na jednego w poniedziałek czy wtorek przyszłego tygodnia?

Kochany!

Muszę Cię zobaczyć! Nikogo w życiu nie kochałam bardziej. Ty też nie zapomniałeś chyba o mnie tak zupełnie...?

Restarick uderzył dłonią w rozłożony arkusik.

— Jak pan to zdobył?

— Dostałem od znajomej, która znalazła to, kiedy wynoszono meble pani Charpentier — wyjaśnił Poirot spoglądając ku autorce powieści kryminalnych.

Restarick zerknął na nią spode łba.

— Tak się jakoś samo złożyło — powiedziała. — Z Borodene Mansions wywożono jej meble. Tragarze wynosili właśnie biurko. Wypadła z niego szuflada, a z szuflady rozmaite papiery. Wiatr przywiał mi pod nogi tę kartkę, więc podniosłam ją i chciałam oddać tragarzom. Ale tragarze tylko klęli. Nie zwracali na mnie uwagi. Co miałam robić? Wsunęłam kartkę do kieszeni płaszcza i znalazłam dopiero dzisiaj po południu. Opróżniałam kieszenie przed oddaniem płaszcza do pralni chemicznej. Nic złego nie zrobiłam, prawda? — zakończyła i umilkła lekko zdyszana.

— Czy pani Charpentier wysłała ostatecznie list do pana? — podjął Poirot.

— Tak... w bardziej oficjalnym tonie. Nie odpowiedziałem. Sądziłem, że tak będzie najlepiej.

— Nie chciał pan jej widzieć?

— Co? To ostatnia osoba, którą chciałbym widzieć. Zawsze była nieznośna... Słyszałem o niej to i owo... Przede wszystkim, że pije jak gąbka... No i różne inne rzeczy.

— Zachował pan jej list?

— Nie z miejsca podarłem.

Nieoczekiwanie doktor Stillingfleet zapytał szorstko:

— Czy córka mówiła z panem kiedy o tej kobiecie?

Restarick nie kwapił się z odpowiedzią.

— To może mieć istotne znaczenie — przynaglił go lekarz.

— Ach, ci medycy! — westchnął ojciec Normy. — Tak. Raz o niej napomknęła.

— Co powiedziała?

— Oznajmiła nagle: “Ojczy, wczoraj widziałam Luizę”. “Gdzie?” — zapytałem zdumiony. “W naszych blokach. W restauracji”. Trochę zbiło mnie to z tropu, więc powiedziałem: “Na myśl by mi nie przyszło, że ją poznasz”. A Norma: “Zawsze pamiętałam Luizę. Mama nie pozwoliłaby mi zapomnieć, gdybym nawet chciała”.

— Tak... To rzeczywiście może mieć znaczenie — bąknął Stillingfleet.

— A pani, *mademoiselle*, co nam powie? — zwrócił się Poirot do Claudii. — Czy Norma rozmawiała z panią kiedy o Luizie Charpentier?

— Tak... Po jej samobójstwie. Powiedziała wtedy... jakoś dziwnie, na dziecięcy sposób, że to była bardzo niedobra kobieta.

— Czy pani była w domu tamtej nocy... albo, wyrażając się ściślej, tamtego rana, kiedy pani Charpentier odebrała sobie życie?

— Nie... Dopiero nazajutrz wróciłam do domu. Wtedy dowiedziałam się o wypadku.

— Przypomina pan sobie? — zwróciła się do Restaricka. — To był dwudziesty trzeci. Wyjeżdżałam do Liverpoolu.

— Ma się rozumieć. Reprezentowała mnie pani na konferencji w truście Hevera.

— Ale Norma nocowała wtedy w domu? — natarł Herkules Poirot.

— Aha... — przyznała z ociąganiem panna Reece-Holland.

— Claudio. — Szef dotknął dłonią jej ramienia. — Pani coś wie o Normie. Coś ukrywa.

— Nic nie ukrywam. Co mogłabym wiedzieć?

— Podejrzewa pani, że jest niespełna władz umysłowych? Nie myślę się prawda? — wtrącił Stillingfleet. — Podejrzewa to również trzecia lokatorka, ta brunetka. I pan! — zwrócił się ostro do Restaricka. — Wszyscy zachowujemy się poprawnie, omijamy drażliwy temat, ale myślimy to samo. Wszyscy z wyjątkiem nadinspektora. On nic nie myśli. Spokojnie gromadzi fakty, które pomogą odpowiedzieć na pytanie: obłąkana czy też morderczyni z premedytacją. A pani co nam powie?

Ariadna Oliver wzdrygnęła się nerwowo.

— Ja...? Ja... nie wiem.

— Swój sąd odkłada pani na później. Nie dziwię się. Jest trudny. Ale, ogólnie biorąc, wszyscy są tego samego zdania. Tylko posługują się rozmaitymi terminami. Pomyłona. Ma bzika lub fioła. Brak jej piątej klepki. Miewa halucynacje. Cierpi na zakłócenia równowagi umysłowej. Nikt przecież nie uważa, że to dziewczyna normalna.

— Panna Battersby — powiedział Poirot.

— Któż to, u diabła?

— Przełożona szkoły.

— Jeżeli będę miał córkę, na pewno umieszczę ją w tej szkole... Oczywiście, ja rozumiem innymi kategoriami. O tej dziewczynie wiem wszystko — powiedział lekarz.

Ojciec Normy spojrział nań ze zdumieniem.

— Co to za jeden? — zwrócił się do nadinspektora. — Dlaczego gada, że wie wszystko o mojej córce?

— Znam ją — wyjaśnił rudzielec — ponieważ Norma jest od dziesięciu dni pod moją opieką lekarską.

— Doktor Stillingfleet — uzupełnił informację Neele — jest bardzo znanym psychiatrą o wybitnych kwalifikacjach zawodowych.

— Jakim cudem trafiła w jego szpony bez... bez mojej zgody?

— Proszę o to zapytać Wąsacza — odparł lekarz wskazując gestem głowy małego Belga.

— Pan... To pan... — począł jąkać Restarick głosem dławionym przez furję.

— Dysponowałem pańskimi instrukcjami — przerwał mu chłodno Poirot. — Poleciał mi pan zaopiekować się córką, gdy ją odnajdę. Odnalazłem dziewczynę i jej osobą zdołałem zainteresować doktora Stillingfleta. Groziło jej niebezpieczeństwo, proszę pana, śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Trudno chyba o sytuację bardziej niebezpieczną niż obecna — wybuchnął ojciec Normy. — Jest aresztowana, oskarżona o morderstwo!

— Formalnie nie jest jeszcze oskarżona — wtrącił rzeczowym tonem nadinspektor i zwrócił się do Stillingfleta: — Panie doktorze, czy dobrze zrozumiałem, że pan może przedstawić opinię o stanie władz umysłowych panny Restarick, jej świadomości własnych czynów i odpowiedzialności za nie?

— Opinię rzeczoznawcy pozostawimy dla sądu — odparł rudzielec. — W danej chwili chce się pan dowiedzieć po prostu, czy panna Restarick jest obłąkana czy normalna. O to panu chodzi, prawda? Więc proszę słuchać! Jest normalna, równie zdrowa, jak my wszyscy zebrani w tym pokoju.

Obecni spojrzeli nań zdziwieni, a Stillingfleet ciągnął dalej:

— Nie spodziewali się państwo takiej opinii, co?

— Myli się pan! — rzucił gniewnie Restarick. — Norma nie zdaje sobie sprawy, co zrobiła. Jest niewinna... Absolutnie niewinna! Nie może przecież ponieść odpowiedzialności za czyn, którego sobie nie uświadamia.

— Chwilowo proszę zostawić głos mnie. Ja wiem, co mówię. Pan nie wie. Dziewczyna jest normalna i w pełni odpowiada za swoje czyny. Niebawem przyjdzie tutaj. Jak dotąd nie miała sposobności, by powiedzieć coś o sobie. Jest blisko, w swoim pokoju, pod opieką policyjnej pielęgniarki. Nim jednak poprosimy ją o odpowiedź na kilka pytań, muszę wspomnieć o czymś, co pan powinien wiedzieć... Panna Restarick przyszła do mojego zakładu w stanie odurzenia narkotykami.

— On dawał jej to świństwo! Ten niegodziwy chłopak...

— Bez wątplenia on zrobił początek — przyznał doktor Stillingfleet.

— Dzięki Bogu! — zawołał Restarick. — Dzięki Bogu!

— Za co pan Bogu dziękuje?

— Początkowo nie zrozumiałem pana. Myślałem, że mówiąc o całkowitej poczytalności mojej córki, rzuca ją pan lwom na pożarcie. Źle pana osądziłem. To narkotyki! Skutkiem odurzenia narkotykami Norma działała nieświadomie, a później nie pamiętała nic, o niczym nie wiedziała.

Stillingfleet podniósł głos:

— Sprawa wnet się wyjaśni, jeżeli pozwoli mi pan mówić i przestanie pan wyjaśniać sytuację na własną rękę, jak gdyby pan wiedział wszystko. Norma nie jest narkomanką. Nie stwierdziłem śladów po zastrzykach. Z pewnością też nie wachała kokainy. Ktoś, może tamten młodzieniec albo może wcale i nie on, ładował dziewczynę narkotykami bez jej wiedzy. Nie były to stosowane dziś nagninnie pastylki. Nic podobnego. W grę wchodziła bardzo pomysłowa mieszanka: heroina powodująca majaki senne, koszarne albo rozkoszne; opium, które niszczy poczucie czasu i pozwala sądzić, że jakieś parominutowe przeżycie trwało wiele godzin, oraz wiele innych rzadziej stosowanych środków, których sekretu nie zamierzam państwu zdradzać. Ktoś doskonale obznajomiony z narkotykami wyrabiał z tą małą potworne rzeczy. Aplikował jej środki podniecające, oszalamiające, odbierające wolę, co razem wzięte dawało Normie jej własny wizerunek kompletnie fałszywy.

— A nie mówiłem! — wybuchnął raz jeszcze Restarick. — Ona nie wiedziała, co robi. Nie może odpowiadać za swoje czyny. Ktoś ją zahipnotyzował. Działała pod czyimś wpływem.

— Nadal nic pan nie rozumie — podjął lekarz. — Nikt nie mógł zmusić Normy do zrobienia czegoś, czego nie chciała zrobić. Natomiast można było ją przekonać, że zrobiła coś, czego nie zrobiła. A teraz poprosimy ją tutaj, zapytamy, co się właściwie z nią działo.

Lekarz spojrział pytająco na Neele'a, a gdy ten przytaknął skinieniem głowy, ruszył w kierunku drzwi i przez ramię rzucił Claudii:

— Gdzie ulokowała pani drugą współlokatorkę? Zabrała ją pani z mieszkania panny Jacobs i co? Leży teraz na własnym łóżku? Dostała coś na uspokojenie nerwów? Niech ją pani obudzi i ściągnie tu jakoś. Potrzebna nam będzie.

Claudia wyszła z bawialni za rudzielcem, który wrócił wkrótce prowadząc Normę.

— Przytomnie, moja droga... Śmiało... Możesz się nie obawiać — mamrotał po drodze tonem otuchy. — Usiądź tu, proszę.

Dziewczyna posłusznie wykonała polecenie. Jej chód i spokój były nadal przerażające.

Opodal drzwi przystanąła policyjna pielęgniarka z miną niezadowoloną i zgorszoną.

— Poproszę cię tylko o jedno — zabrał głos lekarz. — Mów prawdę. To wcale nie tak trudno, jak ci się wydaje.

W tej chwili Claudia wróciła do bawialni z Frances Cary, która ziewała raz po raz, a zwisające luźno ciemne włosy zasłaniały jej połowę twarzy.

— Musi się pani wziąć w garść — powiedział jej Stillingfleet.

— Po co? Czemu nie pozwolicie mi spać? — wymamrotała Frances.

— Nikt nie pójdzie spać, póki nie zakończę tej sprawy. Słuchaj, Normo. Odpowiadaj na moje pytania. Według zeznań sąsiadki z przeciwka wyznałaś jej, że zabiłaś Dawida Bakera. Czy to się zgadza?

— Tak. Ja zabiłam Dawida.

— Nożem? — Tak.

— Skąd wiesz, że to zrobiłaś?

— Ja... Nie rozumiem... Leżał tutaj... na podłodze... martwy...

— A nóż?

— Nóż? Także leżał na podłodze. Podniosłam go.

— Był pokrwawiony?

— Tak. Nóż i koszula Dawida.

— Jak wyglądała krew na nożu i twoich rękach, kiedy szłaś do łazienki, żeby je umyć? Była wilgotna? Czy może gęsta jak marmolada?

— Chyba gęsta... gęsta jak marmolada... — Norma wzdrygnęła się raptownie. — 1 lepka... Musiałam pójść do łazienki, żeby to zmyć z rąk.

— Rzecz zrozumiała... A zatem wszystko pasuje jedno do drugiego: ofiara, morderstwo, ty... Ba! Nawet narzędzie zbrodni. A przypominasz sobie, jak popełniłaś tę zbrodnię?

— Nie... Tego nie pamiętam. Ale to ja musiałam go zabić, prawda?

— Czemu mnie o to pytasz? Nie byłem świadkiem. Sama mówisz, że ty musiałaś go zabić... A wcześniej? Było tu inne zabójstwo. Pamiętasz...

— Chodzi o Luizę?

— Tak. Chodzi o Luizę... Kiedy pierwszy raz uprzytomniłaś sobie, że chciałybyś ją zabić?

— Dawno... Wiele lat temu.

— Byłaś wtedy dzieckiem?

— Tak.

— Długo czekałaś, hę?

— Nie. Zupełnie o tym zapomniałam.

— A przypomniałaś sobie, kiedy znowu zobaczyłaś Luizę i poznałaś.

— Tak.

— Jako dziecko czułaś do niej nienawiść. Dlaczego?

— Ona ukradła mi ojca.

— I unieszczęśliwiła twoją matkę, prawda?

— Matka nienawidziła jej. Wciąż powtarzała, że to najnikczemniejsza z kobiet.

— Często mówiła ci o niej, co?

— Tak... Nie chciałam tego... Nie chciałam słyszeć o Luizie.

— Nudziło cię to... Rozumiem. Nienawiść nie bywa twórcza. Kiedy ponownie spotkałaś Luizę, rzeczywiście przyszło ci na myśl, by ją zabić?

— Nie... Chyba nie... Przeszłość wydawała mi się bardzo odległa... Może... Może właśnie dlatego...

— Dlatego — podchwycił doktor — nie byłaś nigdy pewna, że ją naprawdę zabiłaś.

— Tak... Tak! Wyobrażałam sobie, że nie było żadnego morderstwa... że ona rzuciła się z okna.

— Przecież tak mogło być, prawda?

— Nie... Wiedziałam, że to ja... Mówiłam o tym.

— Mówiłaś, że zamordowałaś Luizę? Komu?

— Nie mogę... — Norma rozpostarła bezradnie ręce. — Ona była bardzo dobra... starała się mi pomóc... Obiecywała, że nic nie powie... Jak gdyby wcale nie wiedziała... — Umilkła, by po chwili podjąć szybko, nerwowo: — Stałam przed drzwiami mieszkania numer siedemdziesiąt sześć... Mieszkania Luizy. Dopiero co stamtąd wyszłam. Myślałam, że chodziłam we śnie... jak lunatyczka. One... Ona powiedziała mi, że to był wypadek... na podwórzu. Mówiła, że to nie moja wina i że nikt się nie dowie. A ja wcale nie pamiętałam, co zrobiłam... Ale moje palce...

— Co? Miałaś pokrwawione ręce?

— Nie. Ścisnęłam w palcach strzęp firanki z jej pokoju... Widać urwałam go, jak wypychałam z okna Luizę.

— Pamiętasz, że wypychałaś z okna Luizę?

— Nie, nie! To straszne! Ja nic nie pamiętam. Właśnie dlatego miałam nadzieję... Dlatego poszłam do niego. — Gestem głowy wskazała małego Belga i zwróciła się znowu do Stillingfleet. — Od początku nie pamiętałam tego, co robiłam. Nic nie pamiętałam. Byłam coraz bardziej przerażona, bo zdarzały się długie luki, godziny, o których nie mogłabym nic powiedzieć. Gdzie byłam? Co robiłam? Znajdowałam rozmaite rzeczy, a przecież chyba sama musiałam je tam chować. Systematycznie trułam Mary... Lekarze stwierdzili działanie trucizny, zabrali Mary do szpitala. A ja znalazłam środek chwastobójczy ukryty w mojej szufladzie. Tutaj odkryłam nóż sprężynowy... Nóż sprężynowy i rewolwer, który musiałam kupić, chociaż nie pamiętam kiedy. Zabijałam ludzi i nie zdawałam sobie z tego sprawy. Więc co? Nie jestem morderczynią. Jestem tylko obłąkana. Teraz dopiero rozumiem. Jestem obłąkana i na to nic poradzić nie można. Nie obarcza się winą ludzi chorych umysłowo. Muszę być obłąkana, skoro mogłam przyjść tutaj i zabić Dawida. Muszę być chora umysłowo, no nie?

— I gorąco pragniesz takiego właśnie rozwiązania? — zapytał lekarz.

— Czy ja... Tak... Chyba tak.

— Czemu w takim razie wyznałaś komuś, że zabiłaś Luizę, wypchnęłaś z okna? Komu to powiedziałaś?

— Jej powiedziałam.

— Nieprawda! — wybuchnęła panna Reece–Holland. — Nigdy nie powiedziałaś mi czegoś podobnego!

— Powiedziałam... Na pewno.

— Gdzie? Kiedy?

— Nie wiem... Nie pamiętam...

— Mnie mówiła, że wyznała ci wszystko — wtrąciła cicho Frances. — Nie przejęłam się wtedy. Byłam przekonana, że histeryzuje lub zmyśla.

Doktor Stillingfleet spojrział na małego Belga i podjął autorytatywnym tonem:

— Istotnie. Dziewczyna mogła zmyślać różne fantastyczne historie. To prawdopodobne rozwiązanie w tego rodzaju sprawie. Można by je przyjąć, ale należałoby wtedy odkryć motyw, bardzo silny motyw, dla którego Norma pragnęła śmierci dwojga ludzi: Luizy Charpentier oraz Dawida Bakera. Dziecinna nienawiść z powodu krzywd od lat zapomnianych? Nonsens. Chęć uwolnienia się od Dawida? Z takich powodów dziewczęta nie popełniają zabójstw! Potrzebny nam jest znacznie silniejszy motyw. Jaki? Dajmy na to pieniądze, grube pieniądze... Chęć zysku! — Rozejrzał się dokoła, złagodził ton głosu. — Brak nam jednej osoby, która mogłaby udzielić pomocy. Pańska małżonka — zwrócił się do Restaricka — każe na siebie bardzo długo czekać.

— Nie mam pojęcia, gdzie może być Mary — odparł zagadnięty. — Telefonowaliśmy wszędzie. Claudia zostawiła dla niej wiadomość we wszelkich możliwych miejscach. Do tej pory powinna chociaż zatelefonować.

— Czy nie mylimy się wszyscy? — wtrącił nieoczekiwanie Poirot. — Być może *madame* Restarick znajduje się już pośród nas, że się tak wyrażę, tylko częściowo?

— Nic nie rozumiem! — obruszył się Restarick. — Co pan, u diabła, opowiada?

— *Chere madame* — zwrócił się mały Belg do pani Oliver, która drgnęła nerwowo. — Wolno poprosić o paczkę, którą powierzyłem pani pieczy?

— Aa... — Ariadna Oliver sięgnęła do swojego worka i podała detektywowi torebkę firmową.

Poirot wziął ją ostrożnie i oczom obecnych ukazał olśniewająco złocistą perukę.

— Nie ma pośród nas *madame* Restarick — przemówił. — Jest za to jej peruka. Interesujące, co?

— Gdzie to znalazłeś, u licha? — zdumiał się nadinspektor Neele.

— W torbie podróźnej panny Frances Cary. Brakło jej sposobności, by usunąć stamtąd perukę. Może sprawdzimy, czy jej w niej do twarzy?

Zwinnym ruchem odgarnął ciemne kosmyki maskujące skutecznie twarz Frances Cary i głowa jej została ukoronowana złociście, zanim zdążyła pomyśleć o obronie.

— Słowo daję! Przecież to Mary Restarick! — krzyknęła pani Oliver.

Frances wiła się, jak rozjuszona żmija. Restarick ruszył ku niej, szybko powstawszy z miejsca. Jednakże Neele zdążył go uprzedzić i mocno ujął za ramię.

— Tylko bez awantur! Zrozumiano? Gra skończona, panie Restarick... Albo raczej Robercie Orwell...

Zdemaskowany bluznął potokiem przekleństw. Frances wrzasnęła głośno, piskliwie:

— Stul pysk, idioto!

Poirot odłożył swoje trofeum — perukę. Podszedł do Normy i delikatnie ujął jej rękę.

— Koniec twojej niedoli, drogie dziecko — powiedział. — Ofiara nie zostanie poświęcona. Nie jesteś obłąkana ani też nie zabiłaś nikogo. Spisek przeciwko tobie uknuła para okrutnych ludzi bez serca. Przebiegle posługiwali się narkotykami i stekiem kłamstw oraz mistyfikacji. Robili wszystko, by doprowadzić cię do samobójstwa, abyś uwierzyła w swoją winę i w to, że jesteś obłąkana.

Norma z wyrazem grozy w oczach patrzyła na rzekomego Restaricka.

— Ojciec... Mój ojciec! Nie mógł chcieć mojej krzywdy. Przecież mnie kochał i...

— To nie twój ojciec, drogie dziecko — przerwał jej Poirot — lecz oszust, który po śmierci twojego ojca przyjechał tutaj, aby podszyć się pod niego i zagarnąć ogromny majątek. Tylko jedna osoba mogła go poznać lub, wyrażając się ściślej, stwierdzić, że nie jest tym, za kogo się podaje: kobieta, z którą Andrew Restarick wyjechał do Anglii, jego kochanka sprzed piętnastu lat.

Poirot miał troje gości. Sam zajmował swój ulubiony fotel o prostym oparciu. Popijał sok z czarnych porzeczek. Starsza dama i Norma siedziały na kanapie. Pani Oliver wyglądała odświeżenie: miała bardzo wymyślną fryzurę i dziwnie nietwarzową suknię z jasnozielonego brokatu. Stiffingfleet rozpierał się wygodnie na krześle. Długie nogi wyciągał tak, jak gdyby chciał nimi sięgnąć środka pokoju.

— Niejednego muszę jeszcze dowiedzieć — oznajmiła pani Oliver z właściwą sobie natarczywością.

Poirot spiesznie postarał się wylać oliwę na wzburzone fale.

— Ach, *chere madame* — rozpoczął. — Trudno po prostu wyrazić, jak wiele zawdzięczam pani. Wszystkie, wszystkie bez wyjątku trafne domysły podszeptała mi pani.

Zerknęła nań z powątpiewaniem.

— Przecież to pani wynalazła zwrot: “Trzecia lokatorka”. To był mój start i meta. Trzecia z dziewcząt zajmujących wspólny apartament. Formalnie Norma była tą trzecią lokatorką, ale gdy zaczynałem roztrząsać problem, z reguły brakowało mi czegoś, jednego z fragmentów łamigłówek. Wracałem wciąż do trzeciej lokatorki. Rozumie pani? Na myśli miałem zawsze osobę, której tam nie było. Stanowiła dla mnie jedynie termin. Trzecia lokatorka — nic więcej.

— Ciekawa rzecz, że nigdy nie kojarzyłam jej z Mary Restarick — wtrąciła autorka powieści kryminalnych. — Panią Restarick widziałam przecież w Crosshedges, rozmawiałam z nią sporo. Co prawda Frances Cary miała prawie całą twarz zakrytą włosami, kiedy ją pierwszy raz widziałam. To mogłoby zmylić każdego.

— Również dzięki pani uprzytomniłem sobie, w jakim stopniu ułożenie włosów może zmienić wygląd kobiety. Proszę pamiętać, że Frances studiowała w szkole dramatycznej. Dobrze zna technikę błyskawicznej charakteryzacji. Potrafi zmieniać głos w razie potrzeby. Grając rolę Frances miała długie, czarne włosy, które okalały i przesłaniały twarz i dzięki makijażowi uzyskiwała białą cerę, brwi zaznaczała grubo ołówkiem, przyklejała rzęsy, mówiła rozwlekłe, lekko ochrypłym głosem. Mary Restarick nosiła jasnoblonde perukę ułożoną w regularne drobne fale; ubierała się z gustem, mówiła szybko, z ledwie uchwytnym kolonialnym akcentem; stanowiła oczywisty kontrast swojego pierwotnego wcielenia. Ale od samego początku odnosiłem wrażenie, że to ktoś niezupełnie realny. Raz po raz zadawałem sobie pytanie. Jakiego to pokroju kobieta? I nie wiedziałem. W odniesieniu do niej nie byłem sprytny. Ja, Herkules Poirot, wcale nie byłem sprytny!

— Uwaga! Uwaga! — zawołał Stiffingfleet. — Jak żyję, nie słyszałem, by Poirot powiedział coś takiego. Mimo wszystko zdarzają się cuda!

— Nie bardzo rozumiem, po co jej były dwa wcielenia — odezwała się pani Oliver. — Miała z tym przecież moc kłopotów.

— Nie. Miała z tego moc korzyści, a przede wszystkim, widzi pani, alibi na zawołanie. Trudno sobie wyobrazić, że podobne rzeczy działy się nieustannie, na moich oczach, a ja nic nie widziałem! Wiedziałem o peruce, niepokoiła mnie peruka, ale nie zdawałem sobie sprawy czemu. Dwie kobiety, których nikt nigdy nie widział razem, miały styl życia usprawiedliwiający znaczne luki w rozkładzie dnia. Mary często bywała w Londynie, kupowała coś, odwiedzała agencje pośredniczące w kupnie i sprzedaży, nikomu nie musiała się opowiadać, jak i gdzie spędza czas. Frances wyjeżdżała do Birmingham, Manchesteru, latała za granicę, obracała się w towarzystwie młodych artystów z Chelsea, których zatrudniała w rozmaitym charakterze, najczęściej podejrzanym z punktu widzenia prawa. Dla galerii sztuki Wedderburn projektowano specjalne ramy do obrazów. Początkującym malarzom urządzano tam wystawy. Ich dzieła szły jak woda, były wysyłane z Anglii pod adresem nabywców albo na zagraniczne pokazy. W ramy pomysłowo wmontowywano pakieciki heroiny. W galerii Wedderburn miały miejsce przeróżne szachrajstwa artystyczne, fałszerstwa dzieł mniej znanych dawnych mistrzów... Panna Cary aranżowała i realizowała sprawy takiego pokroju... Baker należał do jej współpracowników. Miał niepospolity talent do kopiowania.

— Biedny Dawid — szepnęła Norma. — W początkach znajomości sądziłam, że to cudowny człowiek.

— Zupełnie odrębne zagadnienie stanowił portret Restaricka — podjął mały Belg. — Wciąż się zastanawiałem, dlaczego Restarick przeniósł go do swojego londyńskiego gabinetu. Nie rozumiałem, czemu to malowidło ma dla niego jakieś szczególne znaczenie. Przyznaję: byłem w tej sprawie zadziwiająco tępy.

— Nie rozumiem historii z portretem.

— Sprytnie była pomyślana. Portret służył jako swojego rodzaju świadectwo tożsamości. Zastanówmy się tylko! Mąż i żona. Dwa portrety pędzla modnego w swoim czasie, bardzo znanego malarza. Płótna odbiera się z jakiegoś składu i Baker zamienia podobiznę Restaricka na podobiznę Orwella odmłodzonego o lat dwadzieścia. Nikomu nie mogło przyjść na myśl, że dokonano fałszerstwa. Wszystko było pierwszorzędną robotą: styl, faktura, technika, nawet odpowiedni dobór farb i płótna. Restarick zawiesił portret nad swoim biurkiem w City. I co? Każdy, kto mógłby mu powiedzieć: “Ależ pan się zmienił” lub “Słowo daję! Nie poznałbym pana” — spojrzalby na portret i bez wątplenia pomyślał, że to on nie pamięta, jak Restarick wyglądał przed laty.

— W każdym razie Restarick... lub raczej ten Orwell poszedł na niebywałe ryzyko — wtrąciła pani Oliver tonem zastanowienia.

— Mniejsze, niż należałoby sądzić — podchwycił Poirot. — Widzi pani, Restarick nie należał nigdy do osobistości na świeczniku. Oto wspólnik solidnej firmy z City wraca do Anglii po kilkunastu latach, aby uregulować sprawy niedawno zmarłego brata. Przywozi ze sobą młodą, poślubioną za granicą żonę i zatrzymuje się u starego wuja, który zajmował niegdyś wybitną pozycję, obecnie zaś jest prawie ociemniały. Sir Roderick Horsefield bez podejrzeń i wątpliwości przyjmuje siostrzeńca, którego, nawiasem mówiąc, prawie nie widywał od jego szkolnych czasów. Restarick

nie ma innych bliskich krewnych, a córkę widział po raz ostatni, kiedy miała pięć lat. Przed jego wyjazdem do Afryki Południowej firma zatrudniała dwu bardzo już wiekowych urzędników, na a młodszy personel pomocniczy z reguły nie zagrzewa długo miejsca. Adwokat rodziny umarł w czasie dobrowolnej emigracji Restaricka. Zapewniam panią, że cała sytuacja została drobiazgowo przestudiowana. Zrobiła to Frances, która w tym celu przyjechała specjalnie do Anglii. Myślę, że poznali się w Kenii, plus minus dwa lata temu. Obydwoje należeli do świata przestępczego, chociaż interesowały ich zgoła odmienne sfery działania. Orwell robił brudne interesy przy sprzedaży terenów i koncesji górniczych. Wraz z Restarickiem wybrał się na zbadanie jakichś trudno dostępnych rejonów. Rozeszły się pogłoski, zapewne prawdziwe, o zgonie Restaricka. Później sprawa przycichła.

— Spodziewam się, że była to gra o wielką stawkę? — wtrącił doktor.

— Tak. Przerazająco wielka, niebezpieczna gra o przerażająco wielką stawkę. Zrazu wszystko szło dobrze. Restarick był bogatym człowiekiem i spadkobiercą zmarłego brata. Nikt nie kwestionował jego tożsamości. Później sprawy zaczęły się wikłać. Niby grom z jasnego nieba przyszedł list od kobiety, która w jednej chwili może zdemaskować oszustwo, jeżeli stanie twarzą w twarz z rzekomym Restarickiem. Drugie niepowodzenie stanowił szantaż rozpoczęty przez Dawida Bakera.

— Z tym należało się liczyć — wtrącił półgłosem Stillingfleet.

— Niekoniecznie — odparł Poirot. — Uprzednio Dawid nigdy nie szantażował nikogo. Sądzę, że do głowy uderzyło mu kolosalne bogactwo klienta. Za fałszerstwo portretu otrzymał bardzo wysokie honorarium. Chciał dostać więcej, wobec czego Restarick podpisywał czek, stwarzając pozory, iż chodzi o odprawę dla niepożądanego wielbiciela córki. Czy Baker naprawdę myślał o małżeństwie z Normą? Nie wiem, lecz nie wykluczam takiej możliwości. W każdym razie szantażowanie pary pokroju Orwella i Frances Cary to przedsięwzięcie nad wyraz niebezpieczne.

— Twierdzi pan, że ta para na zimno, z premedytacją szykowała się do podwójnego morderstwa? — zapytała pani Oliver, lekko pobladła.

— Pani, *madame*, mogła uzupełnić tę listę — odparł z ukłonem Poirot.

— Ja? Myśli pan, że od jednego z nich dostałam po głowie? Chyba to była Frances? Nie biedny Paw, prawda?

— Nie sądzę, by Paw ogłuszył panią. Ale panna Cary widziała już panią w Borodene Mansions, toteż wysłuchawszy pani mętnej historyjki, miała prawo podejrzewać, że jej tropem trafiła pani do Chelsea. Wobec tego poszła ukradkiem za panią i... A nie chciała pani wierzyć, kiedy mówiłem o grożącym niebezpieczeństwie!

— Kto by pomyślał! Siedziała... prawie leżała w tej obrzydliwie brudnej pracowni, w pozie heroiny Burne-Jonesa, a później... — pani Oliver urwała nagle, spojrzała na Normę, przeniosła wzrok na małego Belga. — Ale dlaczego do niej się zabrali? Dlaczego systematycznie truli ją narkotykami, postępowali tak, by nabrała przekonania, że popełniła dwa morderstwa? Dlaczego?

— Potrzebna im była ofiara — odparł Poirot i powstawszy z fotela podszedł do Normy. — Ty, moja mała, przeżyłaś potworne rzeczy. Ale coś podobnego nie może cię już spotkać. Pamiętaj, musisz zawsze mieć wiarę w samą siebie. Taki bezpośredni kontakt ze złem to broń skuteczna przeciw wszystkiemu, co możesz napotkać w życiu.

— Tak... Chyba ma pan rację — powiedziała Norma. — To coś strasznego uwierzyć we własny obłąd, rzeczywiście uwierzyć... — Wzdrygnęła się lekko. — Nawet w tej chwili nie rozumiem, jakim sposobem wyszłam z tego cało... Dlaczego nie oskarżono mnie o morderstwo, skoro przypuszczałam, że zabiłam Dawida?

— Krew miała inną konsystencję — wyjaśnił Stillingfleet. — Zaczynała już krzepnąć. Koszula była od niej sztywna, jak wyraziła się panna Jacobs. Sztywna, uważasz, nie mokra. Ty musiałabyś dokonać morderstwa na pięć minut przed tym, zanim Frances zaczęła krzyczeć.

— Jakim cudem Frances... — pani Oliver zaczynało świtać w głowie. — Przecież była w Manchesterze i...

— I skorzystała z wcześniejszego połączenia — podchwycił doktor. — W pociągu nałożyła perukę Mary, a więc weszła do Borodene Mansions i windą wjechała na właściwe piętro, jako nieznana nikomu blondynka. W mieszkaniu czekał wezwany przez nią Dawid. Bez trudu pchnęła go nożem, bo nic nie podejrzewał. Następnie wyszła na ulicę, aby poczekać na Normę. Później przecharakteryzowała się w publicznej toalecie, na ulicy spotkała znajomą i gawędząc z nią wróciła do Borodene Mansions. No i odegrała swoją rolę, nie bez przyjemności, jak sądzę. Liczyła, że na konsystencję krwi nikt nie zwróci uwagi, bo upłynie sporo czasu, zanim nadjedzie policja. Ale muszę przyznać, Normo, że dałaś nam wtedy szkołę, upierając się, że to ty wszystkich wymordowałaś.

— Chciałam się przyznać, skończyć wreszcie tę mękę... A pan... Ty... Czy rzeczywiście myślałeś, że mogłam to zrobić?

— Ja? Za kogo mnie bierzesz? Muszę przecież wiedzieć, co mój pacjent może zrobić, a czego nie może. Ale bałem się, że diabelnie skomplikujesz całą sprawę. Nie znałem Neele'a, który niezbyt rygorystycznie stosował się do formalności. Czy zwróciłaś uwagę, jak odnosił się do naszego Wąsacza?

— Z nadinspektorem Neele'em znamy się od lat — powiedział z uśmiechem Poirot. — No i on zbierał dla mnie różne informacje w tej sprawie. A ty, Normo, nie byłaś nigdy pod drzwiami Luizy. Frances zmieniła numer. Na waszych drzwiach przestawiła szóstkę i siódmkę. Cyfry są ruchome, osadzone na bolcach. Claudii nie było w domu tamtej nocy. Frances napasała cię narkotykami tak, że wszystko wydawało ci się koszmarnym snem. Przypadkowo wpadłem na rozwiązanie. Zrozumiałem, że Luizę mogła zamordować tylko trzecia lokatorka: Frances Cary.

— Tobie się przecież — wtrącił Stillingfleet — też zdawało, jakby to była jedna osoba w dwóch wcieleniach.

Norma przyglądała mu się, na jej twarzy malowało się zastanowienie.

— Byłeś bardzo surowy dla ludzi — powiedziała nagle.

— Surowy? — zdziwił się rudzielec.

— Krzyczałeś na wszystkich. Mówiłeś różne nieprzyjemne rzeczy.

— Aa... Może być... Ludzie bywają tacy irytujący. — Bez wyraźnego powodu uśmiechnął się szeroko do małego Belga. — Fajna dziewczyna, no nie?

— Czas na mnie — powiedziała pani Oliver i z westchnieniem dźwignęła się z kanapy; spojrzała na obu mężczyzn, później na Normę. — A z nią co myślicie robić?

Poirot i Stillingfleet szeroko otworzyli oczy.

— Chwilowo mieszka u mnie — podjęła starsza dama. — Powiada nawet, że jej bardzo dobrze. Ale mamy nie lada problem. W grę wchodzi pieniądze, wielkie pieniądze. Bo widzisz, moja droga — zwróciła się do Normy — twój ojciec... prawdziwy ojciec... tobie zapisał cały majątek. Muszą wyniknąć różne komplikacje, powódź żebraczych listów, takie rzeczy... Ma się rozumieć, Norma mogłaby zamieszkać u starego sir Rodericka, ale to nic zabawnego dla młodej dziewczyny. Facet jest prawie głuchy, prawie ślepy, no i egoista w każdym calu. Aha! Co z tymi zaginionymi papierami, młodą cudzoziemką i historią z Kew Gardens?

— Papiery się odnalazły... — powiedziała Norma. — Odnalazła je Sonia w miejscu, które wujaszek Roddy jakoby już przetrząsał... On i Sonia mają pobrać się w przyszłym tygodniu.

— Nie ma durniów nad starych durniów! — zawołał głośno Stillingfleet.

— Aha! — bąknął Poirot. — Panienka woli spokojne życie w Anglii niż zajmowanie się wielką polityką. Myślę, że ma głowę na karku.

— Tak mi się zdaje — przyznała pani Oliver. — Ale co z Normą? Musimy być praktyczni. Musimy obmyślić jakiś plan. Młoda dziewczyna nie może przecież wiedzieć, co ma robić. Ktoś powinien wskazywać jej właściwą drogę. — Surowym wzrokiem zmierzyła obydwu mężczyzn.

Poirot milczał. Uśmiechnął się pod wąsem.

— Właściwą drogę? — odezwał się rudzielec. — Zaraz wskażę ci, Normo, właściwą drogę. Do Australii odleczę w następny wtorek. Rozejrzę się na miejscu. Zbadam, czy sprawy wyglądają tak, jak się spodziewam. Następnie wezwę cię telegraficznie, przyjedziesz i weźmiemy ślub. Musisz mi uwierzyć na słowo, że nie kieruje mną chęć zdobycia twoich pieniędzy. Są lekarze, którzy tęsknią do zakładania wielkich szpitali, do przeprowadzania wielkich badań naukowych. Ja nie należę do takich. Interesuje mnie przede wszystkim człowiek. No i nie wątpię, że potrafisz dobrze mną pokierować. Mówiłaś, że byłem surowy dla ludzi... Racja! Trzeba z tym walczyć. Może jestem śmieszny, ale ty, zastraszona jeszcze wczoraj, teraz mną będziesz kierowała, nie ja tobą.

Norma nie zabierała głosu. Pilnie obserwowała Johna Stillingfleeta, jak gdyby zastanawiała się nad czymś. Wreszcie zdobyła się na uśmiech — pełen uroku uśmiech małego dziecka.

— Zgadzam się — powiedziała z przekonaniem. Później podeszła do małego Belga.

— Ja także byłam surowa... nieuprzejma. Tamtego dnia, kiedy pan siedział przy śniadaniu, powiedziałam, że jest pan za stary, żeby mi pomóc. To było nieuprzejme i niezgodne z prawdą... — położyła dłonie na ramionach detektywa i pocałowała go. — A ty sprowadź taksówkę — zwróciła się do Stillingfleeta.

Stillingfleet skinął głową, posłusznie wyszedł z pokoju.

Pani Oliver sięgnęła po torebkę i futrzaną etolę. Ruszyła w stronę drzwi, Norma szła za nią naciągając płaszcz.

— Momencik, *chere madame* — zatrzymał ją Poirot. Autorka powieści kryminalnych odwróciła głowę i z rąk słynnego detektywa przyjęła sute pasmo siwych włosów odnalezione wśród poduszek kanapy.

— Wszystko teraz jest do niczego! — zawołała gniewnie. — Mam na myśli szpilki do włosów. Wymykają się i człowiekowi spada z głowy, co nie trzeba!

Wyszła nadąsana, ale po chwili wsunęła głowę w szparę nie domkniętych drzwi i syknęła konspiracyjnym szeptem:

— Proszę powiedzieć... Śmiało! Ją wyprawiłam na dół. Czy celowo wysłał pan Normę do tego właśnie lekarza?

— Ma się rozumieć. Jego kwalifikacje zawodowe...

— Nie chodzi o jego kwalifikacje zawodowe. Rozumie pan, do czego zmierzam...? On i ona... Więc jak?

— Jeżeli koniecznie musi pani wszystko wiedzieć, odpowiem: TAK!

— Trafnie odgadłam! — ucieszyła się. — Pan to zawsze myśli o wszystkim...